WŁADZA ZASMAKOWAŁA W TORTUROWANIU

„BUTY POSPADAJĄ", KTO Z PiS NA PREZYDENTA

ŻAKLINA SKOWROŃSKA KONTRA HEJTER Z WOJSKA

SIECI

OLIMPIJSKI GWAŁT

WILDSTEIN O CEREMONII OTWARCIA IGRZYSK I ZAWIESZENIU BABIARZA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

32 (610) 2024
5–11 sierpnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 12 VIII 2024 r.

AFERA

TAJEMNICA ASYSTENTKI TUSKA

BYLI OFICEROWIE SŁUŻB MÓWIĄ JASNO: „TA PANI POWINNA BYĆ WYCOFANA Z OTOCZENIA PREMIERA". W JAKI SPOSÓB ZNALAZŁA SIĘ TAK BLISKO CENTRUM WŁADZY?

eprasa.pl 85e525458b

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

eprasa.pl 85e525458b

Czy PKW dobije polską demokrację?

Po wprowadzeniu przez koalicję 13 grudnia rządów policyjnej pałki, podeptaniu ustaw, konstytucji, uprawnień prezydenta i negowaniu mocy Trybunału Konstytucyjnego, kilka spraw jest już oczywistych.

Każdy kolejny zwycięzca wyborów (może PiS, może jakiś nowy Lepper, a może nieznany nam dzisiaj szaleniec) dzień po przejęciu władzy będzie mógł:

– wyłączyć media publiczne i policyjnymi sukami lub z pomocą jakichś bojówek wwieźć do studiów nowe pokolenie Czyży i Dobroszów;

– przejąć prokuraturę, by z jej pomocą wsadzać do więzień przeciwników politycznych (ekipa Tuska naprawdę to zrobiła);

– odwołać wszystkich ambasadorów i prezesów każdej instytucji bez patrzenia na kadencje, konieczność kontrasygnaty, inne ograniczenia;

– doprowadzać do bankructwa poprzez żądania zwrotu grantów i darowizn odmienne ideowo organizacje pozarządowe i medialne.

W istocie, jak napisał na łamach portalu wPolityce.pl Jacek Karnowski, na naszych oczach naprawdę kończy się III RP. Po użyciu przemocy i bezprawia w tej skali nie da się wrócić do żadnego konsensusu, nie da się napełnić życiem zapisów konstytucji.

Obrońcy III RP myślą, że teraz trwa jakaś kontrofensywa w jej obronie – jest jednak odwrotnie. Trwa burzenie ostatnich ścian w tym gmachu, wykopywanie fundamentów.

W rękach Państwowej Komisji Wyborczej jest decyzja, czy ten proces rozmontowywania III RP, już nieodwracalny, radykalnie przyspieszyć i zbrutalizować. Bo po ośmiu miesiącach obecnej władzy z wielu instytucji właściwych państwu praworządnemu i demokratycznemu została nam już tylko jedna: demokratyczne partie polityczne. Naprawdę samorządne, różnorodne, finansowo niezależne, stabilne. Jeden z sukcesów wolnej Polski.

Reżim Tuska i to wziął na celownik. Zorganizowana przez władzę prowokacja w sprawie Funduszu Sprawiedliwości z użyciem nielegalnego agenta i prowokatora prokuratury akcja, a potem medialna kampania mają posłużyć za pretekst do pozbawienia należnych publicznych funduszy największej formacji opozycyjnej. Za tym progiem jest już czysta dyktatura.

Przy systemie restrykcyjnie ograniczającym dotacje prywatne na partie to byłby polityczny wyrok. Bez żadnego uzasadnienia. Tym bardziej że materiały dotyczące związku pomiędzy wykorzystywaniem Funduszu Sprawiedliwości a sprawozdaniem komitetu Prawa i Sprawiedliwości są wydumane i nie mają realnej siły dowodowej.

Jest i plan drugi sprawy: przyjęcie założenia, że użycie jakichś pieniędzy publicznych przez jakichś polityków do promocji w okresie kampanii ma skutkować odebraniem subwencji byłoby kolejnym aktem brutalnego bezprawia. Obóz rządzący zawsze i wszędzie ma taką premię: coś otwiera, gdzieś przywozi obietnicę inwestycji, pokazuje się przy różnych okazjach w mediach. Kolejni ministrowie rolnictwa kolejnych rządów nie raz i nie dwa zachwalali pomoc rządową dla rolników w telewizyjnych spotach, marszałkowie województw zachęcali do noszenia odblasków (jak pan Struzik z PSL), szefowie MON bywali na imprezach wojskowych. Podobnie ma się sprawa z zarzutami dotyczącymi organizacji pikników; one są obosieczne, ponieważ politycy PO działają bardzo podobnie, korzystając ze wsparcia bogatych samorządów, niemieckich fundacji, a teraz także z pieniędzy rządowych (np. Campus Polska czy piknik w Kancelarii Premiera zorganizowany w Dniu Dziecka). Jeżeli od teraz ma to być zbrodnia, pretekst do zniszczenia opozycyjnej partii, to każda kolejna władza po to narzędzie sięgnie. I każda będzie miała takie „dowody" na poprzedników.

Jeśli PKW ulegnie presji i skorzysta z podrzucanej przez władzę prowokacji, weźmie na siebie straszną odpowiedzialność – za swoją decyzję, która będzie miała charakter bezprawny i za atak na system funkcjonowania legalnych partii politycznych w Polsce. Nie jest on idealny, ale lepszego mieć nie będziemy. Jak go rozwalą, przyjdą rządy naprawdę dyktatorskie.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 85e525458b

SIECI

spis treści

31 Trybunał pod presją
Jan Rokita

46 Królowa pszczół
Aleksandra Rybińska

55 Talent nie zwalnia z obowiązków wobec ojczyzny
Piotr Gursztyn

NA POCZĄTEK

5 **KOMU SALON, KOMU OBORA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **„BABIARZ" KONTRA BABIARZ**
Krzysztof Feusette

9 **NA SWÓJ OBRAZ I PODOBIEŃSTWO**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WYSKOK SZMIRY NA IGRZYSKACH**
Jan Pietrzak

13 **SILNE NATO W EUROPIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA WALDEMARA GUJSKIEGO**
Michał Korsun

16 **PROBLEMY ROSNĄ, CAR SIĘ CHOWA**
Samuel Pereira

17 **WOLNE POKOJE**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **PANI OD RZĘS I KALENDARZA PREMIERA**
Marek Pyza

SKANDAL W PARYŻU

21 **OLIMPIJSKI GWAŁT**
Bronisław Wildstein

25 **GRY I ZABAWY PO FRANCUSKU**
Dariusz Matuszak

KRAJ

28 **TORTURY I KOMPROMITACJA**
Wojciech Bierdoń

31 **TRYBUNAŁ POD PRESJĄ**
Jan Rokita

34 **PREZYDENCKI SZOK**
Stanisław Janecki

36 **MEDIALNE PRANIE MÓZGÓW**
Jakub Augustyn Maciejewski

38 **OPĘTANY NIENAWIŚCIĄ**
Dorota Łosiewicz

40 **PAMIEĆ WYBIÓRCZA**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

43 **PLAN TRUMPA DLA UKRAINY**
Marek Budzisz

46 **KRÓLOWA PSZCZÓŁ**
Aleksandra Rybińska

49 **PATRIOCI DLA EUROPY: KONKURENT, SOJUSZNIK CZY KŁOPOT NA PRAWICY?**
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

52 **TRÓJMORZE JAKO BLOK GEOPOLITYCZNY**
Jan Parys

HISTORIA

55 **TALENT NIE ZWALNIA Z OBOWIĄZKÓW WOBEC OJCZYZNY**
Piotr Gursztyn

NA WAKACJE

58 **WYSPA CUDOWNIE ZAPOMNIANA**
Piotr Ostrowski

SIECI KULTURY

61 **GDY CZŁOWIEK PORUSZA CZŁOWIEKIEM**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **JAK PODBIĆ ŚWIAT**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: TOMASZ TYLICKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **WSPÓLNOTA TUSKA**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **IGRANIE Z IGRZYSKAMI**
Aleksander Nalaskowski

73 **PIERWSZE MEDALE, NIEOSTATNIE HORRORY**
Ryszard Czarnecki

74 **POMIĘDZY PATERNALIZMEM A RELATYWIZMEM**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 85e525458b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Komu salon, komu obora

Warto wrócić do napaści słownej (choć zachowanie agresora wykraczało poza tę kwalifikację), której publicznie dopuścił się lekarz i oficer wobec trójki dziennikarzy, mimo że sprawa została już wielokrotnie opisana. Jej znaczenie wykracza poza samo i tak bulwersujące wydarzenie. Jest to symptom narastającego zagrożenia społecznego, zwłaszcza że nie widać śladu refleksji u sprawców, którzy nadal eskalują kampanię nienawiści wobec swoich „pisowskich" przeciwników.

Obserwując na nagraniu krztuszącego się najgorszymi obelgami osobnika, który usiłuje maksymalnie znieważyć nieznajomych za to, że prezentują inne poglądy, odruchowo myślimy, że mamy przed sobą psychopatę z marginesu społecznego. Kiedy okazuje się, że jest to znany neurolog, ppłk. WP, konsultant Wojskowej Służby Zdrowia, przeżywamy nie lada zdumienie. Nie dlatego, że wśród lekarzy czy oficerów nie ma zdolnych do najgorszych czynów psychopatów, ale dlatego, że bez względu na swój charakter z zasady muszą oni zachowywać się inaczej niż postacie z marginesu. Piotr Szymański, bo o niego chodzi, nie był nawet pijany, gdyby nie bluzg, jaki z siebie wyrzucał, pewnie nikt nie pomyślałby, że coś wypił.

Jego radykalne pobudzenie spowodował fakt, że ludzie popierający PiS, czyli „pisowcy", korzystają z tych samych lokali, a więc poruszają się w tej samej przestrzeni publicznej co on. Zamiast siedzieć w „swoich norach", w „oborze" „pisowskie k...y i śmiecie" udały się do restauracji, gdzie powinni się bawić normalni ludzie – wykrzykiwał Szymański do wszystkich dookoła, wyraźnie szukając u nich poparcia.

Osoby, w towarzystwie których się znajdował, uznawały zachowanie to za w pełni uzasadnione, a jeśli uspokajały go, to wyłącznie ze względu na jego własne dobro. Wszystko wskazywało, że nie była to grupa meneli, ale towarzystwo lekarzy (?), oficerów (?), a w każdym razie ludzi na takim właśnie poziomie społecznym.

Na początku dr Szymański kazał Samuelowi Pereirze „wyp... ać" do Portugalii. Można domniemywać, że neurolog jest liberałem, człowiekiem kulturalnym i jako taki brzydzi się ksenofobią. Ale przecież zasady nie obowiązują wobec pisowców. Dlatego salonowcy, tacy jak Tomasz Lis czy dr Szymański, nie krępują się otwarcie twierdzić, że Pereira z powodu narodowości swojego ojca nie ma praw Polaka.

Przypuszczalnie Szymański uznałby za niedopuszczalne obrażanie kobiety i w najgorszych słowach wytykanie jej nadwagi, ale jeśli chodzi o zwolenniczkę PiS, zasady przestają obowiązywać, a ona sama właściwie przestaje być kobietą. Świadczyło o tym zachowanie lekarza.

Szymańskim warto zajmować się nie tylko dlatego, że stanowi publiczne zagrożenie, bo lepiej nie wyobrażać sobie, co mógłby zrobić pacjentowi, gdyby zorientował się, że ma on niewłaściwe poglądy. Zobaczymy, jakie wnioski z jego postępku wyciągnie MON i szpital wojskowy. Wydarzeniem zainteresować się powinien także samorząd lekarski. Zwłaszcza że Szymański w oświadczeniu, które wydał na ten temat, właściwie nie zauważa w swoim zachowaniu niczego niestosownego, kłamie jak najęty, a najwięcej pisze o... honorze. Typowe to dla naszych czasów.

Zagrożenie jednak nie ogranicza się do indywiduum Szymańskiego. Jego postawa, acz skrajna, nie jest odosobniona i pokazuje, że prowadzona już prawie dwie dekady kampania antypisowskiej nienawiści, odczłowieczenia opozycji i jej zwolenników przynosi swoje zatrute owoce oraz może prowadzić do przemocy na niewyobrażalną dziś skalę. I nie chodzi o to, że zaatakowani mogli przestać się kontrolować i obić gębę napastnikowi, który w pełni na to zasłużył. Chodzi o uliczną agresję, którą wydarzenie to może zapowiadać, oraz zastąpienie polityki przez przemoc.

W poprzednich felietonach pisałem, że strategia Tuska & consortes służy uzasadnieniu niszczenia demokracji i cywilizowanego państwa. Przykład Szymańskiego pokazuje, że usprawiedliwiać ma ona skrajną publiczną agresję. Wychwalany przez establishment jako nowa jakość kulturalna „strajk kobiet" debatę zastąpił wulgarnym wrzaskiem. Głównym (i jedynym) jego argumentem jest hasło „wyp...ać!". Za rewolucją językową postępuje i towarzyszy jej rewolucja w całej okazałości, czyli przemoc jako ostateczna racja.

Antypisowska kampania nienawiści spowodowała już w Polsce zabójstwo polityczne Marka Rosiaka, a obecnie pozwala na strategię politycznej przemocy, aresztowania przeciwników i dręczenia ich w więzieniu.

Sprawa dotyczy całego Zachodu, czego dowodzą dwa zamachy polityczne przeprowadzone na premiera Słowacji i kandydata na prezydenta USA, którzy pomimo wszystkich odmienności byli bête noire liberalnej opinii. To w Polsce jednak Tusk przeprowadza eksperyment formalnego niszczenia opozycji.

Liberalna demokracja ma zapędzić swoich przeciwników do „obory". Salony mają pozostać dla Szymańskiego i Lempart.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 85e525458b

Sygnalista nadaje

Władze neo-TVP w końcu odwiesiły ***Przemysława Babiarza*** i dziennikarz ma wrócić do komentowania igrzysk olimpijskich w Paryżu. W komunikacie ogłoszono, że nastąpiło to „w wyniku przeprowadzonych rozmów, na wniosek dyrektora TVP Sport". Chyba raczej na wniosek premiera Donalda Tuska, który napisał w mediach społecznościowych: „W sumie nie wiadomo, co było głupsze: komentarz czy zawieszenie". To wystarczyło. „Czysta woda", sugestię panjała.

Komentarz Babiarza nie głupi był, trafiał w sedno. „Świat bez nieba, narodów, religii i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety" – to właśnie wyśpiewał John Lennon w piosence „Imagine" i to także pokazali nam w czasie ohydnej ceremonii organizatorzy imprezy. Nie możemy się dziwić: to jest system o cechach totalitarnych. Dlatego kradnie wszystko: i Eurowizję, i igrzyska, i dzieci. Każdy, kto myśli, że się schowa w jakiejś niszy, jest w błędzie. Wolność można ocalić tylko w otwartym boju, innego wyjścia nie ma.

Brutalność tego reżimu dobrze widać w kobiecym sporcie. Po trupach, nie bacząc na czynioną krzywdę, zmusza się kobiety do rywalizowania z biologicznymi mężczyznami, co zabija podstawę idei sportowej rywalizacji. Wszystko na oczach świata. Głośny stał się przypadek włoskiej bokserki Angeli Carini, która po 46 sek. zrezygnowała z walki z reprezentantem Algierii. W ub.r. nie został on dopuszczony do kobiecych mistrzostw świata w boksie ze względu na wykrycie męskich chromosomów, ale MKOl na zezwolił start. „Weszłam na ring, aby walczyć [...]. Nie poddałam się, ale cios bolał zbyt mocno, więc powiedziałam dość... Odchodzę z podniesioną głową" – powiedziała Carini. Pozostaje pytanie: dlaczego opór przeciwko szaleństwu jest tak mizerny?

Jeśli już o neo-TVP mowa: Dorota Wysocka-Schnepf przeprowadziła zdumiewający wywiad z Wandą Traczyk-Stawską, uczestniczką powstania warszawskiego, która dziś popiera Donalda Tuska. Oto pytania, które zadała dziennikarka: „Chce pani powiedzieć, że Jarosław Kaczyński jest w jakimś stopniu odpowiedzialny za to co się stało? [To o Smoleńsku]"; „Pamiętam jak ponad osiem lat temu Radosław Sikorski powiedział w Berlinie, że nie boi się silnych Niemiec, ale ich bezczynności. I dzisiaj możemy rozumieć, że przewidział, co się może wydarzyć, ale wtedy wielu oburzały te słowa. Panią wtedy też oburzały te słowa, czy pani przeczuwała, że ma rację? [odpowiedź – »Ja wiedziałam, że ma rację«]"; „Ale dzisiaj pani staje w obronie współczesnych Niemców. Uważa pani, że nie wolno obciążyć współczesnego pokolenia Niemców za to, co 80 lat temu czynili ich przodkowie? [odpowiedź: »Tak«]". Tak się nie godzi. Wstyd.

Jakub Maciejewski tak skomentował ów wywiad na portalu wPolityce.pl: „Istota sprawy nie leży w zgadzaniu się lub niezgadzaniu z powstańcem, ale w tym, że pani Wanda nie jest właściwą osobą do niektórych tematów. Ma 97 lat, umysł już nie ten, świat się zmienił, ona sama jest psychologiem z wykształcenia, a nie specjalistą od lotnictwa czy uzbrojenia XXI w. – nie jest fachowcem od wszystkiego. Stawia-

Na koncie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji na Instagramie pojawił się film z uroczystości nadania stopni generalskich oficerom Policji w pałacu prezydenckim. Jako podkład muzyczny do niego dodano utwór amerykańskich raperów Kanyego Westa i Jaya-Z pt. „Niggas in Paris". W treści wspomnianej piosenki nie brakuje wulgaryzmów. Z kolei w grafice Kancelarii Premiera dotyczącej powstania warszawskiego pomylono daty, wskazując jako dzień kapitulacji nie 2 października, ale 2 listopada. Wyrzucono dobre kadry, a nowi nie dźwigają. Trudno się dziwić: ryba psuje się od głowy.

eprasa.pl 85e525458b

nie jej pytań w tematach stricte politycznych, partyjnych, w przeddzień rocznicy wybuchu powstania warszawskiego jest bardzo nie na miejscu". Może to brak umiejętności, może brak wyczucia, a może nakaz z góry, tego nie wiemy. Ale wiemy jedno: ta woda nie jest czysta.

Dobijanie Biełsatu trwa. Była szefowa stacji alarmuje: „Time out. Strony Biełsatu przestały działać. Serce się kraje. Taka ogromna praca.... Tak działa »REFORMA«, którą wprowadzają mędrcy z TVP. Pan Jabłoński, odpowiedzialny dziś za technikę w Biełsacie – prawa ręka likwidatora Gorgosza, »teczkowy« Napieralskiego". Gdzie jest źródło kłopotów? „Od trzech miesięcy nie płacono firmie, która stworzyła strony i je supportowała. [...] A potem TVP na dodatek zaaresztowała sprzęt firmy umieszczony w serwerowni Biełsatu i złożyła zawiadomienie do prokuratury". Likwidować, zamykać, to oni umieją. W sprawie Biełsatu najciekawsze jest pytanie, skąd ta nienawiść do tego przedsięwzięcia. Czy chodzi o zemstę na twórcach, zwykłą niekompetencję, czy może jest to prezent dla Łukaszenki i Putina? Z biegiem czasu ta ostatnia wersja staje się coraz bardziej atrakcyjna.

Jedna z wielu smutnych informacji, które docierają do nas każdego tygodnia. ***Jacek Sasin***: „Odebraliśmy 20 proc. akcji w strategicznej spółce skarbu państwa, Grupie Azoty, rosyjskiemu oligarsze po wybuchu wojny w Ukrainie. Niestety powrócił Donald Tuska i rząd PO »oddał« akcje z powrotem rosyjskiemu miliarderowi – Wiaczesławowi Mosze Kantorowi. Rząd koalicji 13 grudnia nie zaskarżył wyroku, więc zarząd tymczasowy wygasł. To jest czysty sabotaż wbrew interesom Polski!". Prawda jest bolesna: Polska nie ma dziś rządu, który by dbał o jej interesy i ta bierność nie wygląda na przypadkową. A byliśmy tak blisko wielkości. Czy można to jeszcze zatrzymać? O wszystkim zdecydują wybory prezydenckie.

Antyrozwojowa ekipa, która doszła do władzy w Polsce także dzięki zewnętrznej interwencji, próbuje pudrować swój nosek. W dniu 80. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego premier Tusk zapowiedział wydanie 100 mln na rozbudowę Muzeum Powstania Warszawskiego. „Podjąłem decyzję" – ogłosił. Brzmiało ładnie, ale jednak nieprawdopodobnie. I rzeczywiście, szybko okazało się, że chodzi o pieniądze już przyznane przez rząd Prawa i Sprawiedliwości. 5 września 2023 r. Rada Ministrów przyjęła rządowy program wsparcia rozwoju miasta stołecznego Warszawy na lata 2023–2030, w którym znajdowały się środki na rozbudowę Muzeum Powstania Warszawskiego – o czym pisał portal wPolityce.pl. Tak to wygląda: wygaszanie, zwijanie i recycling tego, co zrobił rząd niepodległościowy.

Nigdy nie możemy zapomnieć: pamięć o powstaniu warszawskim podniósł prezydent Lech Kaczyński. To on zbudował muzeum, to on uczynił z 1 sierpnia święto rangi państwowej, równie ważne co 11 listopada i 3 maja. Dziś wielu chce się ogrzać przy świetle ożywionej pamięci, ale to nie wystarczy. Prezes PiS ***Jarosław Kaczyński*** ma rację, gdy mówi tak: „Dziś musimy spojrzeć także na to, co powstanie oznacza w dzisiejszej rzeczywistości. Ale nie spojrzeć poprzez pełne hipokryzji przemówienia ludzi, którzy dążą dzisiaj do tego, aby pozbawić nas wolności, a z czasem – co jest zapisane w projektach nowych traktatów europejskich – także niepodległości. Chodzi o to, aby ta tradycja była czymś w dalszym ciągu aktualnym. By ta gotowość do walki, tej politycznej, ale – w ostateczności, tu mówię o zagrożeniu ze wschodu – także zbrojnej, w Polsce trwała". Pamięć o powstaniu nie może stać się patriotyczną cepelią. Z powstania wyrastają konkretne, twarde zobowiązania.

I jeszcze jeden cytat z przemówienia prezesa Kaczyńskiego, w sprawie reparacji: „Trzeba zapytać, co takiego w kulturze niemieckiej pozwala zwykłym ludziom dokonywać rzezi. Rzezi dzieci, kobiet, mężczyzn, otaczać domy i po prostu mordować wszystkich. Co takiego i czy to rzeczywiście zostało z tej kultury całkowicie odrzucone. Bo ta odmowa reparacji jest niczym innym, jak budowaniem co najmniej przypuszczenia, co najmniej domniemania, że te elementy jednak do końca nie zniknęły". I dalej: „Potrzebna jest kara. Z jednej strony żyją jeszcze powstańcy, ale żyją też jeszcze nieliczni niemieccy zbrodniarze. Trzeba jasno powiedzieć, że ci najoczywistsi zbrodniarze nie ponieśli kary. Nie ma rekompensaty, zadośćuczynienia i nie ma kary, zatem sprawa jest nierozwiązana". Wolna Polska wróci do tej sprawy.

Rzecznik i poseł PiS Rafał Bochenek podzielił się scenką rodzajową z powązkowskiego cmentarza: „Wtedy, gdy światła kamer gasną, gwiazda pana Szymona z TVN blednieje... Dialog marszałka Szymona Hołowni z obywatelami na cmentarzu, na warszawskich Powązkach, zatroskanych losem represjonowanego i więzionego ks. Olszewskiego... Reakcja p. Szymona: »Zionie Pan polityczną nienawiścią«. P.S.: Poza kamerami już się nie uśmiecha...". Taki los kolonii, którą znów skolonizowano: zamiast polityki dostaje scenki teatralne, zamiast prawdziwych przywódców showmanów i aktorów. Niestety to może trwać długo, nawet dekady. Chyba że Polacy znów wszystkich zaskoczą, także samych siebie.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 85e525458b

„Babiarz” kontra Babiarz

Ursula: Hallo? Donalden?
Donald: A kto mówi? Ja żadnych gum nie sprzedaję...
Ursula: Co ty nagle z tymi gumami wyskakujesz?
Donald: Bo nie wiem, kto mówi. Ja już mam brwi zrobione.
Ursula: Po głosie nie poznajesz?
Donald: Po pogłosie to ja tylko „Bobasa” rozpoznaję. A tak to nie...
Ursula: A kto na ciebie czekał w Brukseli? Kto dla ciebie Polakom KPO blokował? Już wszystko zapomniałeś?
Donald: To pani?! To znaczy, przepraszam, bo przeszliśmy nie tylko na „ty”. Czemu dzwonisz? O PKP Cargo chodzi? Przecież byliście, zdjęcia zrobione...
Ursula: Zrobione, nie zrobione, ale mnie się Dojczeban skarży...
Donald: A kto to jest, ten dojczebany?
Ursula: To jest największa, największy przewoźnik kolejowy w Europa. Rozumiesz?
Donald: Nasze, to znaczy was ist „nasze”, jak to wszystko jest „wasze”, no, w każdym razie PKP Cargo było drugie...
Ursula: Bardzo dobrze mówisz: „było”. Ty masz nawet przy tym polski akcent...
Donald: To o co chodzi? Chcecie te fotki czy nie? Bo my możemy tabor nawet Cyganom sprzedać.
Ursula: Ja, ja, ja wiem. Wy jesteście, jak to mówicie, „rząd niskich cen”. Ja bym powiedziała, że nawet „wyprzedaży”. Spokojnie, i wagony kupimy, i lokomotywy. Po rozsądnej cenie, naturliś.
Donald: Naturliś to ja mam przez to kłopoty w tzw. prawicowych mediach. 4 tys. ludzi muszę zwolnić.
Ursula: Widzisz? A u nas nie ma komu szparagów zbierać. Mało tego, ludzi do toalet szukamy.
Donald: W jakim sensie?
Ursula: W takim, że nie ma komu czyścić. Żaden Niemiec, żaden porządny Niemiec, dodajmy, nie będzie tego g..na sprzątać, które żeśmy za Angeli narobili. Może byś kogoś podesłał?
Donald: To chyba że Szczerbę. On ma ciśnienie.
Ursula: A kto to jest?
Donald: Europoseł. Po białoruskiej granicy z pizzą dla migrantów biegał, ale czytać umie. To znaczy pisać. Nigdy nie wiem, który co umie, bo oni obaj nie są za mądrzy.
Ursula: Z kim?
Donald: Z Jońskim. Też nie znasz. Basenu pilnował, potem awansował na szefa komisji, bo nikt nie chciał się kompromitować. Spokojnie, to jest człowiek, który uważa, że wyście powstanie warszawskie w 1988 r. tłumili. Czyli za komuny.

KRZYSZTOF FEUSETTE

Ursula: Wtedy, co rzeź była? Jak się ta dzielnica nazywała?
Donald: Wolna Wola? Ochota? Skąd ja mam wiedzieć, jak jestem z Trójmiasta, a dziadek niewiele pamiętał?
Ursula: To się dowiedz, bo rocznica zaraz będzie.
Donald: Czego? Wejścia do Unii?
Ursula: A skąd ja mam wiedzieć? Mój dziadek to nawet jakby pamiętał, i tak nic by nie powiedział.
Donald: U nas jest nawet taki wierszyk: „A dziad wiedział, nie powiedział, a to było tak...”.
Ursula: Jak było, tego się już nie ustali. Zresztą, kto by to spamiętał. Naziści byli wszędzie. U nas kilku, u was kilku, a potem to już poszło. Ja nie w tej sprawie dzwonię. Ja dzwonię, żeby ci powiedzieć: warum?
Donald: Waruj? Jakim prawem?! Oczywiście, żartuję, przecież ja wiem, co ja wam zawdzięczam...
Ursula: Warum, znaczy dlaczego. Dlaczego oni cię zawiesili?!
Donald: Gdzie? W Unii Europejskiej?!
Ursula: U was! Czytam: „Zawiesili babiarza”.
Donald: Ojej, to jest nieporozumienie.
Ursula: Jak nieporozumienie, jak większego babiarza u was w rządzie nie ma?
Donald: Oj, facet się nazywa Babiarz. Dziennikarz taki. Lennona zaczął streszczać bez pozwolenia. No to go w imię tolerancji likwidatorzy TVP odsunęli. Ursula, te igrzyska pokazują u nas tylko dwie stacje: nasza TVP i nasz Eurosport, w sensie TVN. To jak on mógł krytycznie o komunizmie? Że „niestety”?
Ursula: Widzisz, a ja się bałam, że to o ciebie chodzi. Myślę: większego babiarza to ja w życiu nie widziałam. Przecież jak ty na mnie patrzyłeś, kiedy mówiłam, że czekamy na Tuska premiera. Albo jak sobie spodnie obciągałeś, jak przyjechałam niedawno. Mówię Olafowi: nic, tylko go za te romanse z niemiecką... racją stanu powiesili, to znaczy zawiesili. To mówisz, że tu tylko o wolność słowa chodzi?
Donald: Ja. To znaczy tak, ktoś zadzwonił do kierownictwa stacji i go wycięli.
Ursula: Ty tego pilnuj. Nie ma ważniejszej sprawy niż wolność. Słowa, oczywiście. Bo resztą to już my się zajmiemy. To co, uspokoiłeś mnie?
Donald: Ja.
Ursula: A kogo pytam? Ech, ty to jesteś kawał demokraty. W sensie: dowcip.

eprasa.pl 85e525458b

WIEŻA BAB

Na swój obraz i podobieństwo

Poseł PO Marcin Józefaciuk, kiedyś dyrektor szkoły, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kto w Polsce sprawuje władzę wykonawczą

Politycy koalicji rządzącej mają pod górkę z historią. Kancelaria Prezesa Rady Ministrów postanowiła uczcić 80. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego infografiką, którą zamieściła na swoim profilu na platformie X (d. Twitter).

Pech lub niewiedza chciały, że współpracownicy Donalda Tuska podali błędną datę zakończenia powstania, wydłużając je o miesiąc. Choć wpis został usunięty, nie umknął on uwadze internautów i w mediach społecznościowych zaroiło się od komentarzy: „Te nieuki z @PremierRP nawet nie wiedzą, kiedy zakończyło się Powstanie Warszawskie. Według nich 2 listopada 1944 r. Przed chwilą dodali grafikę dokładnie z tym samym błędem w dacie. Kompromitacja @donaldtusk i @JanGrabiec", „Są już pierwsze efekty zmniejszenia podstawy programowej przez ministerstwo edukacji. Data zakończenia Powstania Warszawskiego 2 listopada zamiast 2 października" – to tylko niektóre z krytycznych głosów pod adresem KPRM.

Gdyby nie fakt, że Dariusz Joński jest europosłem, można by podejrzewać, że to on maczał palce w grafice. W 2012 r. (a był wtedy jeszcze rzecznikiem SLD) zapytany przez dziennikarzy o datę wybuchu powstania warszawskiego stwierdził, że wydarzyło się to w 1988 r., a stan wojenny został, jego zdaniem, wprowadzony w 1989 r. Inny mistrz intelektu tej koalicji, reprezentujący Polskę 2050 Ryszard Petru, przekonywał w 2016 r. w rozmowie z Konradem Piaseckim w RMF FM, że imperia „padają zwykle w szczycie swej chwały". Na te brednie zareagował dziennikarz: „Zaraz, zaraz, ale które imperium upadło w szczycie swej chwały?". „Rzymskie" – odpowiedział Petru. „Rzymskie w szczycie swej chwały?" – dopytywał Piasecki. „Oczywiście" – potwierdził polityk. „Szczyt chwały Imperium Rzymskiego to jest jakiś 100 r. n.e., a ono upadło w którym? W 476. Był upadek, był podział Cesarstwa Rzymskiego" – podsumował dziennikarz. Gdy w 2015 r. Petru chciał skomentować ułaskawienie Mariusza Kamińskiego przez prezydenta Andrzeja Dudę, stwierdził w TVP Info, że przewrót majowy miał miejsce w 1935 r., a nie w 1926 r. Nie lepiej było z Konstytucją 3 maja. „Nasza konstytucja ma już 225 lat. Trzyma się świetnie, choć PiS uparło się, by właśnie teraz przeszła przymusowy lifting" – napisał 3 maja 2016 r. na Facebooku ówczesny lider Nowoczesnej. Po tym, jak internauci zaczęli mu zwracać uwagę, że w Polsce nie obowiązuje już Konstytucja 3 maja, polityk zmienił treść wpisu.

Nie lepiej jest wśród polityków rządzącej koalicji z wiedzą o społeczeństwie. Poseł PO Marcin Józefaciuk, kiedyś nauczyciel i dyrektor szkoły, skompromitował się, ponieważ nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kto w Polsce sprawuje władzę wykonawczą. Co gorsza, zapytany o to samo powtórnie kilka dni później wciąż nie wiedział. „Sprawdzę, czy pan pracę domową odrobił. Niedawno podczas jednej z rozmów – pewnie pan poseł pamięta – nie potrafił pan wskazać, kto władzę wykonawczą w Polsce sprawuje. Domyślam się, że tę pracę domową pan odrobił i zajrzał do Konstytucji RP" – rozpoczął red. Jacek Prusinowski w Radiu Plus. „Tak" – odparł poseł. – „Czyli kto sprawuje władzę wykonawczą, panie pośle?" – drążył Prusinowski. „No oczywiście, że prezydent i Sejm" – stwierdził Józefaciuk. Prowadzący nie krył zażenowania. „Litości, raz pan na tym wpadł i nawet nie dowiedział się, kto sprawuje władzę wykonawczą. Prezydent!?" – nie odpuszczał Prusinowski. „Sejm i Senat" – wypalił Józefaciuk. „Pan nie ma władzy wykonawczej, naprawdę" – nie wytrzymał dziennikarz. „Jezus, ustawodawczą, to tutaj wpadłem. Oj, będzie śmiech" – skomentował gość Radia Plus.

Fakt, pękamy ze śmiechu do tej pory. Podobnie jak z powodu problemów z ortografią byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego, który tak bardzo połączył się w cierpieniu z ofiarami trzęsienia ziemi i tsunami w Japonii, że zapomniał o poprawnej pisowni. W księdze kondolencyjnej wystawionej w ambasadzie Japonii napisał: „Jednoczymy się w imieniu całej Polski z narodem Japonii w bulu i w nadzieji na pokonanie skutków katastrofy".

Kiedy patrzę, jak ten rząd ogranicza prace domowe, redukuje podstawę programową i lektury, to myślę, że oni chcą ukształtować nasze dzieci na swój obraz i podobieństwo.

Dorota Łosiewicz

Furtka dla szpiegów?

Po niedawnej wizycie Viktora Orbána w Moskwie węgierski rząd włączył obywateli Rosji i Białorusi do programu tzw. Karty Narodowej. Oznacza to uproszczenie wjazdu do kraju dla osób chcących pracować na Węgrzech przez dwa lata z możliwością przedłużenia terminu. Dotychczas z tej możliwości mogli korzystać jedynie obywatele Ukrainy, Mołdawii, Serbii, Czarnogóry, Macedonii Północnej oraz Bośni i Hercegowiny.

Decyzja Budapesztu wywołała niezadowolenie w wielu europejskich stolicach, ponieważ Rosja i Białoruś są objęte sankcjami z powodu wojny na Ukrainie. W związku z tym istnieje obawa, że przez Węgry z obu krajów mogą napływać szpiedzy, ponieważ uproszczona procedura wjazdu nie przewiduje prześwietlania „gastarbeiterów" pod kątem bezpieczeństwa. Później przybysze będą mogli poruszać się bez żadnej kontroli po 29 państwach strefy Schengen, co stanowi poważne ryzyko. Specjaliści ds. bezpieczeństwa wiążą bowiem liczne ostatnio pożary, awarie czy zakłócenia sygnału GPS w Europie (np. w Polsce, Czechach, Niemczech czy Wielkiej Brytanii) z aktywnością sabotażystów działających na zlecenie Moskwy i atakujących m.in. obiekty infrastruktury krytycznej.

Prawo unijne pozostawia jednak w rękach poszczególnych rządów decyzje dotyczące legalnej migracji i zezwoleń na pracę. Budapesztowi zależy natomiast na dokończeniu budowy dwóch reaktorów elektrowni atomowej Paks II, które powstają na podstawie umowy zawartej przed laty z Moskwą. Już w tej chwili na Węgrzech mieszka w związku z tym kilkutysięczna rosyjska kolonia złożona z pracowników i ich rodzin. Z karty mogą też skorzystać pracownicy Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego nazywanego bankiem szpiegów i kontrolowanego przez Rosję. Od 2019 r. miał on siedzibę w Budapeszcie, jednak po nałożeniu nań sankcji przez USA w kwietniu 2023 r. Węgrzy musieli rozwiązać umowę z nim. Na miejscu pozostała jednak część byłych pracowników tej instytucji, którzy mogą teraz bez przeszkód podróżować po strefie Schengen.

Grzegorz Górny

Tuaregowie biją wagnerowców

Mali

Internet obiegły niedawno zdjęcia z Mali przedstawiające wiwatujących Tuaregów na tle rozbitej kolumny wojskowej. Wokół zniszczonego sprzętu wojskowego leżały ciała martwych żołnierzy, którzy okazali się rosyjskimi najemnikami z Grupy Wagnera. W sprawie pojawił się także wątek ukraiński.

Do zasadzki doszło w nocy z soboty na niedzielę 28 lipca. Kolumnę wojskową zmierzającą w kierunku położonego przy granicy z Algierią pustynnego miasta Tinzaouaten zaatakowali walczący o niepodległość Tuaregowie wspierani przez lokalne grupy dżihadystów. Podczas zaciekłych walk kolumna została rozbita. Według informacji podanych przez Tuaregów zginęły dziesiątki żołnierzy armii malijskiej oraz wspierających ją rosyjskich najemników. Niektórzy z nich trafili do niewoli. Uszkodzono też jakoby rosyjski helikopter szturmowy, który miał się rozbić podczas lądowania w mieście Kidal.

Władze Mali nie potwierdziły poniesionych strat, przyznając jedynie, że rządowym żołnierzom towarzyszyli „rosyjscy instruktorzy". Z kolei rosyjskie kanały na Telegramie przyznały, że w walkach zginęło co najmniej 20 najemników, w tym ich dowódca Siergiej Szewczenko.

Bitwa pod Tinzaouaten była kolejnym epizodem w wojnie, którą od 2012 r. władze Mali prowadzą przeciwko Tuaregom. Destabilizację sytuacji w regionie wykorzystali Rosjanie, którzy prawdopodobnie stali za zamachami stanu w trzech państwach Sahelu (w Burkina Faso, Mali i Nigrze), do których doszło w ostatnich kilku latach. W 2020 r. władzę w Mali przejęła junta kierowana przez Assimi Goitę. Po obaleniu dotychczasowych władz radykalnie zmienił on politykę, wprowadzając dyktaturę oraz nawiązując sojusz z Rosją. Jednocześnie z kraju wyrzucono siły pokojowe ONZ oraz oddziały francuskie, sprowadzając na ich miejsce rosyjskich instruktorów wojskowych oraz najemników z Grupy Wagnera. Wspólnie z Rosjanami juncie udało się odzyskać kontrolę nad dużą częścią terytorium Mali, opanowaną dotąd przez separatystów. W trakcie walk dopuszczano się okrucieństw wobec ludności cywilnej. Bitwa pod Tinzaouaten była pierwszym od dawna dużym zwycięstwem Tuaregów.

W sprawie pojawia się również wątek ukraiński. Władze w Kijowie twierdzą, że wspomogły Tuaregów ważnymi informacjami, które pozwoliły im zorganizować skuteczną zasadzkę na Rosjan i armię rządową. Wiadomo też o Ukraińcach walczących przeciwko Rosjanom w Sudanie. Według Kijowa jest to element szerszej wojny z Rosją i strategii ścigania wagnerowców w Afryce. Niezależnie od tego, na ile Ukraińcy naprawdę pomogli Tuaregom, faktem jest, że rosyjscy najemnicy ponieśli na Saharze dotkliwą porażkę.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 85e5254580

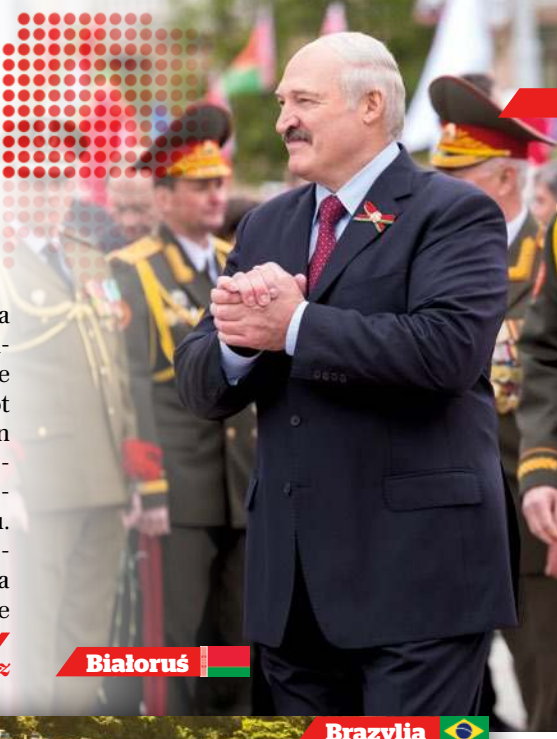

Białoruś

Karta przetargowa Łukaszenki

Rico K., 30-letni obywatel Niemiec, pod koniec czerwca został skazany na Białorusi na karę śmierci. Informacje na ten temat wyciekły dopiero teraz, a cała sprawa jest bardzo podejrzana. Tym bardziej że reżimowa telewizja nadała reportaż zawierający rozmowę z przerażonym Niemcem apelującym do władz w Berlinie, aby te rozpoczęły negocjacje z Mińskiem, bo „wyrok może zostać wykonany w każdej chwili". Ostatecznie w ostatnią środę Aleksander Łukaszenka ułaskawił Niemca, ale pozostaje on w więzieniu.

Rico K. został skazany za udział „w zamachu terrorystycznym", który polegał na próbie wysadzenia torów kolejowych na jednej ze stacji kolejowych znajdujących się na obrzeżach białoruskiej stolicy. Niemieccy eksperci wypowiadający się na ten temat zwrócili uwagę, że przeprowadzenie aktu dywersji na dużej, monitorowanej stacji ma niewielki sens, zwłaszcza że tuż obok są bardziej dyskretne miejsca do przeprowadzenia zamachu. Skala zniszczeń, nieprzekraczająca równowartości 500 euro, również nie skłania do myślenia, że doszło do jakiegoś poważnego ataku. Osobną zagadką jest kwestia, w jaki sposób Rico K. znalazł się na Białorusi. Jedna z wersji głosi, że Niemiec dołączył do Pułku im. Kastusia Kalinowskiego i został przerzucony na Białoruś, czemu jednak dowództwo tej ochotniczej formacji walczącej po stronie ukraińskiej zaprzecza. Inna wersja mówi o nieudanej operacji ukraińskiego wywiadu.

Nie ulega wątpliwości, że intencją Łukaszenki jest zmuszenie władz w Berlinie do rozpoczęcia negocjacji w celu uwolnienia skazanego Niemca. Reżimowy MSZ już zresztą poinformował, że propozycje w tej sprawie przekazano niemieckiej ambasadzie w Mińsku. Białorusini podobno chcą, aby Niemcy w zamian za własnego obywatela uwolnili agenta rosyjskiego FSB, który w sierpniu 2020 r. nieopodal urzędu kanclerskiego zabił czeczeńskiego opozycjonistę. Jeśli te informacje się potwierdzą, mogą one świadczyć o tym, że Białoruś postanowiła „iść w ślady Rosji", która używa aresztowanych pod sfingowanymi zarzutami cudzoziemców w charakterze karty przetargowej. Tego rodzaju zwrot może potwierdzać również to, że Pekin wywarł na Mińsku presję na ograniczenie wojny migracyjnej i reżim szuka nowych narzędzi szantażowania Zachodu. Niedawne aresztowanie czterech młodych Łotyszy, którzy przyjechali na Białoruś na festiwal muzyczny, może potwierdzać tę zmianę.

Marek Budzisz

Brazylia

Zielonoświątkowy gangster z Rio

„Narkozielonoświątkowe" gangi wymuszają zamykanie kościołów katolickich w fawelach położonych w północnej części Rio de Janeiro. Na ich czele stoi jeden z najpotężniejszych baronów narkotykowych z Rio, jednocześnie znany ze swojego zaangażowania w zielonoświątkowych sektach, które od dziesięcioleci zdobywają popularność w Brazylii.

Chodzi o Álvaro Malaquiasa Santa Rosę, znanego bardziej pod pseudonimem Peixão (Wielka Ryba). Jego przydomek wprost nawiązuje do ryby – symbolu pierwszych chrześcijan. Władza bossa gangu narkotykowego sięga tak daleko, że zdecydował się zamknąć kilka miejsc katolickiego kultu w obrębie kontrolowanej przez siebie aglomeracji faweli zamieszkiwanych łącznie przez ok. 100 tys. ludzi. Enklawy biedy nęka bezrobocie, alkoholizm i narkomania, a państwo nie ma większego wpływu na to, co się w nich dzieje. Od czasu, gdy w 2016 r. Peixão przejął w nich władzę, przyjęły one nazwę Complexo de Israel. Nawiązuje ona do wywiedzionego z Biblii przekonania, że powrót Żydów do Ziemi Świętej będzie oznaczał drugie przyjście Chrystusa i związany z tym apokaliptyczny Armagedon.

Jak donosi brytyjski „The Guardian", terytorium kontrolowane przez gangstera zostało oznaczone flagami Izraela oraz graffiti przedstawiającymi cytaty z psalmów, a nad całością dominuje neonowa gwiazda Dawida. W przeszłości uzbrojeni bandyci byli oskarżani o plądrowanie świątyń afrobrazylijskich. Teraz posunęli się dalej i zastraszają wiernych z parafii katolickich. W obawie przed bandytami odprawianie mszy w kilku kościołach zostało zawieszone do odwołania, co potwierdzili miejscowi duchowni. Informacjom o zamknięciu świątyń zaprzeczyła z kolei archidiecezja Rio oraz władze miejskie.

Bez względu na to, kto mówi prawdę, historia ta pokazuje rosnące wpływy „narkozielonoświątkowych" bandytów, których nawrócenia są efektem aktywnej działalności kaznodziejów. W Brazylii od kilku dekad obserwowane jest gwałtowne rozprzestrzenianie się wspólnot zielonoświątkowych. Jeśli w 1980 r. stanowiły on niespełna 1 proc. populacji, obecnie jest już ich 30 proc. przy jednoczesnym gwałtownym spadku liczby katolików – dziś to najwyżej połowa mieszkańców Brazylii.

Maciej Walaszczyk

Fot. exsilentroot/Shutterstock.com, Shutterstock x3

eprasa.pl 85e525458b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wyskok szmiry na igrzyskach

Jan Pietrzak

My tu w kółko o swojskiej „Sieci", o swoim podwórku, a tymczasem w Paryżu kręcą się igrzyska olimpijskie. Jedna z niewielu okazji integracji gatunku istot naczelnych, człekokształtnych okupujących planetę zwaną Ziemią. Piękna i ważna impreza, zbliżająca do siebie ludy i kontynenty w podziwie dla uniwersalnych wartości. Impreza z wielką i szanowaną tradycją, wzbudzająca pozytywne emocje i dobre wspomnienia. A jednak zdarzyło się coś paskudnego.

Szaleństwo francuskich organizatorów spowodowało, że spartolono nam sportową przyjemność niespodziewanym incydentem „artystycznym", który okazał się żałosną szmirą. Niby parodia epokowego dzieła Leonarda da Vinci, ale niemająca żadnego związku z jakąkolwiek dyscypliną sportową, była odrażającą karykaturą fundamentalnej opowieści chrześcijańskiej Ewangelii. Bez żadnego związku z czymś godnym, inspirującym światową widownię. Z jakiegoś powodu organizatorzy, zapewne za zgodą postępowej władzy, przygotowali profanację „Ostatniej wieczerzy" na powitanie uczestników igrzysk olimpijskich. Co za dno estetyczne i moralne...

Co się porobiło z Francuzami? Czy istnieją tam jeszcze reprezentanci wysokiej kultury? Gdzie się podziała bohema dbająca o styl tego miasta? Paryski styl to było świadectwo ekstrajakości. Owszem, 100 lat temu bohema lubiła epatować publiczność pod wyzywającym hasłem „épater le bourgeois", ale z tego rodziły się nowe trendy w sztuce, w poezji, malarstwie, muzyce...

Olimpijski happening w Paryżu to obrzydliwość nie do pojęcia. Szlachetne idee olimpijskie, tak bardzo potrzebne mieszkańcom Ziemi w czasie trwających barbarzyńskich wojen, gwałtownych napięć społecznych, francuski rząd postanowił zanurzyć nie w Sekwanie, lecz w ściekach i odchodach.

Kiedy piszę te słowa, sportowcy dopiero się rozkręcają. Należy im życzyć, by świetnymi wynikami zatarli przykre wrażenie niezawinionej przez nich inauguracji. Zwłaszcza Polsce, przeżywającej obecnie pewien spadek formy, przydadzą się zwycięstwa naszych mistrzów. Tak to już jest i żadne ideologie tego nie zmienią, że Biało-Czerwoni atleci dodają nam ducha w szarej egzystencji.

Mają swój udział w budowaniu zbiorowych emocji sprawozdawcy radiowi i telewizyjni. Źle się stało, że jednego z nich, sprawnego, kompetentnego komentatora sportowych zmagań, Przemysława Babiarza, usunięto z ekipy z powodu użycia słowa „komunizm". To już nie wina Francuzów, to nasz wstyd. Prymitywna cenzura, prostackie maniery, karczemne wrzaski...

Pora na zmianę stylu, rodacy, by nie stoczyć się w stronę ogólnej ohydy!

Nadciąga nanana

Z Julią Skibą, Pauliną Sumerą, Jagodą Kudlińską i Julią Błachutą z grupy Lor rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

To był cel? Grać ponadjęzykowy wakacyjny utwór „Nanana"?

„Nanana" powstało na potrzeby filmu. Wiedziałyśmy, że to musi być bardzo luźna, prosta piosenka, co wbrew pozorom okazało się największym wyzwaniem. Nie miałyśmy jeszcze okazji przetestować jej na żywo poza Polską, ale w naszym kraju działa dokładnie tak, jak miała – ludzie tańczą do niej i śpiewają.

Film „Drużyna A(A)" trafi do kin 20 września. Jak wspominacie pracę z ekipą?

Nigdy wcześniej nie miałyśmy okazji robić muzyki typowo pod obrazek i nigdy nie brałyśmy udziału w filmie. Na planie spędziłyśmy jeden dzień zdjęciowy i byłyśmy pod wielkim wrażeniem tego przedsięwzięcia. A wspomnienie takiej liczby osób uczących się choreografii do naszej piosenki (która tego dnia była zapętlona od rana do wieczora) zostanie z nami na zawsze.

Co znaczy nazwa zespołu Lor? Kto go tworzy? I gdzie można was usłyszeć?

Nazwa Lor pochodzi od słowa „folklor". Kiedy zakładałyśmy zespół, folk był gatunkiem, którego słuchałyśmy najczęściej i wydawał nam się najbardziej podobny do tego, co tworzyłyśmy. Jakiś czas temu Piotr Metz powiedział, że z folkloru wzięłyśmy tę mniej oczywistą cząstkę i może coś w tym jest.

Jesteśmy przede wszystkim czterema przyjaciółkami, w tym roku będziemy świętować 10-lecie naszej działalności, w co nadal nie możemy uwierzyć. Oczywiście naszą muzykę można usłyszeć na wszystkich platformach streamingowych, ale zapraszamy też na koncerty w ramach jesiennej trasy zwieńczonej jubileuszowym występem w klubie Stodoła 10 stycznia 2025 r.

eprasa.pl 85e525458b

Silne NATO w Europie

Marta Kaczyńska-Zielińska

NATO zacieśnia współpracę z państwami w regionie Indo-Pacyfiku: Australią, Japonią, Koreą Południową i Nową Zelandią. W aktualnej sytuacji relacje z partnerami popierającymi dotychczasowy porządek międzynarodowy stają się coraz ważniejsze, aby móc sprostać globalnym wyzwaniom. Bezpieczeństwo Europy jest powiązane z bezpieczeństwem regionu Indo-Pacyfiku. W miarę, jak wielu członków NATO dostarcza Ukrainie broń i amunicję do walki z Rosją, ich zapasy w regionie euroatlantyckim kurczą się. Tymczasem przemysł obronny Korei Południowej, Australii i Japonii ma potencjał szybkiego zwiększenia mocy produkcyjnych.

Przywódcy państw Indo-Pacyfiku po raz pierwszy uczestniczyli w szczycie NATO w 2022 r. w Madrycie. Rozmowy koncentrowały się m.in. na cyberobronie. Sytuacja geopolityczna wymaga jednak przede wszystkim pogłębiania współpracy przemysłowej w dziedzinie obronności. W przemówieniu „Nowa konwergencja w regionie Indo-Pacyfiku" wygłoszonym w Singapurze sekretarz obrony Lloyd Austin powiedział, że Stany Zjednoczone oraz ich sojusznicy i partnerzy w regionie Indo-Pacyfiku „przełamują bariery narodowe i zabiegają o lepszą integrację przemysłów obronnych". „USA wraz z Japonią opracowują narzędzia przeciwdziałania zagrożeniom hipersonicznym. W Indiach ma miejsce wspólna produkcja silników myśliwców i pojazdów opancerzonych" – dodał.

USA oraz ich sojusznicy w Azji i Europie chcą rozszerzyć swój potencjał w zakresie przemysłu obronnego i zrobić to tak szybko, jak to możliwe, a mają temu służyć dzielenie się technologią, koprodukcja i wspólne inwestycje.

Doświadczenia wynikające z trwającej już niemal 2,5 roku wojny na Ukrainie, aneksji Krymu, ataku na Gruzję i wieloletniej wyniszczającej wojny w Czeczenii zsumowane z pokazowymi ćwiczeniami wojsk białoruskich i chińskich przy polskiej granicy dobitnie uzmysławiają szkodliwość polityki resetu, która przyczyniła się także do niezrealizowania promowanej przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i prezydenta USA George'a Busha jr. idei rozszerzenia NATO o Gruzję i Ukrainę.

8 sierpnia minie 16 lat od wkroczenia rosyjskich wojsk na terytorium Gruzji. Ten marsz zatrzymała interwencja prezydenta Lecha Kaczyńskiego i przywódców państw Europy Środkowej: prezydentów Litwy, Estonii, Ukrainy i premiera Łotwy, którzy 12 sierpnia wspólnie udali się do Gruzji i wzięli udział w wiecu w stolicy tego kraju. Prezydent Lech Kaczyński, przemawiając na demonstracji w Tbilisi, ostrzegał: „Wiemy dobrze, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę!".

Francja była mediatorem w pokojowym rozwiązaniu wojny rosyjsko-gruzińskiej, ale w rezultacie Gruzja straciła część swojego terytorium. Wiele lat później, w 2019 r., prezydent Macron zainicjował „dialog zaufania i bezpieczeństwa z Rosją", który jego zdaniem miał pozwolić na pokojowe zakończenie kryzysu w stosunkach Rosja–Zachód rozpoczętego w 2014 r. nielegalną aneksją Krymu i wojną w Donbasie. Koncentracja rosyjskich wojsk w lutym 2022 r. przy granicy z Ukrainą nie zmieniła przeświadczenia francuskiej głowy państwa o tym, że Rosja nie zaatakuje.

Podczas szczytu NATO w Bukareszcie w 2008 r. Lech Kaczyński zdecydowanie i twardo wyrażał przekonanie, że jeżeli chcemy być bezpieczni, to musimy przyjąć do Sojuszu Północnoatlantyckiego Gruzję i Ukrainę. Tę inicjatywę zablokowały Francja i Niemcy. Następnie Federacja Rosyjska zaatakowała Gruzję, a później Ukrainę. Gdyby posłuchano prezydenta Kaczyńskiego, to wielce prawdopodobne, że za naszą wschodnią granicą nie trwałaby dziś wojna.

Przed kilkoma miesiącami prezydent Andrzej Duda zaproponował zwiększenie nakładów na obronność z 2 proc. do 3 proc. PKB przez wszystkie państwa Sojuszu. W przededniu lipcowego szczytu NATO w Waszyngtonie Rosjanie ostrzelali największy szpital dziecięcy na Ukrainie, manifestując swoje poczucie bezkarności. Rosyjska gospodarka działa w trybie wojennym. Kolejne doniesienia o aktach barbarzyństwa dokonywanych przez Rosjan uzmysławiają, jak pilna jest potrzeba zwiększenia wydatków na obronność i zdolności produkcyjne branży zbrojeniowej w państwach NATO w Europie.

REKLAMA

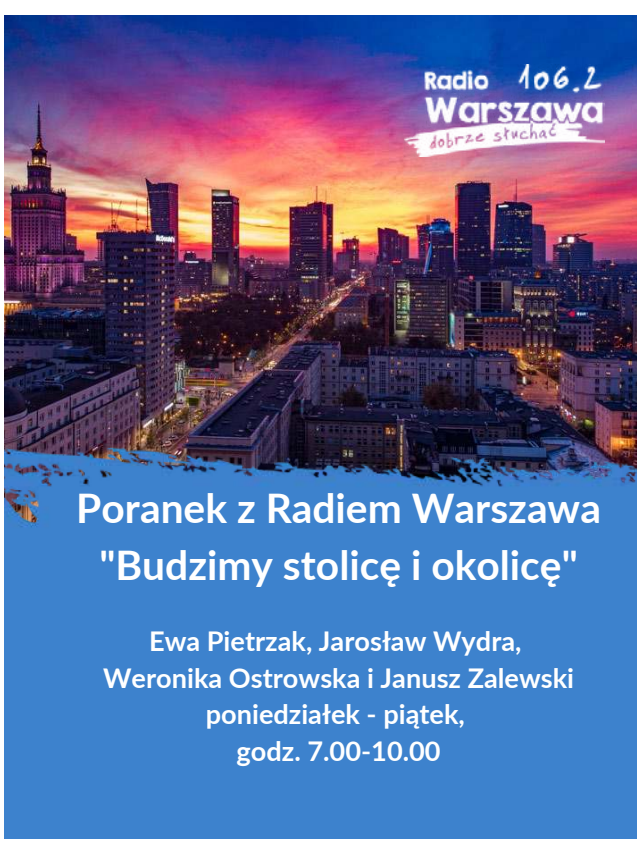

15/0724/F

eprasa.pl 85e525458b

Walizka Waldemara Gujskiego

adwokata, miłośnika polskiej tradycji ziemiańskiej i sarmackiej, właściciela dworu w Gałkach

Nasze podróże napędza pasja, którą na szczęście podziela moja kochana żona i tu należą się jej podziękowania, bo gdy nie ma takiej zgodności w małżeństwie, to wiadomo – jest równia pochyła i rozwód. Oboje jesteśmy „chorzy na Polskę" i podróżując po Europie, odwiedzamy antykwariaty, gdzie szukamy głównie poloników. Polski dwór jest absolutną kwintesencją polskości, bo nie było takiego zjawiska gdzie indziej na świecie poza Rzecząpospolitą i trochę Szwecją. Polskość była tak atrakcyjna, że do niej dążono i wielu cudzoziemców się polonizowało. Dlatego staramy się zbierać przedmioty, które świadczą o sile, tradycji, trwaniu i tożsamości naszego narodu.

ZEGAREK

Pochodzi z lat 60. Zegarek Tissot po ojcu. Za głębokiej komuny dostał go w prezencie od wdzięcznych współpracowników.

PREZENT

Przeszłość przyszłości. Pierścień od mojego przyjaciela, hetmana kolekcjonerów polskich Ryszarda Janiaka w dowód wdzięczności za zaangażowanie w gromadzeniu przedmiotów polskiej tożsamości i polskiej kultury szlacheckiej.

PIERŚCIEŃ RYBAKA

Kopia pierścienia Jana Pawła II, naszej absolutnej gwiazdy na przestrzeni wieków.

MEDAL

Medal wybity z okazji 25-lecia reaktywowanego po wojnie Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, który otrzymałem wraz z żoną za kultywowanie tradycji ziemiańskich.

eprasa.pl 85e525458b

KOŚCIUSZKO
Płaskorzeźba wykonana z gruszy w Wiatce na Syberii po powstaniu styczniowym 20 stycznia 1886 r. Na rewersie dedykacja: „Portret naszego kochanego Naczelnika – Jan Gujski swojemu przyjacielowi kochanemu Stasiowi Sasorskiemu".

KIELISZKI TURYSTYCZNE
Zestaw kieliszków do spożywania podczas podróży napojów innych niż woda.

2 ZŁOTE
Z okresu powstania listopadowego. Monety bite w tym czasie były jedynymi pieniędzmi suwerennej państwowości polskiej w XIX w.

„DWÓR – POLSKA TOŻSAMOŚĆ"
Maciej Rydel (w linii prostej od Lucjana Rydla z „Wesela"), znawca i piewca polskich dworów, posiadacz 14 tys. zdjęć polskiej architektury szlacheckiej (także tej nieistniejącej), opublikował album „Dwór – Polska tożsamość", w którym znalazły się nasze Gałki.

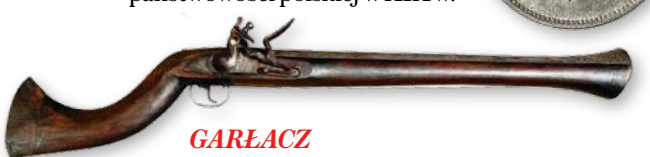

GARŁACZ
Egzemplarz z przełomu XVII i XVIII w., zakupiony za granicą przez mojego przyjaciela Krzysztofa Ledwonia – właściciela największej w Europie kolekcji broni wschodniej.

RELIKWIARZ
Srebrny, repusowany. W środku znajduje się fragment franciszkańskiego sznura. Wniosek, że artefakt pochodzi z jednego z zakonów franciszkańskich.

BESTSELLER
Razem z Dawidem Zdebiakiem napisałem książkę „Kontrakty menedżerskie i inne umowy cywilnoprawne o świadczenie pracy. Wzory", która doczekała się kilku wydań i od ponad dwóch dekad jest najbardziej wszechstronna w swojej dziedzinie. Clou kontraktu menedżerskiego, który jest opisany w tej książce, jest płacenie za wyniki. To się nam wszystkim bardzo opłaca jako społeczeństwu czy narodowi. Bo dobry menedżer powoduje, że ludzie mają pracę, państwo ma podatki, ZUS ma składki, a gospodarka się rozwija.

RYNGRAF
Oryginalny ryngraf I Brygady Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Wokół Matki Boskiej widnieje hasło „Królowo Korony Polskiej w Tobie Nadzieja Nasza", a na samym dole pod orłem: „Z krwi morza i łez morza zmartwychwstania przyjdzie zorza".

HIGIENA
Walizka z przyborami do higieny osobistej. Rękojeść brzytwy oraz szczotki do zębów wykonane są z kości słoniowej. Jak widać, zamożny mężczyzna sprzed wieków nie ustępował w higienie dzisiejszemu.

GENERAŁ SKRZYNECKI
Rycina wydana we Francji, która ukazuje naszego generała z powstania listopadowego.

Fot. Michał Korsun, archiwum Waldemara Gujskiego

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

eprasa.pl 85e525458b

Problemy rosną, car się chowa

Samuel Pereira

Lud czekał, a on przemówił. Mijały dni, każda godzina milczenia ciążyła coraz bardziej, ale stało się. Donald Tusk zatweetował. Dobry car, źli bojarzy.

Rosnąca inflacja, procedura nadmiernego deficytu, zwijanie PKP Cargo i zwalnianie pracowników, Polacy w Libanie pozostawieni sami sobie, agresywny wobec dziennikarzy wojskowy, wyczyny czarnoskórego mężczyzny w Katowicach, pobicie Zofii Klepackiej przez „nieznanych sprawców", skandal związany z traktowaniem więźniów politycznych, afera z zawieszeniem Przemysława Babiarza za podanie prawdziwej informacji w czasie transmisji z otwarcia igrzysk olimpijskich, żenujące tłumaczenia jego bezpośredniego szefa, „dyrektora" Jakuba Kwiatkowskiego, niepokojące informacje o metodach stosowanych przez „sygnalistę" Romana Giertycha, ten dyscyplinuje szefa „Rzeczpospolitej", a następnie PKW, na którą naciskają politycy władzy, drastyczna podwyżka cen papierosów, nowe podatki – to tylko kilka tematów, które mimo wakacji pojawiają się każdego dnia i nieszczególnie interesują pana premiera. O jego własnej asystentce nie wspomnę, bo pewnie miał już nieprzyjemności w domu z tego powodu.

Słowem, cała masa tematów, ale Tusk, tak chętnie dotąd tweetujący – już nie ma czasu, odpoczywa i zastanawia się, jak znowu sprytnie odwrócić uwagę. I wymyślił: sprawę Babiarza sprowadził do „głupoty" jego i jego szefów, zrównując ofiarę ze sprawcami. Klasyk. A sytuacja jest coraz bardziej poważna. Gdy kraj boryka się z licznymi problemami, od rosnącej inflacji po skandale polityczne, Polska potrzebuje lidera, który stawi czoło wyzwaniom, zamiast chować głowę w piasek albo odwracać uwagę od istotnych kwestii. Zamiast usprawiedliwiać zaniedbania i zrzucać winę na innych, może czas, by Tusk i jego ekipa skoncentrowali się na realnych problemach, które trapią obywateli? Bo w końcu niezależnie od politycznych sympatii wszyscy zasługujemy na rząd, który nas słucha, reaguje na nasze potrzeby i działa w naszym interesie. Odpowiedzialne przywództwo to coś więcej niż tylko sprytne zagrania i medialne show. Chyba że rządzący mają całkowicie inne zadania i rozwalanie kraju, chaos oraz niepokoje to właśnie jest ich cel.

wPolityce.pl
NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz
WEJDŹ NA: wPolityce.pl

eprasa.pl 85e5254458b

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR, P.WODZYŃSKI/EAST NEWS, A.BANAS/GAZETAKRAKOWSKA/EAST NEWS, TWITER/THEOLYMPICGAMES, SHUTTERSTOCK, INSTAGRAM

Autopromocja

TRENDY I OWĘDY

Wolne pokoje

Jak podaje portal Turysci.pl: „Dramat w Łebie. Na kwaterach widnieją dwa słowa. »Wolne pokoje«". Czyli wszystko w kurortach wraca do normy. Gorzej sytuowani nie przeszkadzają spędzać wakacji celebrytom. Nie zajmują miejsca na plaży ani nie wyjadają w smażalniach. Za czasów PiS był bon turystyczny. W czasie jego trwania wydatki Polaków na wyjazdy wyniosły 3 mld zł. Teraz słuch o takim bonie zaginął. Na Infolinii dla Obywatela w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej nikt nie odbiera. W sumie słusznie, co tu ludziom tłumaczyć? Nie widzą, jak jest? Tym bardziej że ludzie są złośliwi. Nie współczują właścicielom nadmorskich kwater, tylko przypominają, że w tym regionie Polski nagminnie głosuje się na Platformę. Jest demokracja, można głosować na „wolne pokoje".

Ryszard Makowski

Zupełnie inna sytuacja panuje w Zakopanem. Przez Krupówki trudno się przecisnąć, a to za sprawą niezwykle licznych przybyszów z krajów arabskich. Zakopane wygląda prawie jak Dubaj. Liczba hidżabów w zasięgu wzroku imponująca. Możemy być dumni z tego, że nasza zimowa stolica jest atrakcyjna latem dla przybyszów z odległych krain. Na nartach pewnie nie jeżdżą.

To znaczy jest jeden minus. Szejkowie mają zasobne portfele, a górale, wiadomo, potrafią liczyć dudki. Identyczna bransoletka kupiona niedawno w Sopocie za 18 zł tutaj jest wyceniona na 57 zł. My jeździliśmy do Tunezji, Egiptu... oni przyjeżdżają do nas. I to jest w porządku, ale zagraża nam najazd egzotycznych gości premiera Tuska. Trzeba im zapewnić lokum i utrzymywać. Lepiej nie ryzykować z tabliczką „Wolne pokoje".

eprasa.pl 85e525458b

Pani od rzęs i kalendarza premiera

W ostatnich miesiącach regres polskiego państwa widzimy w przestrzeganiu prawa, gospodarce czy rezygnacji z obrony naszych interesów na arenie międzynarodowej. Do tego doszła katastrofa wizerunkowa w związku z tajemniczą współpracownicą Donalda Tuska. Padają pytania o zabezpieczenie kontrwywiadowcze wokół szefa rządu, a także o granice kompromitacji państwa, którego premier bierze na asystentkę ukraińską specjalistkę od depilacji brwi

MAREK PYZA

Jeszcze kilka dni temu w jednym z warszawskich salonów urody niczego nieświadome klientki oddawały swe twarze w ręce nie byle kogo, bo osobistej asystentki Donalda Tuska. Była ona zachwalana na stronie firmy jako „zakochana w anatomii skóry" absolwentka kosmetologii, specjalizująca się w „technikach stylizacji i upiększania okolicy oka i brwi". Piszemy w czasie przeszłym, bo jej zdjęcie i opis zniknęły ze strony gabinetu. Okazuje się, że Kristina Woronowska, bo o niej mowa, nie pracuje już w tym miejscu, co potwierdziliśmy w salonie.

Może to być efekt burzy, jaka rozpętała się po ujawnieniu informacji, iż atrakcyjna Ukrainka, w dodatku kosmetolog, znalazła się w najbliższej orbicie polskiego premiera i jest jedną z dwóch jego społecznych asystentek jako posła zgłoszonych Kancelarii Sejmu. Oprócz niej na tej krótkiej liście znajduje się Patrycja Czerska. Ona jednak nie budzi niczyich wątpliwości. Jest warszawską radną Platformy Obywatelskiej, od lat działa w samorządzie oraz strukturach partii. No i nie ma przeszłości, która każe się zdumiewać, jak ktoś taki mógł zostać asystentem szefa polskiego rządu.

CÓRKA OKUPANTA

Po informacji o zgłoszeniu na stronach Sejmu Woronowskiej jako asystentki Tuska, internauci ruszyli do przeszukiwania sieci. Wielu chciało się dowiedzieć, kim jest kobieta, która na profilach w mediach społecznościowych nie przypomina kogoś ze świata polityki, lecz pozuje w koronkowych strojach, pokazuje kolana z kieliszkiem wina czy wygina się w pozach charakterystycznych dla instagramowych atencjuszek. Z jej wpisów wynika, że mieszka i pracuje w Warszawie, ale nierzadko bywa w Sopocie, rodzinnym mieście Donalda Tuska.

Zanim głos zabrał ktokolwiek z obozu rządzącego, stało się wiedzą powszechną, że mamy do czynienia z urodzoną w sierpniu 1989 r. w Międzyrzeczu Podlaskim pod nazwiskiem Potopalska córką radzieckiego wojskowego, który stacjonował (*de facto* okupował Polskę) wraz z towarzyszami z 3. Samodzielnej

eprasa.pl 85e525458b

Zdjęcia publikowane przez Kristinę Woronowską na jej instagramowym profilu

Warszawskiej Brygady Łączności Naczelnego Dowództwa (była to oczywiście jednostka Armii Radzieckiej) w pobliskiej Kęszycy Leśnej. Po rozpadzie ZSRR i wycofaniu z Polski jego wojsk rodzina Potopalskich wróciła na Wschód, a konkretnie na Ukrainę, pod Winnicę, gdzie w Kalinówce Kristina chodziła do szkoły. Wiemy to z jej własnych wpisów na rosyjskojęzycznych portalach.

Wśród jej znajomych internauci odnajdują m.in. aktualnego specjalistę od systemów łączności mieszkającego dziś w Sankt Petersburgu, to prawdopodobnie ktoś z rodziny. Wyświetleni zostają również jej rosyjscy znajomi, z których niektórzy obnoszą się ze wsparciem dla putinowskiej agresji na Ukrainę.

Wreszcie pojawiają się naturalne pytania o związki współpracownicy Tuska z obniżką VAT dla branży beauty. To segment rynku, o który w czasie kampanii wyborczej lider Platformy Obywatelskiej szczególnie zabiegał, niespodziewanie obiecując mu obniżenie kosztów fiskalnych. Tu – wyjątkowo – słowa szybko dotrzymał.

Do tych wątpliwości odniósł się Michał Łenczyński, szef Beauty Razem, organizacji zrzeszającej salony urody, która przypisuje sobie doprowadzenie do zmian w podatkach. Według jego zapewnień Woronowska nie odegrała w tej sprawie żadnej roli, choć przyznał, że do organizacji przystąpiła już cztery lata temu.

Pozostaje nam więc pogodzić się z tym zbiegiem okoliczności i nie łączyć działalności zawodowej asystentki premiera z obniżką podatków dla jej branży – przy podnoszeniu wielu innych danin przez koalicję 13 grudnia.

JAK JEJ SIĘ UDAŁO?

Zanim głos zabrał rzecznik partii, w obronie Woronowskiej stanęła dzielnicowa radna Platformy z warszawskiego Mokotowa. Od Natalii Polubiec dowiedzieliśmy się jednak przede wszystkim, że w tej partii walka z tzw. mową nienawiści obowiązuje tylko w jedną stronę. Zaczęła od wyzwisk: „Kilka słów o pisowskich wieprzach, ich kłamstwach i zaszczutej dziewczynie".

Następnie krewka działaczka PO rozprawiła się z kompetencjami pani Kristiny: „Po kolei – »kosmetolożka asystentką premiera«. Jak to doskonale brzmi, jak można na tym wspaniale budować domysły. Tylko trzeba przemilczeć, że oprócz tego Krystyna Voronovska jest magistrem ekonomii i pracowała jako specjalista w bankach. Nie mówiąc już o tym, że na kosmetologię zdecydowała się tylko po to, żeby przyjechać do Polski. Polski, która była jej marzeniem. Aplikowała do pracy w bankach w Polsce, ale okazało się, że ta ścieżka kariery dla specjalistów z Ukrainy nie była dostępna. Musiała znaleźć inną branżę i znalazła. Zajęła się kosmetologią. Skąd my to znamy? Czy nie podobnie wyglądają losy polskich emigrantów?".

Trudno mieć jakieś uwagi do jej ścieżek zawodowych, ale czy każda pracowita dziewczyna ze Wschodu, która nie może znaleźć roboty w wyuczonym zawodzie, musi od razu wyłaniać się u boku szefa rządu? Czy wyobrażamy sobie sytuację, w której Polka z wykształceniem ekonomicznym emigruje do Niemiec, aby się utrzymać podejmuje pracę jako np. opiekunka osób starszych i nagle zostaje asystentką kanclerza?

Wróćmy do pani Polubiec i jej wpisu: „Ojciec był radzieckim wojskowym. No był w wojskach powietrznych, a potem służył w armii ukraińskiej. Historia podobna jak wielu bohaterów ginących dziś na wojnie z Rosją".

Jak trafiła do Platformy? „Zgłosiła się do pracy w biurze PO, bo szukano osób do pracy dorywczej. Pracowała jak wół i wyrobiła sobie doskonałą renomę. Zlecano jej coraz więcej zadań, aż w końcu zaproponowano stałą współpracę. I tak magister ekonomii opuściła gabinet kosmetyczny i została asystentką". Tyle że asystentką została w maju, a jeszcze pod koniec lipca jej usługi były reklamowane na stronach salonu urody.

A tak relacjonował Wirtualnej Polsce rzecznik partii Jan Grabiec: „Krystyna pracuje u nas w Platformie od 2022 r. Została przyjęta na stanowisko sekretarskie, gdy szukaliśmy nowych ludzi, żeby rozbudować biuro przed kampaniami wyborczymi. [...] Szukała pracy w bankach, a gdy nie mogła jej znaleźć, zatrudniła się w gabinecie kosmetycznym. Ale cały czas odpowiadała na zaproszenie rekrutacyjne i tak trafiła do nas. Szefowa naszego biura Monika Krzepkowska uznała, że Krystyna ma potencjał, że dobrze mówi po polsku, bo jest z pochodzenia Polką i że warto dać jej szansę. [...] Była wybijającą się pracownicą i na początku tego roku, gdy tworzyliśmy biuro poselskie posła Tuska, to razem z Moniką Krzepkowską zarekomendowaliśmy szefowi dwie osoby do prowadzenia tego biura, w tym Krysię".

I niech ktoś zaprzeczy, że za Tuska łatwiutko zrobić karierę. W poprzednim numerze opisywaliśmy ustawkę z kampanijnego spotkania w Ustroniu, gdzie Michał Dąbrowski udawał zwykłego obywatela zatroskanego stanem zadłużenia państwa, a dziś jest opływającym w luksusy prezesem Agencji Rozwoju Przemysłu, szastającym publicznym groszem.

Minął tydzień i nie możemy się nadziwić historii ukraińskiego Kopciuszka,

eprasa.pl 85e525458b

który na tyle dobrze mówi po polsku i świetnie sprawdza się w pracy sekretarskiej, że został asystentem premiera i prowadzi jego biuro poselskie. Czym dokładnie zajmuje się Kristina Woronowska? „Relacjami w ramach biura poselskiego" – to słowa samego Jana Grabca, które nie rozwiewają domysłów.

Szef KPRM dodał też, że „jak każda osoba, która pojawia się w otoczeniu premiera, została sprawdzona przez polskie służby, które nie miały zastrzeżeń". Potwierdził to rzecznik MSWiA, dodając, że żadnych szczegółów – daty ani zakresu weryfikacji Ukrainki – nie poznamy.

GRATKA DLA OBCYCH SŁUŻB

Wydaje się, że lakoniczne wyjaśnienia w tym wątku nie zamykają sprawy. Wręcz przeciwnie – wśród specjalistów z obszaru specsłużb mnożą się wątpliwości. Stanisław Żaryn, doradca prezydenta, a wcześniej dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego w KPRM, zamieścił na platformie X (d. Twitter) serię pytań:

„Czy PO była świadoma, że Pani ma – o czym znów mówił J. Grabiec – powiązania rodzinne z Rosją, zaś jej ojciec był oficerem Armii Czerwonej? Czy było jasne dla decydentów z PO, że ojciec Pani Kristiny pełnił także służbę w strukturach bezpieczeństwa Ukrainy? [...] Czy fakt, że asystentka Przewodniczącego PO, a obecnie Premiera, publikuje dwuznaczne zdjęcia, które mają wpływ na jej wizerunek oraz rzutują na wizerunek Premiera i Szefa PO, wywołał jakąś reakcję Premiera i jego współpracowników? Czy fakt, iż znajomi Pani Voronovskiej publikują w mediach społecznościowych treści sugerujące poparcie dla wojny Rosji przeciwko Ukrainie był i jest znany Premierowi i jego współpracownikom? Czy ta sprawa była omawiana z Panią Kristiną?".

Odpowiedzi są konieczne nie tylko po to, by zaspokoić ciekawość opinii publicznej, lecz także ze względu na wizerunek szefa rządu RP, który dziś obciąża kontrowersyjna nominacja. Ciężko bowiem mówić o zachowaniu należytej higieny, jeśli dopuszcza się osobę z takimi powiązaniami do najbliższego otoczenia premiera i olbrzymiej wiedzy o funkcjonowaniu szefa polskiego rządu – z kim się spotyka, nad czym pracuje, o czym rozmawia.

Potwierdzają to słowa wysokich funkcjonariuszy służb specjalnych, cytowane przez „Rzeczpospolitą". Oto niektóre z nich. „Otoczenie premiera, kręgów władzy to gratka dla każdego wywiadu. Nawet jeśli ta osoba nie została wprowadzona w otoczenie premiera z poruczenia służb ukraińskich, to jest ona łakomym celem w przyszłości. Dla służb wszystko jest cenne i nie jest ważne, czy taka osoba ma dostęp do dokumentów, czy tylko jest stylistką czy wizażystką". „Ta pani powinna być wycofana z otoczenia premiera. Po drugie, służby powinny szczegółowo zbadać całą historię tego, jak znalazła się w KPRM, kto za tym stoi, kto ją rekomendował. Żelazna zasada służb jest taka, że w przypadku cudzoziemców jakiekolwiek wątpliwości przemawiają na ich niekorzyść". „Z punktu widzenia ryzyk wizerunkowo-politycznych sytuacja, mówiąc delikatnie, jest kłopotliwa [...]. Jest wystarczająco dużo osób w Polsce o takich samych kompetencjach, których zatrudnienie nie rodzi tak poważnych skutków natury wizerunkowej".

> Tym, co minimalnie powinien przyjąć do wiadomości premier Tusk, jest fakt, że po prostu nie wypada mu wystawiać na pośmiewisko siebie i wysokiego urzędu, który sprawuje, poprzez zatrudnianie w roli asystentki specjalistki od depilacji brwi

Tym, co minimalnie powinien przyjąć do wiadomości premier, jest fakt, że po prostu nie wypada mu wystawiać na pośmiewisko siebie i wysokiego urzędu, który sprawuje, poprzez zatrudnianie w roli asystentki specjalistki od depilacji brwi. „Tajemnicza asystentka Tuska", „Piękność w koronkach u boku premiera" – nie chodzi tylko o uniknięcie takich tytułów w tabloidach, lecz także bezpieczeństwo państwa.

Można kpić z wątpliwości, czy za karierą Ukrainki nie stoją obce służby, ale te szyderstwa najwięcej radości wywołują tam, gdzie Polsce nie życzą dobrze. Nadto nie raz i nie dwa okazywało się, że piękne, niewinne niewiasty, których nikt nie podejrzewałby o niecne działania, demaskowano jako agentki Moskwy.

Galerię takich sław zebrał na portalu wPolityce.pl Dariusz Matuszak, przypominając głośne historie z ostatnich lat – Anny Chapman (w rzeczywistości Anna Kuszczenko – była członkiem siatki szpiegującej amerykańską Agencję Bezpieczeństwa Narodowego), Marii Kuhfeldt (Olga Kołobowa, która pod przykrywką projektowania biżuterii we Włoszech rozpracowywała dla rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU bazę NATO i marynarki USA) czy Natalii Burlinowej (politolog, działała m.in. w Polsce, współpracując z Fundacją Batorego, uczestniczyła w konferencjach, udzieliła wywiadu „Tygodnikowi Powszechnemu", dziś jest na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI rosyjskich szpiegów).

Nie ma podstaw, by oskarżać panią kosmetolog z Platformy o szpiegostwo, ale warto mieć świadomość licznie potwierdzanych schematów działania wrogich specsłużb, na które nie sposób zamknąć oczu, gdy mamy do czynienia z tak kuriozalną nominacją w najbliższym otoczeniu szefa rządu.

Zapytaliśmy kancelarię premiera oraz Biuro Krajowe PO o to, jak często pani Woronowska pojawia się w KPRM, jaki jest zakres jej obowiązków, a także m.in. w jakich bankach pracowała. Do zamknięcia tego numeru „Sieci" nie doczekaliśmy się odpowiedzi.

eprasa.pl 85e525458b

Fot. twitter/TheOlympicGames

Olimpijski gwałt

Spektakl, który zainicjował igrzyska w Paryżu, to obraz dokonującej się dziś na Zachodzie rewolucji i tworzonego przez nią świata na opak. „Odbudowaliśmy godność tego kraju [Francji] nie poprzez tożsamość, tylko przez jego projekt polityczny: podążać w przód w dynamicznej historii" – oświadczył w radiu „architekt" ceremonii

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pomińmy bełkotliwość wypowiedzi, która koresponduje z niejasnością myśli – ważne, żeby było w przód. Rozumiemy, że sztabowi przedsięwzięcia przyświecała idea kreacji historii. Naród ma odrzucić swoją przeszłość i rozpoznać się w projekcie politycznym, który nakreślą mu panujące elity. Wyrastająca z historii tożsamość byłaby w tym tylko przeszkodą.

Olimpijskie przedstawienie miało być manifestacją inkluzywności, otwartości, tolerancji i różnorodności, ale nie dla Francuzów odwołujących się do swojej tradycji ani dla Europejczyków, którzy uznają swoje dziedzictwo. Dominujące dziś środowisko uderza w podstawy europejskiej cywilizacji, profanuje jej świętości, obraża wyznawców ciągle największej religii i propaguje odrażającą dla większości antyestetykę.

„Otwarcie" ma oznaczać rezygnację ogółu z uznawanego dotąd ładu kulturowego i uległość wobec nowego porządku. „Tolerancja" w tym wydaniu to

eprasa.pl 85e525458b

pokorne podporządkowanie się większości kaprysom nowej arystokracji, a „różnorodność" to monotonia malowanych na rozmaite kolory, ale porażająco jednostajnych, ideologicznych klisz.

Przeprowadzana na Zachodzie rewolucja ma przeobrazić człowieka, wyemancypować go z jego kulturowego środowiska, zniszczyć tradycyjną, czyli istniejącą, cywilizację, a jej uczestnika sprowadzić do pozycji jednostki bezbronnej wobec dominującej oligarchii, uczynić z niego bezwolnego klienta narzucanych mu towarów i idei, których różnorodność sprowadza się do opakowania.

WŁĄCZANIE, CZYLI SELEKCJA

Reżyser inscenizacji ogłosił, że jego celem jest inkluzywność. To na nią i na różnorodność powoływali się francuscy komentatorzy, jak papugi recytując w kółko te same frazesy. Zdaniem rzeczników fetyszu nowej ideologii „inkluzywność to koncepcja, kultura organizacji i praktyka tworzenia środowiska, w którym każdy człowiek – bez względu na tożsamość, płeć, zdolności, pochodzenie i cechy – jest akceptowany i doceniany".

Centralnym, powtarzającym się obrazem olimpijskiego spektaklu była karykatura „Ostatniej wieczerzy" Leonarda da Vinci, w której apostołów udawali groteskowo wystylizowani transwestyci, a w postać Chrystusa wcieliła się gruba baba z jaskrawym makijażem i aureolą. Dla każdego chrześcijanina to profanacja najświętszych dla niego wizerunków i znaczeń. Czy w ten sposób wyrażać się ma jego „akceptacja i docenienie"?

Dla każdego, nie tylko chrześcijanina, kto przywiązany jest do europejskiej tradycji i rozumie jej wartość ta tandetna karykatura, która deformuje jedno z jej klasycznych dzieł jest nie do przyjęcia. Jaki miał być jej sens, poza tym, że obrażała wierzących?

„Performans dowodził, że »kultura queer« ma takie samo prawo obecności w wysokiej sztuce jak dzieło da Vinciego – odpowiedzą rzecznicy spektaklu. Tyle że obraz renesansowego mistrza odwołuje się do jednego z najbardziej znaczących w Ewangelii wydarzeń i przestawia to w sposób, który budzi zachwyt każdego, kto ogląda sztukę; otwiera głęboką przestrzeń sensów i wyzwala przeżycie piękna. Jego paryska karykatura ma zaspokajać resentyment marginalnej grupy o specyficznych seksualno-estetycznych preferencjach. Czy można to ze sobą zestawiać?

Jeśli uznamy wyczyny transwestytów za wysoką kulturę, popadamy w sprzeczność, bo w ten sposób kwestionujemy hierarchię kulturową, pojęcie kultury wysokiej, a nawet samą ideę kultury. Po to, aby mówić, że coś jest lepsze lub gorsze, wyższe czy niższe musimy dysponować obiektywnymi kryteriami. Wprawdzie żyjemy w dobie relatywizmu, który przyjmuje, że istnieją wyłącznie subiektywne preferencje, ale traktowany poważnie prowadzi on do samozaprzeczenia; modelowi życia, który z niego wyrasta, najbliżej byłoby do skrajnego oportunizmu, a konsekwentne podążanie za nim byłoby faktycznie niemożliwe. Relatywizm służy więc uderzeniu w testowane przez pokolenia pewniki cywilizacji zachodniej, aby w ich miejsce ustanowić nowe, arbitralnie powołane przez establishment.

Mamy zrezygnować z normy w sferze erotycznej (faktycznie oznacza to rezygnację z normy jako takiej) i przyjąć, że wszystko w niej jest jednakowo warte. W ten sposób uderzamy w samą ideę miłości. Jeśli nie ma hierarchii, to tyle samo znaczy dowolne zaspokojenie fizyczne, co trwały, psychofizyczny związek pary, która przekraczając indywidualny egoizm, budować potrafi optymalny wariant międzyludzkich relacji. Ponieważ jednak nie sposób wyeliminować miłości z egzystencji człowieka, następuje jej redefinicja – dzieje się tak również w przypadku innych kluczowych pojęć, takich jak wolność czy dobro. Okazuje się, że właściwie wszystko może być miłością, z tym że najbardziej kwestionowany zostaje jej klasyczny model, który realizuje się w rodzinie i ona sama jako instytucja. W efekcie plagą naszej epoki jest rozkład rodziny, nietrwałość erotycznych związków i coraz powszechniejsza frustracja, która z tego wynika.

Oczywiście reżyser paryskiego spektaklu zadeklarował, że jego głównym tematem jest miłość.

Fot. ProPhoto1234/Shutterstock.com

eprasa.pl 85e525458b

KIEDY MARGINES DYKTUJE NORMY

Nie możemy obejść się bez wartościowania, co demonstruje nam paryskie otwarcie olimpiady. Na czymś musimy oprzeć swoje wybory. Największa i najdroższa kulturalna impreza państwa francuskiego ostatnich lat to decyzja, jak kraj i jego kultura mają zostać pokazane. Ktoś na jakiejś podstawie zostaje wybrany do realizacji widowiska stanowiącego uświetnienie międzynarodowego święta, które w dobie powszechnej laicyzacji jak cały sport urasta do rangi parareligijnego wydarzenia. Otwarcie igrzysk reżyserował homoseksualista, Thomas Jolly.

Nigdy nie interesowały mnie seksualne preferencje twórców, a historia sztuki dowodzi, że nie muszą one determinować ich artystycznych dokonań. Mierzi mnie charakterystyczne dla naszej epoki eksponowanie homoseksualizmu artystów, gdyż redukuje ich aktywność do erotycznych popędów.

O ile seksualne skłonności, w tym homoseksualizm, są sprawą prywatną, o tyle można przyjąć, że nie podlegają one publicznemu osądowi, jeśli jednak robi się z nich sprawę publiczną, naturalną koleją rzeczy stają się obiektem publicznej oceny. Gejowscy działacze usilnie walczą o to, aby homoseksualizm wprowadzić do polityki. Jest to walka o uznanie, domaganie się, aby traktować go jako normę, a więc zakwestionować normy istniejące.

Eksponuję homoseksualizm reżysera dlatego, że stworzony przez niego spektakl został zdominowany przez cały zestaw „nieheteronormatywnosci". Dlaczego tak wyglądać ma przedstawienie, które otwiera igrzyska sportowe? Ano dlatego, że jest to dobry moment dla brutalnej tresury wielkiej liczby ich widzów, którzy w ten sposób mają ugiąć się i podporządkować dyktatowi wpływowego marginesu. To lekcja pokory dla ogółu, który musi uznać, że to panujące elity mają prawo powoływać normy i kryteria. Każdy obiektywny porządek zasad krępowałby, odrzucenie ich daje pełnię władzy.

„Emancypacja" człowieka z ograniczeń tradycyjnego ładu w rzeczywistości otwiera przestrzeń dla działania silniejszych. Tam, gdzie kończą się utrwalone przez pokolenia reguły zaczyna rządzić przemoc. Paryski spektakl to gwałt na wrażliwości i przekonaniach zbiorowości.

Zwyczajowo gospodarze igrzysk w ceremonii otwarcia chwalą się swoimi osiągnięciami i pokazują, co najważniejsze dla ich kraju. Okazuje się, że najważniejsze dla Francji dziś to odwrócenie tradycyjnego podejścia do płci i zakwestionowanie zasad: kulturowej, obyczajowej, estetycznej. Dlatego stałym jego elementem był agresywny transwestytyzm, w którym imitacja płci miała jaskrawo antyestetyczny charakter.

Tolerancja – inny fetysz nowej ideologii – polegać ma nie na tym, że, zgodnie z tradycyjnym podejściem, pozwalamy na funkcjonowanie zjawisk odbiegających od normy, ale że kwestionujemy normę i uznajemy za nią zboczenie. Szybko okazuje się, że na tym się nie kończy i to margines zaczyna narzucać główny nurt, tak jak w przypadku olimpijskiej inscenizacji.

> „Emancypacja" człowieka z ograniczeń tradycyjnego ładu w rzeczywistości otwiera przestrzeń dla działania silniejszych. Tam, gdzie kończą się utrwalone przez pokolenia reguły zaczyna rządzić przemoc. Paryski spektakl to gwałt na wrażliwości i przekonaniach zbiorowości

Pijany Ernest Rohm miał wykrzykiwać akurat w paryskiej restauracji: jeśli narodowi niemieckiemu nie podobają się moje erotyczne gusta, to ja pięścią nauczę go je kochać! Twórca bojówek SA był homoseksualistą, przepraszam: gejem, a na przeszkodzie jego planów stanął Hitler, który rozprawił się z towarzyszem broni. Przywołując tę historię, nie usiłuję powiedzieć, że homoseksualizm jest z natury agresywny, ale, że jak każde nastawienie, może taki być. Dowodzi tego obecna walka o jego uznanie, co mogliśmy obserwować w Paryżu.

TERROR JAKO ŻART

Inną egzemplifikacją inżynierii społecznej było szyderstwo z narodowej tragedii. Stanowiła ją scenka z żoną Ludwika XVI Marią Antoniną. W spektaklu trzyma ona w dłoniach swoją obciętą głowę wyśpiewującą rewolucyjną pieśń „Ça ira". Kluczowym elementem tekstu jest obietnica powieszenia wszystkich arystokratów („a jeśli ich nie powiesimy, to ich rozerwiemy, a jeśli ich nie rozerwiemy, to ich spalimy"). Ścięcie Marii Antoniny było aktem terroru rewolucyjnego, który spełniał definicję ludobójstwa, gdyż miał prowadzić do wytępienia określonej grupy społecznej,

Królowa do polityki się nie mieszała i, co w tym kontekście ma znaczenie mniejsze, ale warte odnotowania, generalnie uznawana była za osobę dobrą i przyzwoitą, choć ofiarę rozmaitych intryg, które do dziś kształtują jej publiczny wizerunek. Scena bawiącej się swoją głową Marii Antoniny parodystycznie nawiązuje do męczeństwa św. Dionizego, patrona Francji, pierwszego biskupa Paryża, który miał nieść swoją obciętą głowę, aby wręczyć ją godnej tego wiernej.

Prawo do żartów? Może więc zażartujmy z Holokaustu, tonących na morzu imigrantów czy po prostu pedałów? To są jednak tematy tabu.

A spektakl paryski demonstruje, co naprawdę „inkluzywność" dziś oznacza. Dominujące elity tworzą porządek według swojego uznania, walcząc z tradycyjnymi fetyszami i tabu powołują swoje bardziej rygorystyczne ich wersje.

We Francji mało kto ośmielił się skrytykować spektakl, który przez swój agresywny antycywilizacyjny charakter był gwałtem na wrażliwości i zdrowym rozsądku ogółu, a także na wizerunku kraju. Przeciwko szyderstwu z chrześcijaństwa zaprotestował francuski episkopat, co, jak się można było domyśleć, nie spotkało się z szerszym zainteresowaniem. Co ciekawe, na słowa krytyki wobec obrażania chrześcijan zdobył się komunista,

eprasa.pl 85e525458b

Jean-Luc Melenchon. Całość przedsięwzięcia radykalnie potępił filozof Alain Finkielkraut. „W ceremonii tej geniusz Francji promieniał swoją nieobecnością" – zauważył ironicznie. Podkreślał brzydotę, obsceniczność, a jednocześnie uległość wobec stereotypów epoki. Piękno zostało przekreślone – powiedział filozof – a „różnorodność świata została zatopiona w planetarnej mieszaninie".

Generalnie jednak wątpliwości wyrażane były za granicą Francji. W niej samej przemoc symboliczna, która zawiera coraz więcej elementów jej realnej odmiany, okazała się skuteczna.

BRZYDOTA JAKO ZASADA

Stałym elementem spektaklu był transwestytyzm, w którym imitacja płci miała jaskrawo antyestetyczny charakter. Skrojony był on pod gust wielbicieli „kultury" queer czy agresywnego homoseksualizmu, czyli marginesu marginesu. I to margines zaczyna narzucać obowiązujące opinie oraz rygorystycznie nadzorować ich przestrzeganie. Ci, którzy je kwestionują, są wykluczani z przestrzeni publicznej jako homofobowie, transfobowie, islamofobowie czy jaką tam jeszcze odmianę diabelskości wykreuje nowa ideologia. Coraz częściej są skazywani z paragrafu o mowie nienawiści.

Człowiek nie może żyć bez zasad, a więc odrzucony porządek zaczyna zastępować jego zaprzeczeniem. Piękno jest kategorią elementarną i intuicyjnie dostępną każdemu (normalnemu) człowiekowi. Znaczy to także, że jest pojęciem faktycznie niedefiniowalnym, gdyż to w oparciu o nie buduje się dopiero porządek znaczeń. To jak bardzo oczywiste i niezbędne do życia jest piękno stosunkowo łatwo pokazać przez jego zaprzeczenie. Ludzie nie chcą mieszkać w odrażających miejscach, uciekają od szpetoty. Stosunkowo łatwo zgodzić się co do piękna natury: olśniewających pejzaży, urodziwych istot. Natomiast piękno w kulturze staje się problemem.

W sztuce od zawsze możliwe było użycie brzydoty jako elementu dzieła. Kłopot nowoczesności polega na tym, że artyści przypisywać zaczęli sobie demiurgiczne kompetencje i uznawać, że są w stanie kreować dzieło w całości, a więc i samodzielnie decydować o istocie piękna.

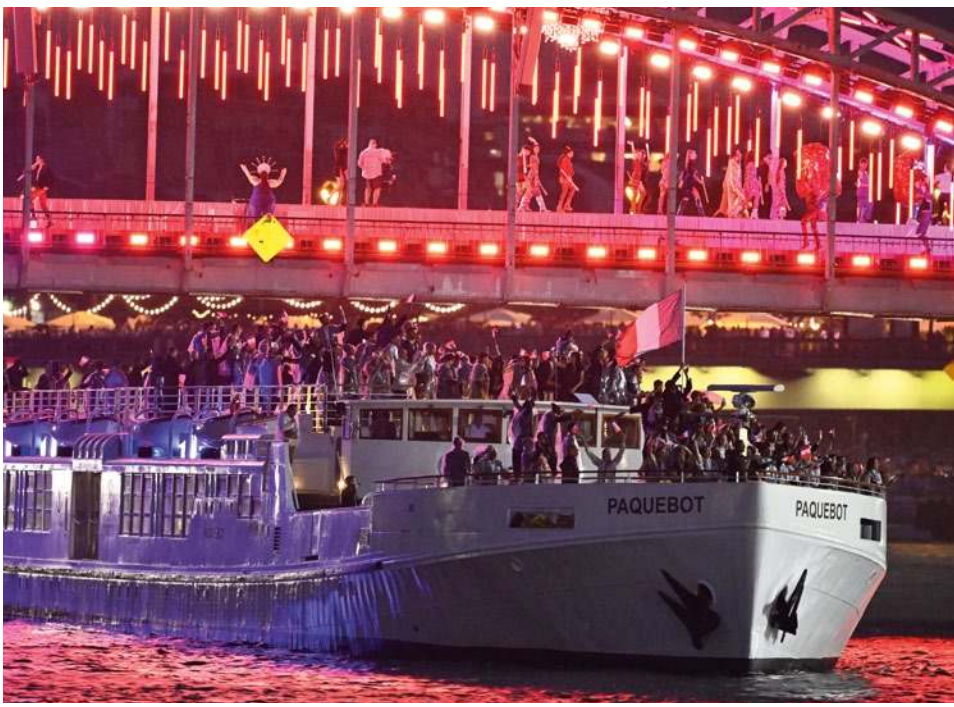

W efekcie zakwestionowana została jego idea. Ale ponieważ nie potrafimy bez niego żyć, elity uznały się za władne dyktować, co jest właściwe, a więc i piękne.

Paryski spektakl miał ciekawe fragmenty, ale całościowo trzymając się estetyki queer, był odrażający. Ogół miał go oklaskiwać i robił to. W imię inkluzywności i tolerancji ma podporządkować się antycywilizacyjnej mniejszości. Ma wyrzec się swojego kulturowego środowiska, które człowiekowi w dużej mierze zastępuje środowisko naturalne i zaakceptować narzuconą mu antyestetykę bluźnierstwa, kiczu oraz brzydoty.

Na tym polega otwartość i tolerancja dominującej dziś antykultury.

ZBRODNIA PRZECIW „IMAGINE"

Tego typu impreza nie mogła się obyć bez współczesnej „Międzynarodówki", czyli „Imagine". W imię różnorodności – naturalnie. „Świat bez nieba, narodów, religii i to jest wizja tego pokoju, który wszystkich ma ogarnąć. To jest wizja komunizmu, niestety" – skomentował ów utwór dziennikarz sportowy, Przemysław Babiarz. Został za to „zawieszony" w prawach dziennikarza TVP.

„Wzajemne zrozumienie, tolerancja, pojednanie – to nie tylko podstawowe idee olimpijskie, to także fundament standardów, którymi kieruje się nowa Telewizja Polska. Nie ma zgody na ich łamanie" – tak uzasadniona została sankcja.

Smaku sprawie dodaje to, że sam Lennon przyznawał się do komunistycznych inspiracji swojej piosenki. Ale w Polsce komunizm nie kojarzy się dobrze, a o „Imagine" można tylko pozytywnie. I tak dowiedzieliśmy się, co znaczy „zrozumienie, tolerancja i pojednanie" zgodnie z nową ideologią.

Front obrońców Tuska i jego telewizji od razu pośpieszył usprawiedliwiać karę dla Babiarza grzmiąc, że jako dziennikarz sportowy nie jest on od komentowania „sztuki", nie pojął głębi dzieła Lennona i nie zauważył, że w innej wypowiedzi beatles powołał się na religijne sentymenty. Wprawdzie w „Imagine" śpiewa on, że aby osiągnąć pokój i szczęśliwość, trzeba zlikwidować m.in. religię, ale wyrafinowani dziennikarze od komentowania wszystkiego wywodzą, że trzeba to rozumieć głębiej.

W liberalnym froncie pojawiły się również głosy, że kara była zbyt surowa, a Babiarzowi trzeba dać szansę reedukacji. Wystarczy, aby przeprosił za to, co powiedział i wytłumaczył, że rozumie wartość nowej „Międzynarodówki".

Prawdziwy sukces gwałciciel osiągnie, gdy ofiara go pokocha.

Fot. A.Ricardo/Shutterstock.com

eprasa.pl 85e525458b

Gry i zabawy po francusku

DARIUSZ MATUSZAK

Ceremonia otwarcia igrzysk nie pokazała Francji i jej minionej wielkości, tylko obecną nędzę jej władców i właścicieli. To im miała się podobać, a nie światu

Nie będziemy recenzować ceremonii otwarcia igrzysk. Każdy widział, jaka to była postępowa i wulgarna tandeta. Reakcje były różne, ale jednej nikt się nie spodziewał. Oto z odmętów internetu znów na świat wychynęły teorie o tym, iż małżonka prezydenta Francji to facet – Jean-Michel Trogneux, który przywłaszczył sobie tożsamość swej młodo zmarłej siostry Brigitte. Paryskie kiczowisko (choć dało się znaleźć kilka pięknych momentów) pobudziło poszukiwaczy prawd i bujd tajemnych, kto chce, zdoła odszukać podpieraną dokumentami historię, w której może i są tysięczne bzdury, ale jest też jedna niekwestionowana prawda. 40-letnia Brigitte uwiodła swojego ucznia, 15-letniego Emmanuela, i związała się z nim, porzucając rodzinę. W większości krajów za taki romans pani nauczycielka wylądowałaby za kratami. Tymczasem Emmanuel i Brigitte są dziś pierwszą parą Francji.

Jaka jest zaś druga para? Tę stanowią premier Gabriel Attal ze swym jeszcze niedawno mężem czy kim tam, ministrem spraw zagranicznych Stéphanem Séjournem. Tuż przed objęciem przez Attala teki premiera panowie podpisali coś w rodzaju rozwodu. Nie wypada, by mąż z mężem czy tam żonem zasiadali w jednym rządzie. W styczniu Attal zastąpił premier Élisabeth Borne. Ta dzieciata rozwódka w dojrzałym wieku poczuła nowe powołanie seksualne i od lat żyje w stadle z panią od ekologii.

Obserwator życia politycznego i uczuciowego we Francji może się teraz zastanawiać, czy to przypadek, że najwyższe stanowiska w tym kraju zajmują ludzie o odmiennych stanach erotycznych, czy też jest w tym prawidłowość, a władcy Francji są jak francuskie społeczeństwo.

ELITY I LUD

Nie są. W żadnym innym kraju na świecie nie ma tak ostrego i głębokiego podziału na elity oraz lud. Owe elity nie są częścią społeczeństwa, nie mają z nim nic wspólnego. To osobna kategoria, coś jak kolonizatorzy władający tubylcami,

epresa.pl/85e525453b

feudałowie z *ius primae noctis* – prawem pierwszej nocy, które pozwala księciu panu rozdziewiczyć kobietę, którą poślubił poddany. Niemal nigdzie na świecie hasło „Wolność, równość, braterstwo" nie zostało tak zbrukane jak we Francji. Nigdzie też jak tam częścią procesów państwowych, kultury politycznej nie jest świat romansowania i uciech cielesnych, który ma dawać przyglądającemu się plebsowi poczucie współuczestnictwa i jakiegoś egalitaryzmu. Seriale z wyższych sfer i rzucona jak ochłap satysfakcja: patrz, nasz ludu umiłowany, my, władcy Francji, jak ty mamy swe słabostki i grzeszki.

By to pojąć, warto znaleźć punkt odniesienia. Ot, spójrzmy choćby na Scholza i Merkel i pomyślmy sobie, jaki wpływ na politykę i postawę klasy politycznej mogą mieć romanse i życie seksualne władców Niemiec. Albo lepiej o tym nie myślmy. Co innego nad Sekwaną. Życie uczuciowe i seksualne stanowi immanentną część francuskiej polityki, życia społecznego i kultury.

Kiedyś było jednak inaczej, tak jak i kiedyś francuska kultura władała światem. Dziś zostały cuchnące popłuczyny. Prezydent Mitterrand chowający na boku nieślubną córkę, Sarkozy, który wśród modelek znajduje trzecią żonę, Holland wymykający się na motorynce z Pałacu Elizejskiego do kochanki budzili rodzaj podziwu, rozczulenia. Jednak to, co niegdyś było zniuansowane, pełne grzesznego powabu, dziś jest ordynarnym wyuzdaniem. Oczywiście i przed laty zboczeńców nie brakowało.

Weźmy takiego socjalistę André Le Troquera, przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, czyli u nas marszałka Sejmu, który w wynajętym dla niego pałacyku myśliwskim Pavillon du Butard organizował dla przyjaciół i kochanki, rosyjskiej hrabianki i aktorki Elizawiety Pinajew, „różowe balety" z 14-letnimi dziewczętami. Tradycje francuskiej lewicy nie rdzewieją i właśnie to zobaczyliśmy na otwarciu igrzysk. Echa i inscenizacje dawnej wielkości w połączeniu ze współczesną pustką, nihilizmem i degeneracją stworzyły olimpijskie widowisko.

By zrozumieć, dlaczego na otwarcie igrzysk Francja postanowiła właśnie tak, a nie inaczej pokazać się światu, trzeba pojąć, że jej władcy i właściciele z nadwornymi pisarzami, artystami i filozofami nadającymi wyuzdaniu i zepsuciu pozór głębi i wyrafinowania to oddzielna na świecie „rasa". Widowisko nad Sekwaną było dla nich.

Opiszmy więc tę oświeconą ciżbę od strony alkowy, która jest najważniejszą częścią salonów i gabinetów władzy. Ostrzegam, czytają państwo na własną odpowiedzialność, będzie obrzydliwie, bo poziom zepsucia jest dla nas niewyobrażalny. To będzie przewodnik po czarnych norach duszy elity Francji. Zobaczmy też, jak wygląda Wolność, Równość, Braterstwo.

ROZWIĄZŁOŚĆ, NIERÓWNOŚĆ, KAZIRODZTWO

Cofnijmy się do lat 80. i przedstawmy sobie trzy równoległe sceny. Daty się trochę nie zgadzają, ale to bez wpływu na istotę opowieści. W telewizorze Serge Gainsbourg i jego córka Charlotte śpiewają przebój o dwuznacznym, mówiącym o kazirodztwie tytule „Lemon Incest". Oboje na łóżku. On półnagi, jedynie w jeansach, ona, 12-letnia dziewczynka, tylko w majteczkach i koszulce. Ona śpiewa ojcu: „Kocham cię ponad wszystko, Miłość, której nigdy nie zaznamy, jest najpiękniejsza, najbardziej wyjątkowa, tak niepokojącą i upojna". On śpiewa córce: „Twoje pocałunki są takie słodkie". W tym samym czasie w paryskim szpitalu umiera na AIDS pedofil Michel Foucault, najsłynniejszy lewicowy filozof Francji, który w Tunezji za drobniaki tuzinami kupował małych chłopców. Na drugim końcu miasta inny filozof, Olivier Duhamel, gwałci swego 12-letniego pasierba Antoine'a Kouchnera. Tę ostatnią historię rodziny i deprawacji opisze w 2021 r. w książce „La Familia Grande" siostra ofiary Camille. Pedofil przyzna się, ale śledztwo z powodu przedawnienia zostanie umorzone.

Dzieje wielkich rodów Republiki – Duhamel i Kouchner to synteza historii władców i właścicieli współczesnej Francji. Olivier Duhamel jest synem wielokrotnego ministra w gabinecie prezydenta Pompidou. Jego bracia władają koncernem medialnym i rządowymi agencjami. Politolog i filozof, mistrz i przewodnik lewicy, telewizyjna gwiazda w ciągu dekad wielkiej kariery posłuje w Parlamencie Europejskim, szefuje Narodowej Fundacji Nauk Politycznych, przyjaźni się z Hollandem i Macronami. Spod jego ręki wychodzą dziesiątki polityków i dyplomatów. Sam kolekcjonuje posady i honory na niezliczonych uczelniach, niczym marszałkowie napoleońscy tytuły. Żeni się zresztą z Leilą Murat, potomkinią jednego z nich – Joachima Murata, Bonapartych i książąt Neuchâtel. Małżeństwo się rozpada, a Duhamel wiąże się z Évelyne Pisier i po ślubie adoptuje jej dzieci z pierwszego małżeństwa, w tym bliźnięta Antoine'a i Camille. Ich ojciec to Bernard Kouchner, działacz komunistyczny, polityk Partii Socjalistycznej, założyciel organizacji Lekarze bez Granic, wielokrotny minister, w tym spraw zagranicznych. Matka, Évelyne Pisier, która wychodzi za mąż za Duhamela, to komunistyczna działaczka z bajecznie bogatej rodziny przed laty rządzącej francuskimi Indochinami, kolaborującej z Vichy i III Rzeszą, kochanka Fidela Castro.

Jest 1987 r. Duhamel przyjmuje do siebie Évelyne oraz jej dzieci i zaczyna regularnie gwałcić 12-letniego Antoine'a. Camille po wydaniu książki opowiada, że cały Paryż wiedział o postępkach Duhamela, bywał u niego na przyjęciach, także w posiadłości na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie nadzy dorośli zabawiali się przy dzieciach i namawiali je do przyłączenia się do nich. O gwałtach na swym synu wiedział też Bernard Kouchner, ale godził się na to. W końcu Duhamel to jego przyjaciel i partyjny towarzysz. Zboczeniec zmuszał zaś dzieci do milczenia mówiąc im, że to mogłoby zabić ich matkę, która całe życie nie mogła pogodzić się z samobójczą śmiercią własnych rodziców.

W 2021 r. książka „La Familia Grande" uruchamia falę podobnych doniesień, choć tak naprawdę miało się zacząć od jeszcze innych wspomnień. Camille opowiada, że ośmieliła ją książka „Le Consetement" („Zgoda"), w której reżyser Vanessa Springora opisuje swój związek nastolatki ze starszym o 36 lat pisarzem Gabrielem Matzneffem. O jego zboczeniu wiedziała cała Francja, bo w swych wydanych pamiętnikach opisywał „zabawy" nawet z 8-letnimi dziećmi, które „kupował" na Filipinach.

eprasa.pl 85e525458b

Matzneff pisał o „wykwintnej miłości" czasami nawet z czterema chłopcami naraz. Przez 40 lat Francja przymykała na to oczy. Podobnie jak na wyczyny Daniela Cohn-Bendita, lidera studenckiej rewolty z 1968 r., przyjaciela Adama Michnika, działacza Zielonych i posła do Parlamentu Europejskiego. Ten już w 1975 r. w książce „Wielki bazar" pisał o swych „przygodach" z dziećmi, w tym 5-letnimi dziewczynkami. Chełpił się tym nawet w wywiadach telewizyjnych. To, że wszyscy o wszystkim wiedzieli, nie przeszkodziło, by w 2016 r. dostał nagrodę Parlamentu Europejskiego.

ŚWINIOWISKA

Po książce Camille nastąpił prawdziwy wysyp podobnych opowieści. Coś pękło, a władze niby zaczęły reagować. Powstał nawet wzorowany na amerykańskim #MeToo ruch #balancetonporc – wyrównaj swe rachunki ze świnią. Do prokuratury zgłosił się Olivier A. i zeznał, że jako 10–14-letni chłopiec był gwałcony przez wuja Gérarda Louvina, jednego z największych we Francji producentów telewizyjnych i filmowych. Do gwałtów miał zachęcać producent muzyczny Daniel Moyne, mąż czy kto tego Louvina. Przeciwko panom już w 2006 r. prowadzono śledztwo w sprawie o gwałtów na adoptowanym przez nich chłopcu, ale sprawę umorzono. Olivier A., który jest siostrzeńcem Louvina, ani myśli odpuścić i chce wyrównać ze świniami rachunki.

Podobnie Coline Berry. 48-letnia aktorka oskarża swego ojca o to, że gwałcił ją, gdy miała 10 lat. Richard Berry to jeden z najsłynniejszych francuskich aktorów i reżyserów. Prokuratura wszczyna też śledztwo przeciwko Dominique'owi Boutonnatowi. Szef państwowego, finansującego produkcję filmów National Cinema Center (CNC), odpowiednika Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, jest oskarżony o próbę zgwałcenia swego chrześniaka.

Kolejne dochodzenie dotyczy jednego z najbardziej znanych we Francji dziennikarzy i prezenterów telewizyjnych. Patrick Poivre d'Arvor przez 30 lat prowadził główne wiadomości stacji TF1. O gwałty oskarża go pisarka Florence Porcel. Młoda, naiwna dziewczyna szuka pomocy u mistrza i zostaje wykorzystana. Kolejne śledztwo dotyczy Maxime'a Cocharda, wielkiej nadziei francuskiej lewicy, działacza Komunistycznej Partii Francji, radnego Paryża. Doniesienie przeciwko niemu i Victorowi Laby'emu – jego mężowi czy tam żonie – składa 18-latek. Oskarża ich o gwałt. Kilka dni później chłopaka znaleziono powieszonego w pokoju akademika.

> W żadnym innym kraju na świecie nie ma tak ostrego i głębokiego podziału na elity oraz lud. Owe elity nie są częścią społeczeństwa, nie mają z nim nic wspólnego. To osobna kategoria, coś jak kolonizatorzy władający tubylcami. Niemal nigdzie na świecie hasło „Wolność, równość, braterstwo" nie zostało tak zbrukane jak we Francji. Nigdzie też jak tam częścią procesów państwowych, kultury politycznej nie jest świat romansowania i uciech cielesnych

Samobójstwo popełnia też jeden z trzech braci Faulon. Jako chłopcy mieli być gwałceni przez jednego z najbardziej znanych artystów – Claude'a Lévêque'a, autora słynnej piramidy w Luwrze. Oskarżenie wnosi jego uczeń, rzeźbiarz Laurent Falon, który jako nastolatek zamieszkał z mistrzem i był jego „małpką". O zgwałcenie 15-latki zostaje oskarżony Jean-Michel Baylet, były senator, minister i lider Partii Radykalnej Lewicy, szef koncernu medialnego Groupe La Dépêche. O traumatycznych przeżyciach z dzieciństwa opowiada były poseł i były wiceszef ugrupowania prezydenta Macrona Bruno Questel. 57-letni polityk jako 11-letni chłopiec miał być wielokrotnie gwałcony. Jedno po drugim toczą się śledztwa. Jedno po drugim są umarzane. Rachunki ze świniami pozostają niewyrównane.

Nawet nie wiadomo, jak opisywać niektóre sprawy. Cztery lata trwa śledztwo w sprawie jednego najważniejszych urzędników resortu kultury. Dewiant przez lata w ministerstwie dosypywał kobietom środki moczopędne do kawy, zamykał je i zmuszał, by załatwiały przy nim swe potrzeby. Potem niczym księgowy rozpisywał wszystko w koszmarnym prywatnym raporcie z tabelkami. Doliczono się ponad 200 ofiar. W Ministerstwie Kultury wszyscy o wszystkim – a jakże – wiedzieli i teraz państwo wypłaca pokrzywdzonym odszkodowania.

Jakże niewinnie wyglądają przy tym skandale związane z publikacją kolejnej erotycznej powieści ministra finansów Bruno Le Maire'a. Z jakichś powodów polityk postanowił ze szczegółami opisywać igraszki ze swą byłą żoną Pauline Doussau de Bazignan. Były prezydent Sarkozy mówił w rozmowie z dziennikarzami, że żal mu Le Maire'a: „On jest bardzo pożyteczny, bo mówi po niemiecku. Biedaczysko pisze książki, których nikt nie czyta. [...] A, przepraszam, jedną przeczytałem. Było w niej o masturbacji!". Talentem literackim i zdjęciami w „Playboyu" błyszczy też była minister od równości i czegoś tam Marlène Schiappa, która natłukła dziesięć powieści w stylu „50 twarzy Greya". Deklaruje, że jest sapioseksualna i to coś tam znaczy.

Taką właśnie Francję pokazano światu w równościowym i postępowym kiczowiskiem na ulicach Paryżu. Do takiej też Francji aspirują i nasze jaśnie oświecone elity.

eprasa.pl 85e525458b

WOJCIECH BIEDROŃ

Tortury i kompromitacja

Ks. Michał Olszewski i dwie urzędniczki z Ministerstwa Sprawiedliwości 31 sierpnia wyjdą na wolność, ale to nie kończy brutalnej szarży ludzi Tuska i Bodnara na polską praworządność

W sprawie Funduszu Sprawiedliwości (FS) Polska weszła w niemal otwarty konflikt ze Zgromadzeniem Parlamentarnym Rady Europy, a o torturach, którym poddani zostali zatrzymani w tej sprawie, zaczyna się mówić na Zachodzie. Czy reżim zatrzyma się tylko na tych ofiarach?

URZĘDNICZKA JAK TERRORYSTKA

Druga połowa czerwca, do Prokuratury Krajowej wprowadzana jest jedna z zatrzymanych do sprawy FS urzędniczek. Mimo że od zatrzymania minęły już niemal trzy miesiące, kobieta ma założone kajdanki zespolone. Ten ich rodzaj niemal uniemożliwia normalne chodzenie, zamieniając je w truchtanie. To zabezpieczenie dla najbardziej groźnych bandytów, terrorystów, tych wszystkich, których zachowanie może zagrażać konwojentom lub prokuratorowi przesłuchującemu taką osobę. Czym mogła zagrozić rosłym konwojentom urzędniczka? Dlaczego użyto takiego drastycznego środka? Dlaczego budzono ją w środku nocy, a gdy wychodziła na korytarz aresztu, usuwano z niego wszystkich innych osadzonych. Rzekomo ma chodzić o jej bezpieczeństwo, ale ciężko uwierzyć, że to rzeczywisty powód.

– Chodzi o pokaz siły, kajdanki zespolone, rozbieranie przy funkcjonariuszach. Ta niepotrzebna ustawka ma zastraszyć osoby zatrzymane. Może chodzi też o nadgorliwość funkcjonariuszy. Kajdanki na rękach i nogach? Tak traktuje się najgroźniejszych bandytów, zbrodniarzy, szczególnie niebezpiecznych – mówi nasz rozmówca ze służb, który pragnie zachować anonimowość.

NIE DAŁA SIĘ ZŁAMAĆ

Jeszcze bardziej przerażająca jest opowieść Urszuli D., kolejnej urzędniczki zatrzymanej przez ABW na polecenie Prokuratury Krajowej. Jej opowieść przekazał telewizji Trwam jej ojciec.

„Pierwszy kontakt adwokata z córką był po 11 dniach od zatrzymania. Dopiero wtedy zaczęły docierać jakieś pierwsze informacje, ale one nie były tak przerażające, jak się później dowiedzieliśmy, w jaki sposób była traktowana. Więcej niż przez miesiąc nie mogła zmienić nawet ubrania. [...] Praktycznie dopiero po sześciu tygodniach mogła się przebrać" – opowiadał Andrzej Skrzetuski, ojciec Urszuli D. „Jeśli chodzi o jedzenie, to też raczej nie jest jakieś wykwintne. W ostatnim liście, jaki otrzymaliśmy, informuje, że straciła na wadze 10 kg. Kontakt z córką jest mocno utrudniony. Listy, jeśli docierają, to z bardzo dużym opóźnieniem – od czterech do sześciu tygodni. Wysłałem sześć listów do córki, chyba tylko jeden dotarł. Oczywiście są cenzurowane. Jest nawet na tych listach znaczek, że ocenzurowano" – przyznał ojciec Urszuli D.

Prokuratorom nie udało się złamać pani Urszuli. Zza krat napisała dla swojej mamy ikonę. Jej poruszająca relacja, przekazana przez ojca, stała się symbolem odwagi.

DO NAGA

Ciężką rękę władzy poczuł też na własnej skórze poseł Marcin Romanowski. Skandal z jego zatrzymaniem i próbą aresztowania ma już charakter międzynarodowy. Jemu w trakcie wizyty funkcjonariuszy ABW nakazano rozebrać się do naga. Potem nałożono mu kajdanki, choć nikomu nie zagrażał i sam tuż po odebraniu mu immunitetu zjawił się w prokuraturze, chcąc złożyć wyjaśnienia w tej sprawie. Nie znaleziono wtedy dla niego czasu. Zatrzymano go kilka dni potem. Rzecz jasna przy tłumie dziennikarzy przez funkcjonariuszy w kominiarkach.

– Oczywiście nie znam materiałów z tego postępowania, ale moją uwagę zwróciła kwestia dotycząca ewentualnego rozbierania się podczas zatrzymania. Pierwszy raz od 1994 r. spotykam się z sytuacją, że w czasie zatrzymania rozbiera się zatrzymanego! Oczywiście należy przeszukać osobę dla jej bezpieczeń-

Fot. Andrzej Banas/Gazeta Krakowska, Andrzej Wiktor, Shutterstock

stwa, gdyż jest ona w dużym stresie oraz dla bezpieczeństwa funkcjonariuszy, ale nie w ten sposób. Rozmawiałem z wieloma osobami i nigdy nie spotkaliśmy się z podobnym przypadkiem. Pracowałem na różnych szczeblach, także zajmując się zorganizowanymi grupami przestępczymi o charakterze zbrojnym. Nawet ich tak się nie traktowało – powiedział nam płk dr Grzegorz Ocieczek, były wiceszef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Centralnego Biura Antykorupcyjnego, który przez lata nadzorował walkę ze zorganizowaną przestępczością i niebezpiecznymi gangsterami.

POD PRESJĄ

Zdaniem wszystkich obrońców zatrzymanych do sprawy FS doszło do zastosowania tortur wobec ich klientów. Przeciętnemu człowiekowi słowo „tortury" kojarzy się z biciem, zadawaniem bólu, sadystycznymi metodami znanymi z okupacji niemieckiej czy z działań komunistycznej bezpieki. Dziś mogą one polegać właśnie na budzeniu w nocy, zakładaniu kajdanek zespolonych czy upokarzającym rozbieraniu się w obecności funkcjonariuszy. Studium tortur zrelacjonował sam ks. Olszewski, którego opowieść przedstawiliśmy w tygodniku „Sieci".

Ujawniliśmy, że duchowny przez kilkadziesiąt godzin nie otrzymał nic do jedzenia i że utrudniano mu dostęp do adwokata. Z jego relacji wynika też, że funkcjonariusze doprowadzili do jego publicznego upokorzenia w trakcie transportowania go do Warszawy. ABW i Ministerstwo Sprawiedliwości stanowczo zaprzeczyły tym faktom, ale opis praktyk stosowanych wobec twórcy Profeto potwierdzają jego relacje.

Po naszej publikacji i ogromnej dyskusji, którą wywołała sprawa księdza, sytuacja duchownego uległa znacznej poprawie. To nie zmienia jednak faktu, że był on narażany na złośliwości ze strony prokuratury.

– Proszę sobie wyobrazić, że ksiądz Michał nadal nie otrzymał zgody na otrzymanie paczki higienicznej. Wystąpiliśmy o to od razu po zatrzymaniu [marzec tego roku – red.]. Prokurator wciąż nie wydaje na to zgody, a Służba Więzienna nie może tego zrobić sama. Takie złośliwości nadal się pojawiają, ale jeśli chodzi o poziom łamania praw człowieka, to on się pozytywnie zmienił – mówi nam dr Michał Skwarzyński, obrońca księdza Olszewskiego. – Ksiądz Michał jest w dobrej kondycji psychicznej. Odczuwa wsparcie wiernych oraz mediów. Słyszał też modlitwy pod aresztem, otrzymał od państwa ok. 1 tys. listów.

Ks. Michał Olszewski

Poseł Marcin Romanowski

eprasa.pl 85e5254580

Służba Więzienna przekazuje mu tę korespondencję, w której znajduje wsparcie – dodał obrońca duchownego.

LIST DO ONZ

Sprawa ks. Olszewskiego zatacza coraz szersze kręgi. Z inicjatywy dr. Michała Skwarzyńskiego zainteresowała się nim ONZ. To ogromny sukces obrony księdza oraz dwóch urzędniczek, a także posła Marcina Romanowskiego. W piśmie do przewodniczącego Komitetu Przeciwko Torturom ONZ, Rady Praw Człowieka przy ONZ oraz do Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych wprost czytamy o torturach, jakim został poddany duchowny. „Proszę Państwa Organizację o interwencję i zaangażowanie się w sprawę Ojca Michała Olszewskiego. Ksiądz poddany został torturom i jest traktowany w sposób nieludzki i poniżający. Minister sprawiedliwości nie wszczyna w tej sprawie żadnego śledztwa i wydaje nieprawdziwe oświadczenia. Na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości można przeczytać, że nie złożono odwołania od aresztu księdza. Następnie szef ABW zamieszcza na stronie internetowej Agencji oświadczenie, w którym przyznaje się do stosowania tortury wobec Michała Olszewskiego. Pozostaje to bez reakcji. [...]. W związku z brakiem jakichkolwiek działań ze strony władz państwowych skierowałem list otwarty do Ministra Sprawiedliwości Adama Bodnara, który również pozostaje bez odpowiedzi" – napisał dr Michał Skwarzyński w piśmie do komisarzy ONZ.

KLĘSKI SĄDOWE

Pisma do ONZ, która nadała sprawie stosowną sygnaturę, to nie koniec złych wiadomości dla bodnarowców i Donalda Tuska. Ich rajd na praworządność zaczyna trafiać na potężne zapory. Najpierw Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa nie zgodził się na areszt tymczasowy dla posła Marcina Romanowskiego. Sędzię powstrzymał mistrzowski ruch mec. Bartosza Lewandowskiego, który podniósł, że parlamentarzystę chroni nie tylko immunitet poselski (ten został mu skutecznie uchylony), lecz także ochrona przysługująca mu z racji bycia członkiem Zgromadzenia Ogólnego Rady Europy. Został więc wypuszczony na wolność, ale Prokuratura Krajowa zaskarżyła tę decyzję do sądu wyższej instancji. Groteskowe zagranie śledczych może spowodować otwarty konflikt Polski i Rady Europy, ale to nie interesuje nominatów Bodnara. Brną w zaparte, ryzykując ośmieszenie nas na arenie międzynarodowej.

W ub. środę prokuratura poniosła kolejną klęskę. Sąd Apelacyjny w Warszawie skrócił areszt tymczasowy dla ks. Olszewskiego oraz dwóch urzędniczek z FS.

> Nie ulega wątpliwości, że działania bodnarowców i sprawa tortur będzie musiała wrócić po tym, jak obecna władza przestanie rządzić. Wiedzą o tym prokuratorzy i część sędziów. Wiele z tych spraw trafi też do europejskich trybunałów, które mogą nie mieć litości dla przedstawicieli obecnej władzy

Przy okazji okazało się, że upadły ważne argumenty oskarżenia, a zdaniem obrony prokuratura zwyczajnie ośmieszyła się w trakcie posiedzenia w SA w Warszawie.

„Dowiedzieliśmy się jednej nowej rzeczy, prokuratura nie jest w stanie przedstawić sensownego planu śledztwa" – mówił mec. Skwarzyński w trakcie posiedzenia aresztowego. „Doszło do zmiany kwalifikacji jednego z zarzucanych czynów. [...] Jest to dla nas bardzo istotna wskazówka, bardzo istotna okoliczność, dlatego że ona całkowicie zmienia optykę postępowania i patrzenia na sprawę w kontekście planów i zarzutów, które do tej pory stawiała Prokuratura Krajowa" – wtórował mec. Adam Gomoła, pełnomocnik uwięzionych urzędniczek, tuż po decyzji sądu o skróceniu aresztu dla całej trójki podejrzanych.

CZY TO UCIECZKA?

Jeszcze jeden fakt świadczy o tym, że bezprawne działania śledczych nie wytrzymują zderzenia z rzeczywistością. Chodzi o nagłe przejście w stan spoczynku prokurator Marzeny Kowalskiej, szefowej owianego złą sławą Zespołu Śledczego nr 2, który zajmuje się Funduszem Sprawiedliwości. Jaki jest powód nagłego przejścia na emeryturę? Oficjalnie chodzi o „przyczyny osobisto-rodzinne", ale w Prokuraturze Krajowej aż huczy od plotek. Zdaniem wielu naszych rozmówców może chodzić o presję na śledczych i pośpiech, który jest im narzucany, jeśli chodzi o „rozliczanie PiS".

Nie ulega wątpliwości, że działania bodnarowców i sprawa tortur będzie musiała wrócić po tym, jak obecna władza przestanie rządzić. Wiedzą o tym prokuratorzy i część sędziów. Wiele z tych spraw trafi też do europejskich trybunałów, które mogą nie mieć litości dla przedstawicieli obecnej władzy, szczególnie w przypadku jawnego łamania praw człowieka. Ten sądowy i międzynarodowy rykoszet może szczególnie zaboleć dzisiejszych siepaczy spod znaku Tuska i Bodnara.

Ale to także dobry moment, by spytać, kto kierował tym przerażającym procederem, który miał na celu miażdżyć wolności obywatelskie i kręgosłupy zatrzymanych osób. Powszechnie mówi się, że „rozkaz", by stosować najbardziej drastyczne środki przyszedł „z samej góry". – W pewnym momencie zdano sobie jednak sprawę, że to nie działa i może skończyć się tragicznie, że tych ludzi nie da łatwo złamać. Rozpoczęło się więc luzowanie „sankcji" – mówi nam osoba znająca kulisy śledztwa ws. Funduszu Sprawiedliwości.

Jedno jest pewne i tego panicznie boją Tusk z Bodnarem. Wszystkie szczegóły dotyczące brutalnego traktowania zatrzymanych osób wyjdą w końcu na jaw, a akta sprawy zostaną spenetrowane przez prawdziwie niezależnych dziennikarzy i prawników. Wtedy trzeba będzie odpowiedzieć za ten horror.

eprasa.pl 85e525458b

Trybunał pod presją

Uchwalona przez Sejm 24 lipca ustawa mająca obalić orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego z ostatnich ośmiu lat jest aktem unikalnym, zadziwiającym i niemającym precedensu

Przyznają to nawet oficjalni eksperci rządu i parlamentu, zobowiązani do dołączenia do każdej ustawy tzw. oceny skutków regulacji (OSR). W dokumencie tym, łatwym do odnalezienia na sejmowym portalu legislacyjnym, trzeba m.in. porównać proponowane polskie przepisy do analogicznych rozwiązań zastosowanych w innych europejskich państwach demokratycznych. W przypadku tej wyjątkowej ustawy autorzy OSR otwarcie jednak przyznają, że nie są w stanie przeprowadzić jakiegokolwiek porównania. Czegoś podobnego bowiem nie

JAN ROKITA

uchwalono dotąd nigdy i nigdzie. To, co obecna większość rządowa uchwala w zdominowanym przez siebie Sejmie, stanowi zatem całkowite kuriozum w dziejach ustawodawstwa cywilizowanych państw.

CO ZROBI PREZYDENT?

Gdy piszę te słowa, nie wiadomo jeszcze, co z tym niezwykłym aktem prawnym zamierza począć Andrzej Duda. Wyjście, które prezydent parę razy stosował przy konfliktowych aktach prawnych, czyli podpisanie ustawy i skierowanie jej do kontroli przez Trybunał Konstytucyjny, tym razem byłoby absurdalne. Raz – ponieważ w ustawie chodzi właśnie o faktyczną delegalizację orzecznictwa tego Trybunału, dwa – bo sam fakt podpisania i promulgacji ustawy sprawiłby, iż przyszłe orzeczenie TK o jej

eprasa.pl 85e525458b

niezgodności z konstytucją byłoby już z góry nieważne właśnie z powodu przepisów owej ustawy. Prawnicza kwadratura koła, jaka by się tu pojawiła, byłaby już niemożliwa do rozwikłania w żaden sposób. Prezydent zatem ma do wyboru prostą alternatywę: podpisać, dając przyzwolenie na bezprawie, albo zawetować, wdając się zapewne tym samym w najostrzejszą i otwartą wojnę z premierem i całym obozem rządzącego centrolewu.

ABSURDY I NONSENSY

Treść ustawy, dla pozorów noszącej techniczną nazwę „przepisy wprowadzające", daje się z grubsza sprowadzić do trzech rzeczy. Pierwsza to unieważnienie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego zapadłych po 2015 r., jak i wszystkich czynności urzędowych, które w tym czasie podjęli sędziowie Trybunału. Te orzeczenia oraz czynności sędziowskie (przesłuchania, rozprawy, wezwania itp.) mają być traktowane tak, jakby nigdy ich nie było. Co jednak ciekawe, ta fikcja nieistnienia Trybunału po 2015 r. nie jest do końca konsekwentna. Z pragmatycznych zapewne powodów niektóre (choć trzeba przyznać – marginalne) akty Trybunału mają obowiązywać, np. umorzenia postępowań z powodu niestawiennictwa wnioskodawcy na rozprawie.

Ale co ważniejsze, dziwaczny pomysł autorów ustawy jest taki, iż wszystkie decyzje urzędników i wyroki sądów powszechnych, które zapadły na podstawie orzeczeń Trybunału, zostają podzielone na dwie grupy: te, które są już prawomocne, pozostają w mocy, a te, które jeszcze prawomocności nie zyskały, zostaną podważone. Innymi słowy: jeśli np. na podstawie wyroku Trybunału w sprawie tzw. wcześniejszych emerytur ZUS zdążył już komuś podnieść należną emeryturę, jest to czysty zysk takiego wcześniejszego emeryta. Ale jeśli nie zdążył, to podwyżki już nie będzie, bo wyrok Trybunału w tym przypadku zostanie uznany za nieważny. Niesprawiedliwość i nonsens tej sytuacji widać zapewne gołym okiem.

Rzecz druga, która jest istotą tej ustawy, to uznanie części sędziów zasiadających w Trybunale po 2015 r. za „osoby nieuprawnione do orzekania". Chodzi oczywiście o tych, którzy zostali wybrani przez Sejm zdominowany przez PiS w miejsce unieważnionych wyborów, jakie w ostatnich dniach swoich rządów przeprowadził w 2015 r. obóz Tuska. Tamten prawny spór jest dobrze znany i nie ma wątpliwości, iż jego obie strony (tzn. zarówno obóz Kaczyńskiego, jak i Tuska) dopuściły się wtedy naruszenia przyzwoitych procedur i dobrych obyczajów. Owym „osobom nieuprawnionym do orzekania" ustawa nie odbiera jednak statusu sędziów, pozwala im nawet dalej orzekać w sprawach, które w Trybunale są w toku, tyle tylko, że ich przyszłe wyroki (co już wiemy z poprzedniego punktu) z góry unieważnia.

Co więcej, ci sędziowie nie mogą przejść w „stan spoczynku" (czyli na faktyczną sędziowską emeryturę), co chyba zostało pomyślane jako forma finansowej represji, zważywszy na iście faraońskie przywileje emerytalne sędziów w Polsce. Musieliby chyba zatem dotrwać w Trybunale do końca swoich kadencji, albo wydając nadal z góry nieważne wyroki, albo nie wykonując żadnych czynności, które przecież i tak miałyby zostać uznane za nieistniejące. Jak (z właściwą sobie bystrością) zauważa w opinii dotyczącej tej ustawy prof. Ryszard Piotrowski z UW, w jej efekcie musiałby zatem zostać dokonany zdumiewający podział sędziów Trybunału na sędziów „pełnych" i „częściowych". Jedni i drudzy zasiadaliby w Trybunale, ale ci pierwsi mieliby prawo orzekania jako sędziowie, a ci drudzy, choć też będący sędziami, nie mogliby skutecznie orzekać, gdyż większość czynności, które by urzędowo podjęli (choć nie wszystkie, o czym mowa już była wyżej) byłyby z góry nieważne.

I znów chyba nikogo przytomnego nie trzeba przekonywać, iż absurd goni tu absurd na skalę w istocie niepojętą dla ludzkiego rozumu. A wszystko to sprawia takie wrażenie, jakby jakiś złośliwy gnom zamierzał po prostu zakpić sobie z polskiego państwa.

W europejskiej kulturze prawnej jeszcze od czasów rzymskich obowiązuje tzw. reguła racjonalnego ustawodawcy. Wedle niej wszystko, co uchwala Sejm, musi być interpretowane jako rzecz rozumna, gdyż w przeciwnym razie każde prawo mogłoby być przez kogoś podważone, a w efekcie zapanowałaby anarchia. Dlatego uchwalanie przez Sejm czegoś, co jest oczywiście absurdalne i niemożliwe do logicznego zastosowania, jest rzeczą tak poważną i niebezpieczną. Sprawia bowiem, że wszelki porządek prawny traci oparcie. I nikt już nie może być odtąd pewien żadnych swoich praw.

Trzecia istotna rzecz w ustawie jest stosunkowo najprostsza i choć też kłóci się z konstytucją oraz poczuciem sprawiedliwości, jest przynajmniej logiczna i dająca się wprowadzić. To czystka personalna wśród pracowników biur Trybunału Konstytucyjnego. Ustawa zakłada, że będzie ją można prowadzić aż przez 15 miesięcy, wyrzucając w tym czasie bez podania przyczyn każdą osobę obecnie zatrudnioną w Trybunale. Co ciekawe, będzie można wyrzucać też asystentów prawnych samych sędziów, co jest świetnym pomysłem na uniemożliwienie poszczególnym sędziom wykonywania ich pracy. Każdy, kto widział kiedykolwiek jakieś orzeczenie Trybunału, jest świadom, iż żaden, nawet najwybitniejszy i najbardziej pracowity sędzia sprawozdawca nie jest w stanie przygotować wyroku sam. Wyrok to wynik zespołowej pracy trybunalskich prawników, wobec których istniał dotąd wymóg posiadania co najmniej stopnia doktora praw. Teraz owych doktorów można by było po prostu wylać z roboty według uznania, a sędzia niech sobie bada sprawy i pisze orzeczenia sam. W końcu przecież i tak poda się do dymisji, jeśli wcześniej nie umrze na zawał albo nie strzeli sobie z rozpaczy w łeb.

DRUZGOCĄCE OPINIE

Jest jeszcze jedna rzecz związana z tą ustawą, niezwykła i pozbawiona precedensu. Na portalu sejmowym, gdzie publikowany jest tekst ustawy, przekazanej teraz prezydentowi, zwyczajowo zamieszczane są również kluczowe opinie prawne na jej temat. Tym razem są to dwie opinie warszawskich konstytucjonalistów: wspomnianego

eprasa.pl 85e525458b

już prof. Ryszarda Piotrowskiego oraz prof. Piotra Radziewicza. Owa niezwykła rzecz to fakt, iż obie opinie uznają ten akt prawny nie tylko za oczywiście sprzeczny z wieloma postanowieniami konstytucji, lecz także za coś kompletnie bezrozumnego, na granicy legislacyjnego obłędu. I co najbardziej zdumiewające, Kancelaria Sejmu nie dołączyła do tekstu żadnych innych opinii. Nie wiem, czy to dowód na resztki intelektualnej przyzwoitości świata prawniczego, który nie chce firmować szaleństw obecnej władzy, czy raczej uczciwość sejmowych prawników, którzy uznali, że te dwie ostre jak brzytwa opinie mówią wszystko na temat tej ustawy. I niczego więcej dodawać tu już nie trzeba.

Prof. Piotrowski zarzuca autorom ustawy antykonstytucyjną próbę przejęcia wymiaru sprawiedliwości przez Sejm (złamanie art. 7 i 10 konstytucji), bezprawną ingerencję w treść wyroków sądowych i obalenie zasady racjonalnego ustawodawcy (złamanie art. 2), nielegalne pozbawienie kompetencji niektórych sędziów (złamanie art. 194 i 195), a także gwałt na prawach pracowniczych (złamanie art. 24). I precyzyjnie punktuje dramatyczne dla ustroju państwa skutki przyjętej w ustawie swoistej fikcji prawnej, wedle której sądy i sędziowie czasami są sądami i sędziami, ale czasami nimi nie są.

Z kolei prof. Radziewicz koncentruje się na podstawowej dla konstytucyjnego ustroju Polski regule niewzruszalności wyroków trybunalskich. Cytuje w opinii komentarz do konstytucji autorstwa prof. Leszka Garlickiego z 2007 r., wedle którego: „niewzruszalność oznacza, że niedopuszczalne konstytucyjnie byłoby powierzenie komukolwiek kompetencji do anulowania bądź zmiany orzeczenia Trybunału". Oczywiście w pierwszej kolejności dotyczy to właśnie Sejmu, którego polityczna większość jest zmienna z wyborów na wybory. Prof. Radziewicz konkluduje, iż ustawa oznacza „dewastację ładu prawnego" panującego w Rzeczypospolitej. A ostrożni zazwyczaj profesorowie prawa rzadko kiedy skłonni są formułować tak radykalne wnioski.

Naczelny prawnik ekipy Tuska minister Maciej Berek (niegdyś szef Rządowego Centrum Legislacji, a dziś z nadania premiera kluczowy minister odpowiedzialny za koordynację prac rządowych) ogłasza, iż do czasu wprowadzenia w życie tej ustawy rząd będzie przyjmować fikcję prawną, wedle której istniejący i działający Trybunał Konstytucyjny nie istnieje i nie działa. „Musimy funkcjonować w systemie, w którym tak naprawdę nie mamy Trybunału" – mówi Berek. Ten irracjonalny punkt widzenia na ustrój i instytucje państwa potwierdza najgorsze przewidywania, zawarte w opiniach profesorów Piotrowskiego i Radziewicza.

Prof. Piotrowski zarzuca autorom ustawy antykonstytucyjną próbę przejęcia wymiaru sprawiedliwości przez Sejm (złamanie art. 7 i 10 konstytucji), bezprawną ingerencję w treść wyroków sądowych i obalenie zasady racjonalnego ustawodawcy (złamanie art. 2), nielegalne pozbawienie kompetencji niektórych sędziów (złamanie art. 194 i 195), a także gwałt na prawach pracowniczych (złamanie art. 24)

CO DALEJ?

Niezależnie zatem od tego, co teraz zrobi prezydent i jaki będzie dalszy los tej szalonej ustawy, Trybunał Konstytucyjny i tak jest już martwy. Jeśli weto Dudy zablokuje ustawę, rząd i tak nie będzie respektować wyroków Trybunału, zatem będą one daremne. A jeśli ustawa wejdzie w życie, rozpocznie się pasmo długotrwałych walk o wyrzucanie poszczególnych sędziów i wieloletnia kłótnia o to, co jest, a co nie jest obowiązującym wyrokiem mającym powagę rzeczy osądzonej.

Tak czy owak, politycy za nic mający państwo, jego instytucje i interes publiczny, zrujnowali Trybunał Konstytucyjny, który jeszcze nie tak dawno był autorytetem w polskiej polityce. Z respektem odnosili się doń wszyscy aktorzy sceny publicznej, także ci, którzy nie podzielali niektórych jego rozstrzygnięć. Przez lata było w Polsce nie do pomyślenia, aby jakiś sędzia albo urzędnik odmawiał zastosowania się do trybunalskiego wyroku. Ale ten lepszy czas już przeminął, a Polska nie będzie w przewidywalnym czasie państwem praworządnym. W Europie są jednak kraje, które obywają się bez kontroli konstytucyjności ustaw, uznając demokratyczną wolę parlamentów za swe prawo najwyższe. Takim krajem jest np. Holandia, nie mówiąc już o Wielkiej Brytanii, z jej odmiennym od kontynentalnego systemem prawnym.

Polska mogłaby się obejść bez Trybunału Konstytucyjnego i nie byłoby to wcale największym nieszczęściem. Tym bardziej że władza polityczna sędziów i tak stała się w ciągu ostatnich lat nazbyt rozległa. Po przyjęciu przez Sejm tej szalonej ustawy żadna ze stron politycznego sporu nie uzna już takiego Trybunału, który naprawdę kontrolowałby konstytucyjność ustawodawstwa. Rzecz tylko w tym, że zniesienie TK wymagałoby zmiany konstytucji, a więc wspólnego działania rządu i opozycji w Sejmie, co oczywiście jest niemożliwe. Dlatego Polska jest skazana niestety na przewlekłe gnicie Trybunału Konstytucyjnego. A ta postępująca trybunalska zgnilizna przez lata będzie się rozsiewać na cały system polityczny i prawny państwa polskiego.

eprasa.pl 85e525458b

Prezydencki s

Kandydat PiS w wyborach prezydenckich w 2025 r. ma być kimś takim, że po jego ujawnieniu politykom obozu rządzącego „buty pospadają”

STANISŁAW JANECKI

Ewentualne zastąpienie Rafała Trzaskowskiego Donaldem Tuskiem w wyścigu o prezydenturę Polski nie robi na nikim wrażenia. Ani w Platformie Obywatelskiej, ani w rządzącej koalicji, ani po stronie opozycji. W ogóle układ rządzący nie ma w sprawie prezydentury w 2025 r. żadnych tajemnic. Wszystko jest przewidywalne, nawet gdyby doszło do podmiany.

Zupełnie inaczej jest po stronie Prawa i Sprawiedliwości. Tu mamy do czynienia wyłącznie z serią zasłon dymnych. A najważniejsza decyzja, czyli wyłonienie prawdziwego kandydata jesienią 2024 r., ma być dla rządzącej koalicji takim szokiem, żeby jej uczestnikom „buty pospadały”. Najlepsza jest bowiem taka kampania, do której polityczni przeciwnicy są najmniej przygotowani. Tak zasklepieni we własnych przewidywaniach, strategiach i ocenach, że nie biorą pod uwagę ich całkowitej nieprzystawalności do realiów.

Powszechne oczekiwanie rządzących jest takie, że wielkiej niespodzianki po stronie PiS nie będzie. Tymczasem bardzo ścisłe kierownictwo partii Jarosława Kaczyńskiego przygotowuje scenariusz, w którym wskazanie pod koniec 2014 r. Andrzeja Dudy jako kandydata na prezydenta było czymś zwyczajnym i łatwym do przewidzenia. A najważniejsze jest to, że ani najtęższi stratedzy Donalda Tuska, ani nawet ważni politycy PiS nie są w stanie się przebić przez kordon tajemnic otaczających rzeczywistego kandydata.

Wypalony już podobno prezes Jarosław Kaczyński przygotowuje niespodziankę nie tylko dotyczącą kandydata na prezydenta, lecz także kształtu samego Prawa i Sprawiedliwości, co zostanie przeprowadzone na jesiennym kongresie partii, który odbędzie się przed wskazaniem kandydata. Kampanię dla niego będzie już zatem prowadzić całkiem inna partia, zmieniona kadrowo, także w głębokim „terenie”. Ale nawet dla tej nowej partii kandydat na prezydenta ma być ogromną niespodzianką. Pozytywną.

WALKI W KISIELU

Na początku sierpnia 2024 r. stan jest taki, że media prześcigają się w podpowiadaniu PiS, kogo ma wystawić jako pretendenta w wyborach prezydenckich w 2025 r. Przy tym media chyba nie pamiętają, że przed wyborami w 2015 r. kandydat PiS na prezydenta został ogłoszony dopiero na początku listopada 2014 r. (w 2020 r. kandydowanie urzędującego prezydenta było przesądzone, więc zaskoczenia nie było).

Stworzona w lipcu 2024 r. przez media lista kandydatów jest coraz dłuższa, co oznacza, że nie wiedzą one, kto jest poważnym kandydatem, kto sam się lansuje, a kto w ogóle nie jest rozpatrywany, mimo że ma znane nazwisko.

W lipcu 2024 r. Wirtualna Polska zbadała (pracownia United Surveys) kandydatów z własnej listy – znaleźli się na niej: Mateusz Morawiecki, Beata Szydło,

eprasa.pl 85e525458b

zok

Przemysław Czarnek, Kacper Płażyński, Marcin Mastalerek, Elżbieta Witek, Mariusz Błaszczak i Tobiasz Bocheński. Ponad 40 proc. badanych odpowiedziało, że nie wie, kto byłby najlepszym kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta. Największe poparcie uzyskał były premier Mateusz Morawiecki – 22,1 proc. Była szefowa rządu, a obecnie eurodeputowana Beata Szydło zebrała 8 proc. poparcia, były szef MEN Przemysław Czarnek 3,5 proc., Kacper Płażyński 2,1 proc., prezydencki minister Marcin Mastalerek 1,2 proc., była marszałek Sejmu Elżbieta Witek 0,6 proc., były szef MON Mariusz Błaszczak 0,5 proc., były wojewoda mazowiecki Tobiasz Bocheński 0,3 proc.

W lipcu 2024 r. na medialnej liście kandydatów PiS znaleźli się były premier Mateusz Morawiecki, były szef MON Mariusz Błaszczak, były wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, były szef MEN Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński (europoseł PiS i były kandydat partii na prezydenta Warszawy), Karol Nawrocki (prezes IPN), Zbigniew Bogucki (poseł PiS i były wojewoda zachodniopomorski), Waldemar Buda (europoseł PiS i były minister rozwoju) i Lucjusz Nadbereżny (prezydent Stalowej Woli). Z tej listy także nic nie wynika.

Bezradne media postanowiły więc uciec do przodu i zrobić symulację drugiej tury wyborów, wybierając faworytów z różnych badań i spekulacji. W sondażu Instytutu Badań Pollster na zlecenie „Super Expressu" (przeprowadzonym jeszcze w czerwcu 2024 r.) postawiono na starcie w drugiej turze Rafała Trzaskowskiego z Mateuszem Morawieckim albo Szymonem Hołownią. Prezydent Warszawy uzyskałby 62 proc. głosów, jeśli zmierzyłby się z Morawieckim, oraz 63 proc. w starciu z Hołownią. To oznacza, że potwierdziły się oczywistości, więc w tym zestawieniu nie ma nawet cienia niespodzianki. A tego oczekują wyborcy, skoro w sondażach rośnie grupa tych, którzy nie wskazują żadnego z branych dotychczas pod uwagę kandydatów, oczekując „innej osoby". Wszystko, co się obecnie dzieje, to swego rodzaju walki w kisielu.

DZIADERSI I SKAMIELINY

Prezes PiS Jarosław Kaczyński odpowiadał na pytania o kandydatów, mówiąc o liście jeszcze dłuższej niż ta, którą przedstawiają media i o tym, że decyzja jeszcze nie zapadła, że wcale nie zależy tylko od niego. Zaznaczył też, iż w związku z wojną kandydatem raczej nie powinna być kobieta, choć to mógł być tylko element gry z mediami i politykami obozu rządzącego, by kontynuowali swoje oderwane od realiów spekulacje.

Długa lista chroni prawdziwego faworyta. Dlaczego? Bo nie pozwala mediom związanym z rządem oraz politykom koalicji sprawującej władzę organizować nagonek i uderzeń. Nieefektywne jest bowiem atakowanie pięciu czy nawet dziesięciu osób na raz, w dodatku ponad dziewięć miesięcy przed wyborami.

Niby wszyscy wiedzą, że kandydat powinien być sprawdzony w samorządzie lub prowadzeniu ważnej instytucji państwowej, ale takich jest wielu. Niby jest oczywiste, że powinna to być osoba potrafiąca panować nad dużymi zgromadzeniami, porywająca tłumy i łatwo nawiązująca kontakt z ludźmi, ale takich też jest sporo. I wszyscy wiedzą, że zarówno sam kandydat, jak i jego rodzina powinni być atrakcyjni dla wyborców, ale to też nie naprowadza na żadne konkrety. Wszyscy wiedzą także, że kandydatem powinna być raczej osoba młoda, może nawet przed czterdziestką. Że powinna mieć nienaganną biografię i wykształcenie odpowiednie do wyzwań przyszłości. W takiej sytuacji kłopot byłby tylko z doświadczeniem w wielkiej polityce. Ale byłoby jeszcze dość czasu, żeby nauczyć się różnych rzeczy.

Na razie mamy więc do czynienia z czymś w rodzaju zabawy w kotka i myszkę, głównie prowadzonej przez media. Ale dla rzeczywistego kandydata PiS te wszystkie gry i zabawy mają znaczenie, gdyż pozwalają mu się zorientować, co jest ważne zarówno dla wyborców, jak i dla mediów, z którymi pod koniec 2024 r. będzie się musiał skonfrontować. I nie będą to w większości media przychylne, układ bowiem jest taki, że dominacja mediów prorządowych wróciła do poziomu z czasów drugiego rządu Donalda Tuska. Rzeczywisty kandydat PIS na prezydenta musi to uwzględnić, szczególnie dominację układu rządzącego w mediach tradycyjnych.

Rzeczywisty kandydat Prawa i Sprawiedliwości w wyborach prezydenckich ma mieć takie cechy, takie pochodzenie i takie walory, o których przez lata mówiono, ale które wydawały się niemożliwe do uwzględnienia w grze partyjnych interesów i ze względu na to, z kim z przeciwnego obozu ma się mierzyć. Jedno powinno się rzucać w oczy od razu – wszyscy ewentualni kandydaci obozu rządzącego (wystawieni w pierwszej turze) mają przy nim wyglądać jak dziadersi, skamieliny, wykopaliska, ludzie innej, odchodzącej w przeszłość epoki. A największym szokiem dla układu rządzącego byłoby to, że nikt tam nie spodziewa się takiego posunięcia PiS i Jarosława Kaczyńskiego i nie przygotowuje do tego, z czym będzie się musiał zmierzyć. Schematy myślenia i działania na to nie pozwalają. Do listopada 2024 r. przeciwnicy PiS nie mogą nic z tym zrobić. Nie mogą przeprowadzić żadnej medialnej nagonki, wypowiedzieć żadnej wojny, bo nic nie wiedzą.

Wprawdzie nikt się oficjalnie jeszcze nie zgłosił, ale wymieniani jako kandydaci Donald Tusk, Rafał Trzaskowski, Radosław Sikorski, Szymon Hołownia, Władysław Kosiniak-Kamysz, Sławomir Mentzen, Krzysztof Bosak, Krzysztof Gawkowski czy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk musieliby przez kilka najbliższych miesięcy walczyć z cieniem. To by oznaczało, że będą walczyć z sobą, co też jest bardzo korzystne dla rzeczywistego kandydata Prawa i Sprawiedliwości. Gdy się ujawni, polityczna scena może być już mocno przerzedzona, a większość kandydatów mocno poobijana. To zaś bardzo zwiększa szanse na wygraną.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 85e525458b

Medialne pranie mózgów

Debata publiczna w zachodnich demokracjach zawsze była nierównym boiskiem, na którym lewicy i liberałom łatwiej przychodziło kłamać i manipulować. Nadeszły jednak lata ich trwogi. Być może do Białego Domu powróci Trump, prawice w Europie sięgną po władzę, a w Polsce Tusk przegra wybory prezydenckie. Im większa stawka, tym na więcej pozwalają sobie media i manipulatorzy

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

13 lipca strach zajrzał w oczy nie tylko zwolennikom Donalda Trumpa, na którego został przeprowadzony profesjonalny zamach snajperski. W popłoch wpadli też przeciwnicy republikańskiego kandydata na prezydenta. Polityk przeżył zamach, a w kluczowej scenie odprowadzania go do opancerzonego samochodu zdobył się na ikoniczny gest zwycięstwa, po raz kolejny pokazując swój medialno-przywódczy geniusz. Zdjęcie z zakrwawionym Trumpem unoszącym pięść z flagą USA w tle już zostało okrzyknięte obowiązkową ilustracją w podręcznikach historii dla następnych pokoleń. I właśnie ta moc, z jaką zareagował polityk, przeraziła liberałów, jeszcze niewyleczonych z wcześniejszej o dwa tygodnie debaty Trump–Biden. Zwolennicy Trumpa odczytali z fatalnego wiecu wiele ważnych dla siebie znaków i doznali wręcz mesjanistycznej aury. A zgodne na całym świecie komentarze dają mu po tym zamachu większe szanse na zwycięstwo.

KŁAMIĄ OD PIERWSZYCH CHWIL

Jak więc potężne medialne ośrodki powinny pokazać te wydarzenia, by przeciwstawić się trumpomanii? W mediach już nikt nie myśli o tym, jak coś przedstawić rzeczowo i zgodnie z faktami, ale jak ma to wybrzmieć. Liberalni dziennikarze w pierwszych opisach wydarzeń pensylwańskiego wiecu nie byli w stanie nawet napisać, co się wydarzyło – że doszło do zamachu na Donalda Trumpa. Z pierwszych nagłówków czytelnik w ogóle nie mógł wywnioskować, co się naprawdę wydarzyło. Przypomnijmy, że podczas wiecu wyborczego ukryty na najwyższym okolicznym dachu 20-letni Thomas Matthew Crooks oddał kilka strzałów w stronę Trumpa, raniąc go w ucho. Postrzelił dwie kolejne przypadkowe osoby i zabił trzecią z nich. To tylko proste zdania oznajmujące, jakże różne od pierwszych manipulacji.

Oto, jak to wydarzenie relacjonowały poszczególne media.

WFMY News 2: „Trump szybko zabrany ze sceny w Pensylwanii po incydencie". Człowiek już prędzej sobie wyobrazi, że prezydent wylał kawę na swoją marynarkę, niż że ktoś prawie go zamordował.

Portal WGRZ: „Dzisiejszy wiec Trumpa został przerwany przez strzały". Tu ktoś może uznać, że doszło do jakiejś strzelaniny albo strzelania w powietrze, a nie do krwawego zamachu, który miał zmienić bieg historii.

Fot. rbfmr/Shutterstock.com

eprasa.pl 85e525458b

CNN dało bardziej dramatyczny, ale bardzo nieprecyzyjny komunikat: „Trump ranny podczas strzelaniny na wiecu w Pensylwanii". Określenie „strzelanina" pozwala zrównać winnych z ofiarami, jakoby dwie strony wymieniały strzały z jakiegoś tajemniczego powodu – a nic z tego nie było prawdą, po prostu polityczna nienawiść popchnęła młodego mężczyznę do zamordowania Donalda Trumpa. Na szczęście zamach był nieudany. Jednak żadnego z laureatów dziennikarskiego Pulitzera nie stać na tak proste konstatacje, bowiem są w grupie tych interesów, które stracą na zwycięstwie Trumpa. I tak w świecie Zachodu staczają się poziom mediów, debata publiczna i cała demokracja.

PIERWSZA SEKUNDA JEST KLUCZOWA

Relacje z tych pierwszych minut po zamachu mają kluczowe znaczenie dla postrzegania tego wydarzenia przez długie lata – to pierwsza wzbudzona emocja będzie towarzyszyć percepcji wyborcy. Jak stwierdzili badacze medialnych manipulacji Anthony Pratkanis i Elliot Aronson, emocje, które powstały na podstawie pierwszego wrażenia wywołanego najszybszymi wiadomościami, pozostają w nas nawet wtedy, gdy nowe i rzetelne informacje wywołają już prawdziwy obraz w naszej głowie. Gdy ktoś się dowiedział, że miał miejsce zamach na Trumpa, później będzie szukał jego przyczyn, zaś ten, kto dowie się o „incydencie", będzie się dopatrywać winy także u ofiar strzelającego. Szybkość i skala zakłamywania rzeczywistości staje się dla liberalnego mainstreamu cnotą.

TRUMP I KACZYŃSKI

I teraz zobaczmy, jakim kontrastem jest liberalny opis zamachu na Trumpa z innym politycznym wydarzeniem związanym z prawicowym liderem. Akurat dzień przed wiecem w Pensylwanii Jarosław Kaczyński powiedział w Sejmie do 10-letniej reporterki, by sobie poszła, bo teraz omawia sprawy zbyt trudne dla dzieci. Nagłówki portali rozgrzały się w antypisowskim szale: „Kaczyński zaatakował 10-latkę w Sejmie" (Onet), „Tak Kaczyński potraktował 10-latkę" (NaTemat). „Szkodliwe słowa Kaczyńskiego do 10-latki" (TVN).

Przy zamachu z ofiarami w ludziach liberałowie piszą o „incydencie", zaś przy odmówieniu dziewczynce odpowiedzi na pytania media z tej samej bańki grzmią o „ataku" na dziecko. Zbliżmy te dwa przekazy jeszcze bardziej: trafienie z karabinu w ucho i próby zabicia to „incydent", zaś odpowiedzenie dziewczynce, że jest za młoda, to „atak". Wszystko zależy więc od tego, gdzie znajduje się znienawidzony przez liberalnych mediaworkerów przeciwnik.

To jest już pranie mózgu, bo w świadomości części odbiorców pojawia się autentyczne przekonanie, że wobec jednej kategorii ludzi można sobie pozwolić na więcej. Słynny przypadek napaści i wyzwisk, które usłyszała nasza reporterka Żaklina Skowrońska od ppłk. Piotra Szymańskiego, w odwrotnym układzie spotkałby się z surowymi karami na oficerze. Wyobrażacie sobie państwo, że to „pisowski" mundurowy wyzywa kobietę na ulicy i grozi przy innych, że ją pobije. „Piekło kobiet" i błyskawice Marty Lempart rozbłysłyby w całym kraju, ale ponieważ zniewaga spadła na dziennikarkę o tradycyjnych wartościach, media przemilczały skandaliczne zachowanie podpułkownika.

Napastliwy furiat atakuje zatem konserwatywnych dziennikarzy, wyzywa ich, przeklina, grozi rękoczynami, całość zajścia jest rejestrowana przez telefony obu stron – i napadniętych, i agresorów. Jak opisywały to liberalne media? Gdy sprawy nie dało się już zamilczeć, uruchomiono szum medialny, który zrównywał sprawców z ofiarami. I tak dziennik „Fakt" podał np. wiadomość: „Wojskowy wdał się w awanturę z Samuelem Pereirą. Z obu stron padają mocne zarzuty". Choć na powszechnie dostępnych nagraniach widać sekwencję zdarzeń i to, kto zachował się niestosownie, liberalny mainstream wstawia się za swoimi ludźmi, nawet gdy są agresywnymi chamami zagrażającymi innym. Wyobraźmy sobie taką retorykę przy dziś już powszechnie znanych sprawach: „Niemcy wdali się w wojnę na początku września 1939 r. Polacy i Niemcy strzelają do siebie nawzajem".

CZEKA NAS TORNADO

Czytelnicy tygodnika „Sieci" znają ten schemat manipulacji salonów III RP, bo prawdę zawsze stawia się na głowie wtedy, gdy może zaszkodzić nadwiślańskim „autorytetom". Z zamachu smoleńskiego zrobiono samobójstwo śp. prezydenta (albo wręcz zbrodnię jego świata), zaś w czasie kampanii prezydenckiej 2020 r. niemiecki dziennik pokazał prezydenta Andrzeja Dudę niczym pedofila, z opisem obrzydliwego czynu na dziecku umieszczonym na wizerunku prezydenta.

Rozmowa o praniu mózgów akurat teraz nie wynika tylko z ostatniego wzmożenia liberalnych mediów, które kłamstwami i szantażami chcą popchnąć kolejne organa państwa w stronę odebrania opozycji subwencji państwowej, a dalej delegalizacji PiS. Nadchodzą bowiem wybory prezydenckie i już za trzy, cztery miesiące poznamy kandydata obozu niepodległościowego. Choćby był to człowiek żywcem zstępujący z nieba, zacznie się kampania dezinformacyjna i prowokacje medialne o niespotykanej dotąd skali. Dziś jedynie urząd prezydenta powstrzymuje (a i tak niemrawo) rozwścieczoną ekipę Donalda Tuska i Adama Bodnara przed zupełnym demontażem państwa. Im naprawdę brakuje już tylko pałacu prezydenckiego, by zrobić z Polską, co naprawdę chcą. A to oznacza, że to, co do tej pory znaliśmy jako typowe pranie mózgów przez wielkie media, okaże się dopiero rozgrzewką.

W tygodniku „Sieci" i w telewizji wPolsce.pl ostrzegamy: nadchodzą takie medialne manipulacje liberalnego mainstreamu, jakich jeszcze nie widzieliśmy. Tylko obrona i rozwój mediów obozu niepodległościowego może nas uchronić przed nową, totalitarną rzeczywistością i nie jest doprawdy kurtuazyjnym czy zwyczajowym naszym zwrotem wobec naszych czytelników – bądźcie z nami i wspierajcie nas. Prawda sama nie zwycięży.

eprasa.pl 85e525458b

Opętany nienawiścią

Na zdjęciach ppłk dr n. med. Piotr Szymański

Już kilka lat temu Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW opublikowało raport, z którego wynikało, że postawy zwolenników partii wówczas opozycyjnych wobec zwolenników PiS są bardziej negatywne niż postawy zwolenników PiS wobec zwolenników ówczesnej opozycji. Wyborcy m.in. PO żywili bardziej negatywne uczucia i chętniej dehumanizowali swoich oponentów politycznych niż zwolennicy PiS. Najwyraźniej nic się w tej sprawie nie zmieniło

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Ty k...o, śmieciu! To jest ludzki śmieć. Powinienem ci pi...dolnąć, grubasie, ale k...wa jesteś za tłusta na to" – ten wulgarny krzyk pod adresem kobiety mogli usłyszeć na platformie X (d. Twitter) jej użytkownicy w ostatni weekend lipca. W sieci pojawiło się nagranie, które przedstawiało kłótnię w ogródku jednej z restauracji w Warszawie. Na nagraniu słychać stek wyzwisk i wulgarnych odzywek pod adresem kobiety i „pisowców". „Ty nie powinieneś wychodzić ze swojej nory pisowskiej, j...any k...asie. P...dol się, k...wa" – krzyczał mężczyzna pod adresem autora nagrania, które trafiło do sieci.

Wulgarne okrzyki wznosił ppłk dr n. med. Piotr Szymański, krajowy konsultant wojskowej służby zdrowia w dziedzinie neurologii!

SŁOWNA NAPAŚĆ NA DZIENNIKARKĘ

Szybko okazało się, że dziennikarzami, którzy byli obecni w piątkowy wieczór w jednej z restauracji przy ul. Foksal, byli Samuel Pereira i Piotr Dziemiańczuk. A towarzyszącą im kobietą, tak wulgarnie potraktowaną przez wojskowego, była Żaklina Skowrońska, reporterka i prezenterka telewizji wPolsce.pl, nasza redakcyjna koleżanka.

O tym, co się wydarzyło, Żaklina opowiedziała w poniedziałek w poranku telewizji wPolsce.pl. „Byłam na miejscu z Samuelem Pereirą, z Piotrkiem Dziemiańczukiem, a więc moimi znajomymi, z którymi spędzaliśmy piątkowy wieczór w tym miejscu. Po tym oświadczeniu, które pojawiło się ze strony pana podpułkownika, uznałam, że sytuacja została przedstawiona w taki sposób, że trzeba powiedzieć prawdę" – relacjonowała Skowrońska.

Do dalszego ciągu relacji reporterki zaraz wrócimy, zatrzymajmy się jednak na chwilę na oświadczeniu ppłk. Piotra Szymańskiego, które pojawiło się w mediach społecznościowych. Stwierdził on, że doszło do „zafałszowania medialnego przekazu": „Będąc z kolegami na mieście, zostałem zaczepiony przez pana Pereirę – nie podobała mu się moja koszula. Chcę Państwu zaznaczyć, że byłem bez munduru, w czasie wolnym, w okolicznościach całkowicie prywatnych. Sytuacja ze strony Pana Pereiry została przedstawiona w wygodny dla niego sposób, a ja przyznaję, że dałem się sprowokować i użyłem słów, za użycie których bardzo Państwa przepraszam, że w sposób niecenzuralny wyraziłem swoją jednoznaczną opinię wobec tych Państwa i pracy, jaką wykonywał Samuel Pereira. Zostałem sprowokowany, uderzony w twarz"

eprasa.pl 85e525458b

– napisał oficer. „Moja odpowiedź nie była symetryczna. Poza odpowiedzią słowną nie było z mojej strony żadnej agresji fizycznej. Jestem oficerem Wojska Polskiego od ponad 30 lat, lekarzem w trzecim pokoleniu, zawsze szanowałem mundur i jestem dumny, że mogę go nosić. Jestem lekarzem i oficerem, człowiekiem, który wielokrotnie w trudnych i wymagających okolicznościach, stanowiących próbę charakteru, stawał po stronie wartości i honoru. Moje doświadczenie zawodowe oraz wojskowe niejednokrotnie wystawiało mnie na próby, w których musiałem wykazać się nie tylko wiedzą medyczną i umiejętnościami, ale także niezłomnym poczuciem etyki i lojalności, bo bycie oficerem to służba i jeszcze raz podkreślę duma" – informował wojskowy, choć wyraźnie widać, że jego zachowanie niewiele ma wspólnego z honorem.

Wróćmy teraz do relacji Żakliny Skowrońskiej. „Prawda jest najważniejsza, bez względu na to, co jest elementem tej prawdy i jak ona wygląda. [...] Ta wersja różni się od tej, która została zaprezentowana w oświadczeniu pana podpułkownika" – zaznaczyła. Według jej relacji to ppłk Szymański pierwszy wulgarnie zaczepił dziennikarzy, zwracając się przekleństwami do Samuela Pereiry. „Siedzieliśmy przy stoliku w jednym z lokali przy ul. Foksal, rozmawiając i w pewnym momencie usłyszeliśmy krzyki nad naszymi głowami. Przechodził ten pan, który rozpoznał Samuela i zwrócił się do niego słowami: »A, to ty jesteś pisowska k...wa. Powinieneś siedzieć w swojej norze, a nie w restauracji. Wyp...aj do Portugalii«. To były tego typu okrzyki. Zaczęła się dyskusja, na początku mówiliśmy, żeby stamtąd odszedł. Warto powiedzieć, że nie mieliśmy nawet przez moment świadomości, kim jest ten człowiek, bo my go nie znaliśmy" – opowiadała reporterka. „Ta awantura przybierała na sile, my z Piotrkiem wstaliśmy od tego stołu i ten pan mnie zauważył i zwrócił się do mnie słowami: »O, jesteś pisowska k...wo«. Wtedy zaczęły się inwektywy i wyzwiska dotyczące mojego wyglądu. Ten pan mówił, że jestem »tłuściochem«, jestem »grubaską«, jestem »gruba«. Mówił, że nawet kiedy mówię, to się pocę. Mówił, że by mnie uderzył, użył słowa »przyp...lił«, ale jestem na to za tłusta" – relacjonowała. „Przed odejściem do swojego stolika zbliżył się do mnie i powiedział, patrząc mi w oczy: »No dawaj, dawaj, grubasko«. Moja granica wytrzymałości została przekroczona. Ja wtedy wymierzyłam policzek temu panu. Poczułam się totalnie sponiewierana. Ten pan upokorzył mnie przed wszystkimi ludźmi, którzy tam byli. Ja pracuję w mediach długo i nigdy nie miała miejsca taka sytuacja" – relacjonowała ze łzami w oczach Skowrońska.

REAKCJE NA SKANDAL

„To skandaliczne zachowanie, wobec którego zostaną wyciągnięte zdecydowane konsekwencje" – napisał na platformie X wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz.

Wcześniej na profilu MON pojawiło się następujące oświadczenie: „W związku z pojawieniem się w internecie filmu dot. skandalicznego zachowania jednego z oficerów Wojska Polskiego informuję, że jeśli ustalenia się potwierdzą, natychmiast ruszy postępowanie wyjaśniające. Informuję, że Pan ppłk dr Piotr Szymański został mianowany konsultantem wojskowej służby zdrowia za poprzedniego rządu, w 2017 r. J. Sejmej". Warto dodać, że podpisany pod oświadczeniem rzecznik MON Janusz Sejmej osobiście zadzwonił do Żakliny Skowrońskiej i przeprosił ją za całe zajście.

Do sprawy odniósł się także Wojskowy Instytut Medyczny, którego pracownikiem jest Szymański: „W związku z doniesieniami medialnymi dotyczącymi zachowania ppłk. Piotra Szymańskiego pełniącego służbę w Wojskowym Instytucie Medycznym-Państwowym Instytucie Badawczym informujemy, że [...] zostało wszczęte postępowanie przed rzecznikiem dyscyplinarnym WIM-PIB" – poinformował Instytut w komunikacie.

Natomiast Żandarmeria Wojskowa „odstąpiła od realizacji dalszych czynności". Opublikowała ona na platformie X komunikat w tej sprawie: „Informujemy, że Żandarmeria Wojskowa podjęła działania w sprawie zdarzenia w jednej z warszawskich restauracji, w którym uczestniczył ppłk Piotr Szymański. W związku z faktem, iż ściganie czynów ujawnionych na filmie następuje w drodze oskarżenia prywatnego, w toku czynności służbowych skontaktowano się ze wszystkimi trzema poszkodowanymi zachowaniem ppłk. Szymańskiego i poinformowano ich o przysługującej im możliwości złożenia ustnej bądź pisemnej skargi o przestępstwach znieważenia i naruszenia nietykalności cielesnej ściganych z oskarżenia prywatnego. Rozmówcy nie złożyli stosownych skarg i oświadczyli, że ewentualne dalsze kroki podejmą po konsultacji z prawnikiem. W związku z powyższym Żandarmeria Wojskowa odstąpiła od realizacji dalszych czynności w powyższej sprawie" – brzmiał komunikat.

CIĘŻKA CHOROBA

Ta historia ma jeszcze jeden ludzki i dramatyczny aspekt. Dwa lata temu Żaklina Skowrońska, która była wówczas związana z TVP Info, przyznała się światu w mediach społecznościowych, że lekarze zdiagnozowali u niej ciężką chorobę: „Kilka miesięcy temu mój świat zatrząsł się w posadach. Lekarze zdiagnozowali u mnie nowotwór, złośliwego chłoniaka. Wyczerpująca chemioterapia odbierała siły i energię, pozbawiła włosów – atrybutu kobiecości. Choroba zmieniła moją codzienność, choć nigdy nie zabrała radości życia i nadziei na wyzdrowienie" – informowała. „Po blisko dziewięciu miesiącach ciemności, strachu i wyrzeczeń mogę powiedzieć – wygrałam!" – napisała Skowrońska. Braku włosów widzowie nie zauważyli, ponieważ dziennikarka, która nie zrezygnowała z pracy, występowała w peruce.

Życie i zdrowie dziennikarki uratowali lekarze z Wojskowego Instytutu Medycznego, tego, w którym jest zatrudniony ppłk Szymański. „Bardzo bym nie chciała, żeby dobre imię szpitala było naruszane ze względu na jedną osobę, która tam pracuje" – wyznała w telewizji wPolsce.pl Żaklina Skowrońska.

A nienawiść nie powinna nikomu przysłaniać różnorodności i piękna świata.

eprasa.pl 85e525458b

Były przewodniczący niemieckiego Bundestagu i prezes fundacji im. Konrada Adenauera prof. Norbert Lammert na uroczystości w gdańskim Dworze Artusa z okazji 80. rocznicy nieudanego zamachu na Hitlera

Pamięć wybiórcza

Przyjmowanie niemieckiej perspektywy historycznej w Polsce jest napluciem na groby wszystkich poległych podczas II wojny światowej. W tym powstańców warszawskich

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Trwają obchody kolejnej rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Są dość szczególne i to nie tylko dlatego, że w tym roku przypada równe 80 lat od rozpoczęcia walk. Spacerując po ulicach Warszawy, natkniemy się na mnóstwo plakatów i okazjonalnych murali z powstańczą kotwicą oraz hasłem „pamiętamy". Brakuje jednak jednoznacznego kontekstu z przypomnieniem, o czym właściwie powinniśmy pamiętać.

Twórcy rocznicowych grafik starannie bowiem unikają przedstawienia zła, z którym przyszło walczyć powstańcom. Jeśli zobaczymy na plakatach jakąś postać, będzie to zwykle młody chłopak na tle ruin, którego sylwetkę opatrzono podpisem, że walczył o wolność. Ale przeciwko komu walczył o tę wolność, tego z obrazków już się nie dowiemy.

Owszem, każdy z nas doskonale wie, z kim walczyli powstańcy, jednak ta wiedza staje się dzisiaj niewarta ekspozycji. Niemców nie ma, nawet w tle, jakby nie istnieją. To charakterystyczny niuans, który – jak sądzę – powinien rzucić się w oczy każdemu uważnemu obserwatorowi. Z pewnością nie jest to przypadek. Po prostu pod nową władzą cała nasza polityka – łącznie z historyczną – zostaje stopniowo podporządkowana zewnętrznym interesom. Te same powody stały zresztą za niedawną zmianą ekspozycji w gdańskim Muzeum II Wojny Światowej i wyrzuceniem z wystawy rodziny Ulmów oraz postaci św. Maksymiliana Kolbego i rtm. Pileckiego.

NIEMCY JAK ZWIĄZEK RADZIECKI

Można przypuszczać, że zmiany akcentów, o których mowa, nie ograniczą się wyłącznie do rocznic oraz ekspozycji muzealnych. Wiele wskazuje bowiem na to, że w niedalekiej przyszłości obejmą też podręczniki do historii i wiedzy przekazywanej w szkołach. Już teraz z programów pousuwano przecież mnóstwo zagadnień, ze szczególnym uwzględnieniem tych, które mogłyby w zbyt złym świetle stawiać stosunki polsko-niemieckie.

„Usunięto przykłady Witolda Pileckiego, św. Maksymiliana Kolbe. Usunięto Zawiszę Czarnego, zwycięstwo grunwaldzkie, przeora Kordeckiego, hetmana Czarnieckiego, Danutę Siedzikównę »Inkę«" – wyliczał znakomity historyk prof. Andrzej Nowak. „Wykreślono, cytuję, »dokonania Bolesława Krzywoustego« i – cytuję – »konflikt z cesarstwem niemieckim«. Nie było żadnych konfliktów, nie było Bolesława Krzywoustego. Wykreślono obowiązek,

Fot. Konsulat Generalny Niemiec w Gdańsku

eprasa.pl 85e525458b

cytuję, »umieszczenia w czasie wydarzeń związanych z relacjami polsko-krzyżackimi«. Nie było żadnej wojny z Krzyżakami, po prostu nie było tego problemu" – alarmował prof. Nowak.

Polityka historyczna obecnego rządu przywodzi na myśl linię realizowaną w PRL, tyle że miejsce Rosji i Związku Radzieckiego zajęli dzisiaj Niemcy. Starsi czytelnicy pamiętają zapewne, iż w peerelowskich szkołach uczono, że – owszem – mieliśmy w przeszłości trochę konfliktów z Moskwą, wybuchały nawet powstania przeciwko carskiej władzy, ale przecież ostatecznie udało się to przezwyciężyć i przekształcić w trwałą współpracę oraz przyjaźń ze Związkiem Radzieckim.

Dziś wystarczy jedynie podmienić Moskwę na Berlin i dostaniemy to samo. Były wojny z Niemcami, ale historia niczego nie determinuje. Polska i Niemcy przebaczyły sobie wzajemnie, oddzieliły przeszłość grubą kreską, a teraz wspólnie zmierzają ku współpracy i świetlanej przyszłości. Dlatego nie ma sensu rozdrapywać ran, wytykać palcem winowajców, domagać się odszkodowań i, obrzucając się pretensjami, budzić nacjonalistyczne demony – trzeba szukać tego, co łączy, a nie tego, co dzieli.

Trudno zarazem nie dostrzec, że takie postawienie sprawy jest wygodne wyłącznie dla strony silniejszej, czyli dla Niemiec, które wyrządziły Polsce nieporównywalnie więcej krzywd aniżeli Polska Niemcom. Jednak obecny rząd, którego władza opiera się w dużym stopniu na unijnym i niemieckim wsparciu, nie będzie toczył o to sporów. Dla ekipy Tuska byłoby to bowiem uderzenie w podstawy własnej egzystencji.

HISTORYCZNA PRÓŻNIA

Nic więc dziwnego, że podczas tegorocznych obchodów powstańczej rocznicy władze starają się unikać wskazywania niemieckich sprawców. O ówczesnym wrogu nie myślimy, świętujemy raczej walkę o wolność, oddajemy cześć młodym chłopcom i dziewczętom, którzy oddali życie za własny kraj. To oczywiście dobrze, że pamiętamy o poległych, ale wciąż trudno wyzwolić się od uczucia, że brakuje w tym postawienia kropki nad „i". W końcu ci młodzi ludzie zginęli z rąk konkretnych zbrodniarzy.

Co więcej, ci zbrodniarze mieli na swoim sumieniu nie tylko żołnierzy Armii Krajowej oraz innych formacji walczących w powstaniu, lecz także tysiące ofiar spośród ludności cywilnej. W oficjalnej narracji pamięć o nich też powoli zanika. Dlaczego? Bo trzeba byłoby głośno przypomnieć Niemcom o ich kompletnym zbydlęceniu podczas ostatniej wojny, a takie wzmianki mogłyby bardzo urazić zagranicznych przyjaciół obecnej władzy.

> Każdy z nas doskonale wie, z kim walczyli powstańcy, jednak ta wiedza staje się dzisiaj niewarta ekspozycji. Niemców nie ma nawet w tle, jakby nie istnieją. Z pewnością nie jest to przypadek

W tej sytuacji pozostaje więc zawieszona w historycznej próżni pamięć o młodych żołnierzach. Znów przywodzi ona na myśl lata PRL, zwłaszcza tego schyłkowego, gdy komuniści, nie mogąc całkiem wykreślić powstania z historii, ograniczali się do oddawania pamięci żołnierzom, pomijając przy tym cel ich walki. Nieprzypadkowo mamy w Warszawie pl. Powstańców Warszawy (dawny pl. Napoleona), a nie pl. Powstania Warszawskiego. Niby niuans nazewniczy, ale za to bardzo wymowny. Powstanie było dla komunistów antysowiecką hucpą, która uderzała w zadekretowaną przyjaźń z Moskwą i z tego powodu nie mogło być fetowane. Pozwalano zatem tylko na oddawanie hołdu żołnierzom, którzy – jak głosiła ówczesna linia – oddali życie w imię przegranej sprawy, bo zostali zmanipulowani przez akowskich generałów i emigracyjny rząd w Londynie.

Dziś, ponad 30 lat od upadku komuny, pamięć o powstaniu znowu trzeba cenzurować, aby nie godziła w nowe sojusze. Na razie ta cenzura to tylko przemilczenia, zmiana akcentów, ale w przyszłości, gdy powstanie warszawskie stanie się zamierzchłą historią, może być inaczej i znacznie mniej subtelnie. Niewykluczone, że nasze dzieci i wnuki dowiedzą się z podręczników, że Polacy walczyli na ulicach Warszawy z bliżej nieokreślonymi nazistami i ostatecznie ulegli przewadze wroga. Nic więcej. Ot, po prostu wojna, jak każda inna. Było, minęło. Nie warto rozdrapywać ran.

ROZMYWANIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

W nowej polityce historycznej, której zarysy możemy już zaobserwować, chodzi o to, aby zdjąć z Niemiec odpowiedzialność za zbrodnie. Owszem, w przeszłości Niemcy były naszym przeciwnikiem, ale ta konfrontacja polegała tylko na zwykłej rywalizacja między sąsiadami. Tak jak wszędzie. Były konflikty, ale nie stanowiły one zagrożenia egzystencjalnego dla Polski. W końcu przetrwaliśmy.

Takie zrównanie pozycji Niemiec i Polski – pomijając już to, że jest historycznym kłamstwem – oznacza zrównanie sprawcy z ofiarą i całkowicie unieważnia obie role. Bo skoro byliśmy po prostu rywalami, nie sposób mówić o sprawcach i ofiarach. Ma to szczególne znaczenie w kontekście II wojny światowej, gdzie kwestia sprawcy i ofiary jest absolutnie kluczowa nie tylko dla zrozumienia istoty zdarzeń, lecz także dla ustalenia odpowiedzialności za zniszczenia wojenne i popełnione zbrodnie.

Nieprzypadkowo i niekoniecznie z powodu swojej ignorancji Niemcy chętnie podkreślają udział polskiej ludności w eksterminacji Żydów. To odruch obronny, chęć podzielenia się odpowiedzialnością za zbrodnie i wskazania, że Polacy byli nie tylko ofiarami, lecz także sprawcami. I w związku z tym nie mają prawa rościć sobie jakichkolwiek pretensji do Niemców. Na rozpowszechnianie takiej wersji historii niemieckie fundacje od lat wydają mnóstwo pieniędzy.

eprasa.pl 85e525458b

Niestety wśród Polaków nie brakuje chętnych, aby podłapywać takie granty i pisać pod niemieckie dyktando historię własnego kraju.

W tej wersji historii Niemcy nie są wyłącznie sprawcami. Oni również – tak jak Polacy i inne europejskie narody – zostali podbici przez nazistów. Naziści to pojęcie szerokie, można do nich zaliczyć każdego, bez względu na narodowość. Także Polaków, choć u nas nigdy nie istniały żadne narodowe formacje walczące po stronie Hitlera.

Uznanie, że naziści to nie to samo, co Niemcy, oznacza zgodę na zdjęcie z Niemiec części odpowiedzialności za II wojnę światową i popełnione w jej trakcie zbrodnie. Te popełniali bowiem naziści (różnej narodowości), a ich ofiarami mogli być również sami Niemcy. W ten sposób sprawca powoli zamienia się w ofiarę. Charakterystyczne były w tym kontekście słowa kanclerza Scholza, który w trakcie obchodów rocznicy zakończenia II wojny światowej w 2023 r. powiedział, że Niemcy zostały wówczas „wyzwolone spod tyranii narodowego socjalizmu".

POWSTANIE VON STAUFFENBERGA

Dziś, gdy władzę w Polsce objął Donald Tusk, niemiecka wersja historii zostaje powoli inkorporowana do polskiej polityki historycznej. 16 lipca w gdańskim Dworze Artusa, który jest częścią tamtejszego muzeum miejskiego, doszło do szokującej imprezy zorganizowanej przez niemiecki konsulat w Gdańsku. Niemieccy gospodarze wraz ze swoimi polskimi gośćmi, wśród których znalazł się m.in. prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak z PO, postanowili bowiem uczcić płk. Clausa von Stauffenberga w 80. rocznicę nieudanego zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu.

Główne przemówienie wygłosił były przewodniczący niemieckiego Bundestagu i prezes fundacji im. Konrada Adenauera prof. Norbert Lammert. „Zamachowcy nie byli oczywiście krystalicznymi demokratami. Byli ludźmi swoich czasów, powiązanymi z realiami ich społecznego pochodzenia" – stwierdził Lammert, nazywając zamach „powstaniem" przeciwko Hitlerowi.

Dowiadujemy się więc, że Niemcy również mieli swoje „powstanie", które „wybuchło" zaledwie kilkanaście dni przed tym w Warszawie. A na jego czele stał płk von Stauffenberg. Dziś na takie słowa jeszcze się oburzamy (może poza Jaśkowiakiem i grupą Polaków, która oklaskiwała niemieckiego mówcę), ale widać już dobrze, w którym kierunku zmierza myślenie Niemców. Otóż chcą oni wmówić sobie i całemu światu, że czynnie walczyli z nazistami. Oczywiście z nazistami rozumianymi jako zewnętrzna siła, która ujarzmiła Niemcy.

Według tej narracji Polacy nie byli pierwsi ani jedyni. Z nazistami walczyli wszyscy, w tym Niemcy. Przerażający jest nawet nie sam fakt manipulowania historią (Niemców można tu jakoś zrozumieć – próbują zmyć brunatne piętno z własnej historii), ale jej bezkrytyczne przyjmowanie przez polskie audytorium. Jeżeli nie będziemy w stanie temu przeciwdziałać, to niewykluczone, że taka wersja wydarzeń stanie się obowiązująca. Również u nas, w polskich szkołach.

Niemcy twierdzą, że oni również mieli swoje „powstanie", na którego czele stał płk von Stauffenberg (na fot.). Polacy nie byli więc pierwsi ani jedyni

Gdybyż jeszcze nieszczęsny von Stauffenberg rzeczywiście był „ostatnim sprawiedliwym". Ale przecież ten „bohater walki z Hitlerem" gorąco wspierał politykę führera, przynajmniej do czasu, gdy klęska Niemiec stała się oczywista. Polaków nazywał „motłochem". „Miejscowa ludność to niewiarygodny motłoch, bardzo dużo Żydów i mieszańców. Naród, który, aby się dobrze czuć, najwyraźniej potrzebuje batoga. Tysiące jeńców przyczynią się na pewno do rozwoju naszego rolnictwa. Niemcy mogą wyciągnąć z tego korzyści, bo oni są pilni, pracowici i niewymagający [...]. Najważniejsze jest to, abyśmy w Polsce właśnie teraz zaczęli planową kolonizację" – pisał do swojej żony w połowie września 1939 r.

Kult von Stauffenberga, spopularyzowany w świecie dzięki filmowi z Tomem Cruisem w roli głównej, pojawił się w Niemczech dopiero w latach 70. ub. stulecia. Jeszcze w 1951 r. – jak wynika z bardzo ciekawych badań opinii publicznej w ówczesnych Niemczech Zachodnich – 30 proc. mieszkańców RFN potępiało zamach na Hitlera, a aż 59 proc. byłych żołnierzy uważało von Stauffenberga za zdrajcę. W pewnym sensie mieli oni rację, bo przecież pułkownik był nazistą, który zdradził swojego wodza. A zrobił to nie w geście sprzeciwu wobec jego ludobójczej polityki, ale po to, aby dogadać się z zachodnimi aliantami i tym samym ratować z Trzeciej Rzeszy, co tylko się da.

Dziś ten człowiek jest świętowany w Niemczech, co tylko pokazuje nam, że nie udało się tam znaleźć nikogo lepszego, kto mógłby być bohaterem. Niemal wszyscy byli przecież – mniej lub bardziej – umoczeni w nazizm. Przyjmowanie niemieckiej perspektywy historycznej w Polsce jest więc napluciem na groby wszystkich poległych podczas II wojny światowej. W tym powstańców warszawskich.

Obecna władza pisze na plakatach, że „pamięta" o ofierze złożonej przez powstańców. Można mieć co do tego pewne wątpliwości. Chyba że ta pamięć jest bardzo wybiórcza.

Fot. Wikipedia

eprasa.pl 85e525458b

Plan Trumpa dla Ukrainy

Jeśli Europejczycy zmienią swą dotychczasową politykę, to niewykluczone, że Trump pójdzie „drogą Reagana" i podejmie próbę wymuszenia pokoju, grając z Rosją twardo

MAREK BUDZISZ

W ubiegłotygodniowym wywiadzie dla francuskiego dziennika „Le Mond" i innych mediów prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski „uderzył w inne tony", jak skomentowano jego wypowiedź. Powiedział: „Podobnie jak przedstawiciele innych krajów, uważam", że reprezentanci Rosji powinni być obecni na konferencji pokojowej zaplanowanej na listopad, a pytany o możliwości cesji terytorialnych na rzecz Federacji Rosyjskiej przyznał, że „jest to bardzo, bardzo trudna decyzja" i „może ją podjąć tylko naród".

Słowa te zostały odczytane nie tylko jako zmiana nieprzejednanego do tej pory stanowiska Zełenskiego i jego otoczenia, lecz także jako możliwość przeprowadzenia na Ukrainie referendum w kwestii granic. Niektórzy komentatorzy spekulują, że mogłoby się ono odbyć razem z wyborami, bo kadencja prezydenta Ukrainy skończyła się wiosną br.

Wcześniej w rozmowie z japońską stacją radiową NHK Zełenski zapowiedział, że „do listopada" Ukraina przygotuje „plan zakończenia wojny" i dlatego już obecnie prowadzi w tej kwestii negocjacje z sojusznikami. Termin listopadowy został odczytany jednoznacznie – Kijów chce być przygotowany na ewentualną zmianę w Białym Domu i rozpoczyna ciekawą rozgrywkę dyplomatyczną.

Foto: Sofie Vladyslav/Shutterstock.com

POKÓJ „NA NASZYCH WARUNKACH”

Kilka dni po konwencji republikanów w Milwaukee, na której Donald Trump uzyskał nominację, programowy artykuł w kwestii amerykańskiej polityki wobec Ukrainy opublikował Boris Johnson, były premier Wielkiej Brytanii, polityk uchodzący za mającego dobre osobiste relacje z byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ukraińskie media ujawniły, że Johnson jest głównym „łącznikiem” Kijowa z obozem Trumpa i miał nawet doprowadzić do jego rozmowy telefonicznej z Zełenskim. W artykule dla dziennika „Daily Mail” zaprezentował on wizję polityki ukraińskiej nowej administracji.

Johnson napisał, że po rozmowach z Trumpem „bardziej niż kiedykolwiek” jest przekonany, iż kandydat republikanów „ma siłę i odwagę, aby naprawić obecną sytuację, ocalić Ukrainę, zaprowadzić pokój i powstrzymać katastrofalne skutki konfliktu”. W jaki sposób? Nie ma mowy o „strategicznym porzuceniu” Kijowa czy nawet Europy, o co Trump jest często oskarżany przez politycznych adwersarzy. Były premier Wielkiej Brytanii zapewnił, że kandydat republikanów ma świadomość, jak fatalne skutki dla reputacji USA oraz amerykańskiego systemu sojuszniczego miałby taki krok. Gdyby Putin wygrał na Ukrainie, byłaby to geopolityczna katastrofa. Johnson jest zdania, że Trump „wie o tym” i w związku z taką oceną sytuacji ryzyko amerykańskiego wycofania się, oddania pola Rosji, jest niewielkie.

Co więcej, zdaniem Johnsona jeśli Putin wygrałby wojnę, zarysowałaby się perspektywa wielkiego światowego konfliktu, bo mocarstwa rewizjonistyczne poczułyby, że ich siła rośnie. Nie byłoby wówczas mowy o „prezydenturze pokoju”, o czym często w swych wystąpieniach wspomina Trump i dlatego myśli on o zakończeniu konfliktu, ale „na naszych warunkach”. Oznaczają one wejście Ukrainy do NATO i Unii Europejskiej oraz zgodę na ten krok Rosji, za którą Kijów miałby „zapłacić” cesją części terytorium, uznaniem *status quo* i faktu, że nie jest w stanie odbić obszarów kontrolowanych dziś przez Moskali.

Johnson napisał, że nie jest to idealny scenariusz, ale daje obywatelom Ukrainy realne pole wyboru – pokój za cenę utraty części terytorium, ale jednocześnie trwale zakorzeniający naszego wschodniego sąsiada w rodzinie państw Zachodu. Również w systemie bezpieczeństwa wschodniej flanki, którego zmodernizowane i doposażone przez Amerykę siły ukraińskie mogłyby stać się jednym z filarów. To by zmieniało układ sił w regionie i w dłuższej perspektywie umożliwiło przesunięcie amerykańskiego potencjału (również wojskowego) w rejon Indo-Pacyfiku, o czym Trump myśli i mówi od dawna.

AMERYKA NIE PRZEGRYWA

Olha Stefaniszyna, ukraińska wicepremier odpowiadająca za integrację europejską, komentując manifest Johnsona, powiedziała, że jej zdaniem jest to „akcja w interesie” Kijowa, ale jednak bardziej przedstawiająca punkt widzenia byłego premiera Wielkiej Brytanii niż to, o czym myśli Donald Trump.

Wydaje się jednak, że w obozie republikanów mamy do czynienia z próbą nowego podejścia do „kwestii ukraińskiej” i osłabienia narracji liberalnych mediów mówiącej o możliwym „porzuceniu strategicznym”, jeśli nastąpi zmiana w Białym Domu. Niecały tydzień po artykule Johnsona Mike Pompeo, były sekretarz stanu i człowiek, o którym mówi się, że mógłby objąć ważną funkcję w nowej administracji Trumpa, oraz David J. Urban, były oficer amerykańskich sił zbrojnych w przeszłości współpracujący z republikańską administracją, opublikowali na łamach „The Wall Street Journal” artykuł naświetlający, jak mógłby wyglądać „pokojowy plan Trumpa” dla Ukrainy. Trzeba pamiętać, że Urban przez lata był uznawany przez specjalizujący się w polityce waszyngtońskiej dziennik „The Hill” za jednego z czołowych lobbystów działających w amerykańskiej stolicy. Nie można wykluczyć, że i ten artykuł jest przejawem tego rodzaju aktywności, co czyni go jeszcze bardziej zajmującym, bo potwierdza opinię wielu ekspertów, że linia Trumpa w kwestii zakończenia wojny dopiero się kształtuje i nic nie jest przesądzone.

Co napisali Pompeo i Urban? Przypomnieli oni, że to właśnie Trump zaczął dostarczać Kijowowi „broń śmiercionośną” w postaci systemów Javelin, co wcześniej blokowała administracja Obamy. Ich zdaniem nie ma zatem żadnych dowodów na to, że w czasie swej drugiej kadencji porzuci on Ukrainę, wstrzyma pomoc i pozwoli Putinowi osiągnąć jego cele wojenne. To raczej niezdecydowanie i kunktatorstwo Joe Bidena, którego administracja była niezdolna do podjęcia odważniejszych decyzji, doprowadziły do dzisiejszej patowej sytuacji.

Jak napisali Pompeo i Urban, jeśli Trump wróci do władzy, doprowadzi do porozumienia z Arabią Saudyjską i Izraelem, a to pozwoli wpłynąć na obniżenie cen ropy naftowej. Ten czynnik w połączeniu z realnymi, a nie pozorowanymi sankcjami odbierze Rosji jej główny atut, zmniejszy strumienie środków pozwalających na kontynuowanie wojny. Kolejnymi krokami winno być „wzmocnienie NATO”, czyli doprowadzenie do stanu, w którym sojusznicy będą wydawali na bezpieczeństwo 3 proc. PKB, oraz rewitalizacja amerykańskiego sektora produkcji broni. Pompeo i Urban zaproponowali, że kiedy pieniędzy na finansowanie zbrojeń będzie więcej, należałoby stworzyć program lend-lease dla Ukrainy o wartości 500 mld dol. Podobne działanie z czasów II wojny światowej pozwoliły pokonać Niemcy. Ukraina powinna dostać tyle broni, ile będzie chciała i automatycznie powinny zostać zniesione wszystkie ograniczenia na atakowanie celów w głębi Federacji Rosyjskiej. Dopiero w tych nowych warunkach Putinowi trzeba będzie zaproponować deal – pokój z możliwością zatrzymania części terytoriów kontrolowanych dziś przez Rosjan. Nikt jednak formalnie nie uznaje aneksji, tak jak Stany Zjednoczone przez 70 lat nie uznawały wchłonięcia przez ZSRR państw bałtyckich, Ukraina wchodzi do NATO, jest odbudowywana za rosyjskie pieniądze zamrożone na Zachodzie, a Krym zostaje zdemilitaryzowany.

Dopiero te kroki, jak napisali, a nie półśrodki, do których odwołuje się obecna administracja, „zakończą wojnę, przyniosą trwały pokój, zagwarantują, że Europa będzie musiała ponieść ciężar jego utrzymania, a także przywrócą wolność i bezpieczeństwo na kontynencie”. W konkluzji swego wystąpienia Pompeo i Urban napisali, co wydaje się podejściem zdroworozsądkowym, że „jest ostatnią rzeczą, którą chciałby Trump”, aby jego

eprasa.pl 85e525458b

prezydentura rozpoczynała się od geostrategicznej klęski Stanów Zjednoczonych na Ukrainie.

WZMOCNIENIE SOJUSZY

Wizję polityki zagranicznej nowej republikańskiej administracji przedstawił też na łamach „The Foreign Affairs" Robert O'Brien, w latach 2019–2021 doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego. Odwołał się on do reaganowskiego hasła „Pokój dzięki sile", którego istotą jest najpierw wzmocnienie własnego potencjału wojskowego, a następnie zaproponowanie rywalom strategicznym poprawy relacji, ale z pozycji siły, gwarantując szanowanie amerykańskich interesów. Przypomniał on, że za czasów pierwszej administracji Trumpa nie tylko udało się osiągnąć wiele porozumień pokojowych, lecz także – widząc, że amerykański prezydent nie żartuje, czego ten dowiódł, wydając rozkaz o ataku na cele w Syrii – Putin nie zdecydował się zaatakować Ukrainy. Według O'Briena „America first", slogan powtarzany przez Trumpa, nie oznacza, że Waszyngton ma działać w osamotnieniu, pozbywając się swych sojuszników. Wręcz przeciwnie, takie podejście zakłada wzmocnienie sojuszy. Jego zdaniem wojna na Ukrainie ujawniła dwie prawdy. Po pierwsze, „zawstydzającą" rzeczywistość, że amerykańscy partnerzy z NATO nie są przygotowani do nowych wojennych czasów i po drugie, że można mówić o pogłębiającej się współpracy między Pekinem a Moskwą. To z kolei oznacza, że chcąc przeciwstawić się Chinom, czego O'Brien jest gorącym zwolennikiem, nie można pozwolić Rosji wygrać wojny, bo skutkiem takiego obrotu spraw będzie wzmocnienie i rozzuchwalenie sojuszu państw autorytarnych, a nie postawienie im tamy.

O'Brien napisał, że w kwestii Ukrainy polityka Trumpa będzie się sprowadzała do kontynuowania dostaw sprzętu wojskowego, za który będą musieli zapłacić Europejczycy z równoczesnym otworzeniem „kanałów negocjacyjnych". Ale zarazem, aby nie było wątpliwości, iż Stany Zjednoczone honorują swoje zobowiązania sojusznicze, Trump „będzie naciskał" na sojuszników z NATO, aby ci wysłali swe wojska zarówno w formacie rotacyjnym, jak i stałym do Polski, aby zwiększyć siłę odstraszania Sojuszu.

W wystąpieniu byłego bliskiego współpracownika Trumpa, podobnie zresztą jak w artykułach J.D. Vance'a, kandydata na wiceprezydenta, znalazły się też fragmenty zapowiadające transakcyjne podejście nowej administracji do relacji z europejskimi sojusznikami. Napisał on, iż nowy lokator Białego Domu będzie chciał „upewnić się", że alianci „rozumieją, iż dalsza amerykańska obrona Europy zależy od tego, czy Europa zrobi swoją część, w tym na Ukrainie". To zrozumienie musi się sprowadzać zarówno do zwiększenia wydatków, jak i do gotowości wykonania odważniejszych kroków, choćby w postaci przyjęcia naszego wschodniego sąsiada do Unii Europejskiej bez tradycyjnej w tym przypadku przewlekłej procedury biurokratycznej. To z kolei gwarantowałoby szybką i sfinansowaną w niemałej części przez Europejczyków odbudowę kraju ze zniszczeń oraz byłoby czytelnym sygnałem dla Putina, że nie ma już odwrotu, a Kijów jest jedną ze stolic Zachodu.

> W obozie republikanów mamy do czynienia z próbą nowego podejścia do „kwestii ukraińskiej" i osłabienia narracji liberalnych mediów mówiącej o możliwym „porzuceniu strategicznym", jeśli nastąpi zmiana w Białym Domu

NIC NIE JEST PRZESĄDZONE

Wielu komentatorów, w tym związanych z republikanami, mówi, iż „w gruncie rzeczy nie wiadomo", którą drogą pójdzie Trump, a wypowiedzi osoby ubiegającej się o prezydenturę i pełniącej urząd to dwa zupełnie inne światy. Wystąpienia samego kandydata, a także artykuły osób rozmawiających z nim czy z jego bliskiego otoczenia zdają się świadczyć o tym, że nic nie jest jeszcze przesądzone i każda możliwość jest otwarta.

Jeśli Europejczycy zmienią swą dotychczasową politykę, to niewykluczone, że Trump pójdzie „drogą Reagana" i podejmie próbę wymuszenia pokoju, grając z Rosją twardo. Jeśli zaś w stolicach państw europejskich zwycięży inna optyka, to wizja zmniejszenia czy zablokowania amerykańskiej pomocy dla Kijowa staje się realna, bo kontynuowanie polityki wobec Ukrainy w obecnym kształcie wydaje się w obozie republikanów bezcelowe, kosztowne, a niegwarantujące żadnego pozytywnego finału.

Jednak demokraci i ich zwolennicy „już wiedzą", jaką linię wybierze Trump, jeśli wygra. Typowy jest w tym przypadku głos Timothy'ego Snydera, wybitnego historyka z Uniwersytetu Yale, zaangażowanego we wspieranie Ukrainy, a jednocześnie zdeklarowanego przeciwnika Trumpa, nawołującego do głosowania na demokratów. Porównał go do Janukowycza i napisał, że jeśli kandydat republikanów wygra wybory, to zacznie realizować swój główny cel, którym jest przebudowa ładu w Stanach Zjednoczonych. Dlatego skoncentruje się na polityce wewnętrznej, a to będzie oznaczało okazję dla Rosji i Chin, które uzyskają przestrzeń do działania. W opinii Snydera ta nieobecność Ameryki zostanie wykorzystana przez mocarstwa rewizjonistyczne.

Tak jednak zdaje się nie myśleć Zełenski, którego relacje z Kamalą Harris, jak napisał w minionym tygodniu tygodni „Time", są „chłodne". Amerykańscy dziennikarze uczciwie przypomnieli też, że Harris nie odwiedziła ukraińskiej stolicy ani razu mimo trwającej już niemal 2,5 roku wojny, a jej stanowisko wobec wsparcia Ukrainy sprowadza się w gruncie rzeczy do niewolniczego trzymania się linii Bidena. W związku z tym Kijów zaczyna grę, której stawką jest ukształtowanie ukraińskiej polityki Trumpa, co oczywiście niczego nie przesądza, ale jest dowodem na to, że nic nie jest jeszcze ustalone i wszystkie opcje są otwarte.

eprasa.pl 85e525458b

Królowa pszczół

eprasa.pl 85e525458b

Kamala Harris ma dać demokratom zwycięstwo w wyborach prezydenckich przeciwko Donaldowi Trumpowi. W tym celu mainstreamowe media już rozpoczęły przerabianie bardziej niż przeciętnej, chichoczącej wiceprezydent w błyskotliwą kandydatkę o światowym formacie. I może im się to udać

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Październik 2020 r., kilka tygodni przed wyborami prezydenckimi. Przyszła wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Kamala Harris udziela wywiadu magazynowi „Elle". Mówi o swoim dzieciństwie w kalifornijskim Berkeley, swoich rodzicach, matce pochodzącej z Indii oraz ojcu, którzy przybył do USA jako imigrant z Jamajki, o ich zaangażowaniu w ruch praw obywatelskich. A to zaangażowanie na rzecz praw, przede wszystkim czarnoskórych Amerykanów, miało być tak wielkie, że już jako kilkuletnie dziecko Kamala marzyła o wolności i sprawiedliwości.

„Mama mi opowiedziała, że jako mały brzdąc wypadłam z wózka podczas marszu przeciwko segregacji rasowej, zaczęłam płakać i ona mnie zapytała: »Czego ty chcesz, dziecko, czego ty potrzebujesz?« A ja na to odparłam: „Łolności [„fweedom" w oryginale]".

Jest to anegdota, która chwyta za serce, ale czy prawdziwa? Na pewno, co wytknęły Harris nieprzychylne jej media, jest łudząco podobna do tego, co powiedział Martin Luther King Jr. w wywiadzie dla „Playboya" w 1965 r. King wspominał marsz w obronie praw obywatelskich w Birmingham w Alabamie. „Widziałem białego policjanta, jak pytał małą czarną dziewczynkę, czego chce, a ona odparła: »Wolności«" – mówił działacz na rzecz równouprawnienia Afroamerykanów. Plagiat czy zbieg okoliczności? W każdym razie „Elle" reklamowało wywiad z przyszłą wiceprezydent USA jako rozmowę z kobietą, która „walczyła o wolność i sprawiedliwość od urodzenia". A sama Harris powtarzała tę anegdotę wielokrotnie.

KARTA RASOWA

I nie bez powodu. W 2019 r. ambitna senator ubiegała się o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych. Tyle że jej kampania zakończyła się klęską. Nie była przekonująca dla wyborców własnej partii i musiała się wycofać z walki o nominację, zanim jeszcze rozpoczęły się prawybory. Przede wszystkim nie była w stanie przekonać do siebie czarnoskórych wyborców, którzy mieli stanowić trzon jej poparcia. Ci oceniali Joe Bidena lepiej niż Harris (79 proc. wobec 72 proc. pozytywnych ocen). Co więcej, jedna czwarta czarnoskórych respondentów uznała wówczas, że nie rozumie ona potrzeb i doświadczenia Afroamerykanów. Mimo to została wiceprezydentem, bo Biden potrzebował kogoś z mniejszości, najlepiej kobietę. Symbol różnorodności w Białym Domu. Liberalne media i sama Harris usilnie starały się wówczas zamazać jej uprzywilejowane, „białe" dzieciństwo.

Urodzona w 1964 r. prawniczka i późniejsza prokurator chodziła do białych szkół, najpierw w Berkeley, potem w kanadyjskim Montrealu, gdzie jej matka zajmowała się pracą badawczą w Żydowskim Szpitalu Ogólnym oraz nauczaniem na Uniwersytecie McGilla. Nie doświadczyła getta, a jej rodzice byli przez całe życie związani z „białymi" uniwersytetami z elitarnej „Ivy league" (ligi bluszczowej).

Jej ojciec, ekonomista Donald J. Harris, wykładał na uniwersytecie w Stanfordzie, a matka Shyamala Gopalan Harris, która przybyła do USA w wieku 19 lat z dyplomem magisterskim w biologii z uniwersytetu w Delhi, ukończyła studia doktoranckie z endokrynologii na uniwersytecie w Berkeley. Harris dorastała w przeważnie czarnej dzielnicy, ale w ramach desegregacji autobus codziennie dowoził ją do szkoły w 95-proc. białym mieście Thousand Oaks. W drugą stronę jechał podobny autobus wiozący białe dzieci do szkół, gdzie dominowali czarnoskórzy uczniowie.

Jej rodzice rozwiedli się, gdy miała pięć lat. Harris i jej siostrę Mayę (późniejszą doradczynię Hillary Clinton) wychowywała matka, zabierając dziewczynki do Indii tak często, jak się tylko da. Jak wspomina Harris w swojej autobiografii „Prawdy, które wyznajemy: amerykańska podróż" (The Truths We Hold: An American Journey), jej matka „zawsze wiedziała, że wychowuje dwie dumne, czarne dziewczynki". A ona sama „urodziła się czarna" i „umrze czarna". I to właśnie skłoniło ją do tego, by nie studiować tak jak reszta rodziny na jednym z uniwersytetów „ligi bluszczowej", tylko na „czarnym" uniwersytecie Howarda w Waszyngtonie, gdzie uzyskała dyplom z politologii.

Republikanie i związane z nimi media zarzucali Harris, że dopiero od niedawna uważa się za czarnoskórą. Wcześniej jako kalifornijska senator miała się określać jako Amerykanka pochodzenia azjatyckiego. W 2018 r. jej ojciec Donald J. Harris napisał wręcz w eseju, że jest potomkiem Hamiltona Browna, Irlandczyka, który trzymał niewolników na Jamajce. Wytykano jej także, że ma białego męża, Douglasa Emhoffa, prawnika żydowskiego pochodzenia. Można zapytać, jakie to ma znaczenie. Biden zagrał kartą rasową, wybierając Harris na swoją następczynię, to i druga strona po nią sięgnęła.

TALENT CZY OPORTUNIZM?

Gdy Biden ogłosił, że to ona otrzyma nominację na wiceprezydenta USA, jej siostra Maya, która prowadziła kampanię Harris podczas prawyborów demokratów, natychmiast zaczęła drukować koszulki z napisem: „Mój wiceprezydent wygląda tak jak ja", które następnie

Fot. lev radin/Shutterstock.com

eprasa.pl 85e525458b

zakładano małym czarnoskórym dziewczynkom, by pozowały w nich do zdjęć.

Harris stała się czarnoskóra na potrzeby polityczne demokratów, co zresztą w ub. tygodniu podkreślił Donald Trump podczas spotkania z przedstawicielami Narodowego Stowarzyszenia Czarnoskórych Dziennikarzy w Chicago.

A skoro z Harris udało się zrobić Afroamerykankę, to może uda się z niej zrobić sprawnego polityka o prezydenckim formacie teraz, gdy jest to potrzebne. Bo Harris jako wiceprezydent nie wykazała się niczym szczególnym. Według „Los Angeles Times" jeszcze w kwietniu br. zaledwie 39 proc. zarejestrowanych wyborców miało o niej pozytywną opinię, a 55 proc. – negatywną. Nie potrafiła rozwiązać kryzysu imigracyjnego na granicy z Meksykiem, choć to zadanie powierzył jej Joe Biden. Wykazała się natomiast brakiem powagi. Newt Gingrich, były spiker Izby Reprezentantów Partii Republikańskiej i komentator Fox News, w wywiadzie nazwał śmiech Harris „wyraźnie drażniącym". A gospodarz programu Newsmax nazwał ją „królową pszczół – rechoczącą Kamalą", ulubioną ofiarą komików stand-upowców.

Jej sojusznicy twierdzą z kolei, że przez te ostatnie trzy lata rozwinęła się politycznie, że ma talent, który dał jej szybki awans w Kalifornii i pozycję wiceprezydenta po zaledwie czterech latach w Senacie.

Prawicowe media natomiast widzą w niej oportunistkę, która wspięła się po szczeblach kariery przez łóżko, konkretnie spin doktora demokratów Williego Browna, który m.in. dwukrotnie był burmistrzem San Francisco. Według „New York Post" gdy Brown miał 60 lat i był spikerem Izby Reprezentantów Kalifornii, a Harris 29-letnią początkującą prokurator w Alamedzie, nawiązali romans, który zaowocował nominacją przyszłej wiceprezydent do Kalifornijskiej Komisji Pomocy Zdrowotnej, za czym szła wówczas dodatkowa pensja w wysokości 72 tys. dol. rocznie. Brown zresztą do dziś uważa, że jest autorem kariery Harris. W ub. tygodniu dołączył do chóru prominentnych członków Partii Demokratycznej popierających jej kandydaturę na prezydenta przed Krajową Konwencją Demokratów w Chicago, która odbędzie się w przyszłym miesiącu.

> Republikanie i związane z nimi media zarzucali Kamali Harris, że dopiero od niedawna uważa się za czarnoskórą. Wcześniej jako kalifornijska senator miała się określać jako Amerykanka pochodzenia azjatyckiego

KAMALAFLAGE

„Tak, spotykaliśmy się" – napisał Brown, na łamach „New York Times". „Tak, mogłem mieć wpływ na jej karierę, mianując ją do dwóch komisji stanowych. I z pewnością pomogłem jej w pierwszym wyścigu o stanowisko prokuratora okręgowego w San Francisco" – dodał. Harris została wybrana na tę funkcję w 2003 r. Siedem lat później, w 2010 r., wygrała wyścig o stanowisko prokuratora generalnego stanu, a w 2017 r. objęła urząd senatora.

W lewicowo-liberalnych mediach już rozpoczęła się metamorfoza Harris, tzw. Kamalaflage – jak pisze „The Spectator". Z „bełkotliwej, chichoczącej, tępej polityk" w „inteligentną, inspirującą, pełną siły i elokwentną propagatorkę wolności, sprawiedliwości i demokracji". Przy okazji takie gazety jak „The New York Times" starają się wymazać przeszłość polityczną Harris. „The Washington Post" nazwał to „najbardziej spektakularną transformacją w najnowszej historii amerykańskiej polityki". Nagle okazuje się, że kryzys na granicy nigdy nie był jej odpowiedzialnością, że nie była ona drugą najbardziej lewicową członkinią Senatu po Berniem Sandersie, nie opowiadała się za odebraniem finansowania policji, nie lobbowała za zniesieniem prywatnego ubezpieczenia zdrowotnego, nie zbierała kaucji dla uczestników zamieszek z Antify i Black Lives Matter, które wybuchły po śmierci George'a Floyda, nie forsowała dekryminalizacji nielegalnej imigracji. Nie, Harris to najbardziej centrystyczna polityk, oprócz Joe Bidena oczywiście. Taka jest potrzeba chwili.

Skoro przez lata udawało się wmówić Amerykanom, że Biden jest w świetnej formie, a wszyscy, którzy twierdzą inaczej, to kłamcy i sojusznicy Trumpa, można im także wmówić, że Harris to błyskotliwa kandydatka „zmiany", idealnie nadająca się na przywódcę wolnego świata. Rzeczywiście, Harris przeżywa obecnie swój miesiąc miodowy, głównie dzięki pozytywnym relacjom w mainstreamowych mediach. W sondażu Civiqs Trump jest dwa punkty procentowe za panią wiceprezydent (48 proc. do 46 proc.). Sondaż Reuters/Ipsos także daje Harris przewagę nad Trumpem – 44 proc. do 42 proc. Inne nie są jej tak przychylne. Prowadzi ona również w czterech z siedmiu stanów USA, kluczowych dla wyniku wyborów prezydenckich.

Jak długo potrwa ten miesiąc miodowy, nie wiadomo. Faktem jest, że kampania stała się trudniejsza dla Donalda Trumpa, który ma naprzeciwko siebie już nie niedołężnego Bidena, ale młodszą od siebie polityk i wciąż nieprzerwanie cały wrogi medialno-polityczny mainstream.

Fot. Svet foto/Shutterstock.com

eprasa.pl 85e525458b

Patrioci dla Europy: konkurent, sojusznik czy kłopot na prawicy?

Od kiedy w mediach głównego nurtu panuje swoisty terror dezinformacji, a etykiety typu „populizm" czy „eurosceptycyzm" stały się poręcznym narzędziem lewicowej propagandy, prawica staje wobec coraz większych wyzwań. Tymczasem jej wewnętrzne rozłamy osłabiają skuteczny opór wobec grupy trzymającej władzę w UE. Czy nowe ugrupowanie Patrioci dla Europy jest konkurentem, czy sojusznikiem EKR, a może bardziej Kremla? Już widać jeden pożytek z jego istnienia: spowodował wzrost prestiżu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, stając się nowym „chłopcem do bicia" dla mainstreamu

Ostatnie pięć lat aktywności Parlamentu Europejskiego sprawiło, że każdy uczciwie myślący Polak, który stanął w centrum Warszawy przy słupie kilometrowym, zadumał się nad ukrytym przesłaniem płynącym z inskrypcji: Warszawę dzieli identyczna odległość od Brukseli i Moskwy: 1122 km. Cóż za wymowna metafora dla nas, którzy kiedyś obserwowaliśmy ingerencję Kremla w nasze życie, a teraz żyjemy w rytm dyrektyw lub rezolucji płynących z Brukseli. Wstępowaliśmy do Unii Europejskiej, która szanowała suwerenność narodów, ale jak określił to niedawno

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Fot. X/AndrejBabis

eprasa.pl 85e525458b

prof. Ryszard Legutko: „Doktor Frankenstein też miał intencje stworzenia pięknej, szlachetnej istoty, ale wyszedł mu potwór. Tak samo z Unią".

Tymczasem europejska prawica, przed wyborami 9 czerwca tak bojowo zjednoczona, by pokonać nowego potwora Frankensteina, ulega coraz większej atomizacji i sporom. Właściwie nie należy się dziwić, bo tylko kosmopolityczne i wyzute z patriotyzmu formacje Zielonych, czerwonych (socjaliści) i ludowych (EPL) potrafią idealnie ze sobą współpracować.

INFEKCJE NARODOWYM KONSERWATYZMEM

Wystarczy jednak wejść na stronę OKO.press, by dowiedzieć się, skąd zaczerpnąć dumy: „Kto infekuje UE narodowym konserwatyzmem? Polska w ponurej czołówce PE". Co prawda tylko pismak osaczony przez maniakalną mentalność może myśleć, że nasz kraj niczym bakteria może być powodem infekcji, ale nie oczekujmy od autorów tego biuletynu posiadania „włókien duszy i chrząstek sumienia".

Owszem, PiS od paru lat lideruje prawicowym ruchom obrony suwerenności (i zdrowego rozsądku) w ramach Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, ale Fidesz Orbána też zaczął rozpychać się na tym odcinku, zakładając ugrupowanie Patrioci dla Europy. Trzeba przypomnieć, że w 2021 r. partia węgierskiego premiera odeszła z klubu Europejskiej Partii Ludowej, choć i tak wyprzedziła ruch wykluczenia ze strony samych chadeków, dla których stała się trędowatym partnerem. Czasem wspominano o możliwym przystąpieniu Fideszu do EKR, ale spekulacje zostały ucięte po niedawnej decyzji Giorgii Meloni i przyjęciu do rodziny Europejskich Konserwatystów i Reformatorów rumuńskiej partii AUR. Orbán uznał, że przyjęcie „antywęgierskiej" formacji wyklucza porozumienie i w odpowiedzi postanowił utworzyć własne ugrupowanie, a nawet przewyższyć liczbowo konkurentów z EKR, w którego odnowionym składzie Polska oprócz Włochów sprawuje współprzewodnictwo. Owszem, nie obyło się bez trudnych negocjacji, ale finalnie rodzina EKR pozostała pod batutą Włocha Nicoli Procacciniego z Braci Włochów (Fratelli d'Italia), która zdobyła 24 mandaty, i Joachima Brudzińskiego z PiS – 20 mandatów.

Utworzenie nowej, konkurencyjnej rodziny na prawicy wywołało konfuzję u prawicowych wyborców całej Europy, choć gdy się dobrze przyjrzeć, na rozłam zapowiadało się już wcześniej. W maju na spotkaniu VIVA'24 w Madrycie – tradycyjnie mały liczebnie Vox wziął na siebie organizację zjazdu przywódców światowej prawicy od A jak Argentyna Javiera Mileia po W jak Węgry z Victorem Orbánem na czele – można było podejrzewać, że po wyborach dojdzie do przegrupowania sojuszy. Trzeba przyznać, że pracowite tkanie przyjaznych relacji przez hiszpański Vox ze środowiskiem Trumpa i Izraelem budzi uznanie całej palety europejskich prawic.

Odkąd Polska głosami „fajnopolaków" postanowiła stać się zakompleksionym wasalem centrali w Berlinie, straciła prestiż w oczach międzynarodowej prawicy, która wcześniej wielokrotnie powtarzała hasła o „iskrze" z naszego kraju, która wstrząśnie Europą. Wynik wyborów nad Wisłą w październiku wywołał jęk zawodu od Portugalii po Argentynę.

PRAWICOWI PREMIERZY STAJĄ W SZRANKI

Tymczasem zarówno Meloni, jak i Orbán, a nawet Marine Le Pen, przeczuwająca w maju swój sukces w zbliżających się wyborach do europarlamentu, zaczęli szukać sposobu na objęcie silniejszego przywództwa, a także narzucenia własnego interesu narodowego. W czerwcu największe wątpliwości budziła postawa Giorgii Meloni, która zdawała się szukać biletu wstępu do mainstreamu kosztem ustępstw i pewnego szorstkiego poparcia powtórnej kandydatury Ursuli von der Leyen na szefową Komisji Europejskiej. Ostatecznie tak się nie stało, ale ambiwalentna postawa Włoszki wzbudziła pewien popłoch nie tylko w szeregach polskich konserwatystów, dla których jasne było budowanie frontalnej opozycji wobec konsensusu ludowców z lewicą.

Skorzystał na tym Orbán, organizując 30 czerwca w Wiedniu konferencję, na której wspólnie z byłym premierem Czech Andrejem Babišem i liderem Austriackiej Partii Wolności (FPÖ) Herbertem Kicklem ogłosił „Manifest patriotyczny na rzecz przyszłości Europy", w którym skrytykowano Unię, zwłaszcza jej politykę klimatyczną, pakt migracyjny i tworzenie scentralizowanego państwa europejskiego, opowiadając się za „Europą silnych, dumnych i niezależnych narodów". Wstępnie w warstwie retoryki niewiele zdawało się ich różnić od postulatów, które były w centrum działań EKR. Niespodziewanie zaczęli przyciągać do siebie kolejne partie, powodując rozpad frakcji Tożsamość i Demokracja (ID).

Do Patriotów dla Europy przystąpili kolejno: Zjednoczenie Narodowe (RN) Marine Le Pen, wprowadzając 30 europosłów (i swojego przewodniczącego Jordana Bardellę); Liga Matteo Salviniego z 8 europosłami, a Vox w liczbie 6 eurodeputowanych porzucił dla nich EKR. Ostatecznie do frakcji Orbána dołączyły też portugalska Chega, holenderska Partia Wolności Geerta Wildersa, Nacjonalistyczna Duńska Partia Ludowa oraz Interes Flamandzki z Belgii, w sumie zdobywając 84 mandaty (choć może skuszą jeszcze kilku niezrzeszonych). Ciekawe, że mimo zbieżnego profilu Konfederacja nie zdołała uprosić wstępu, a jak wiem z poufnych źródeł, „pozostają zablokowani". To świadczy o kompletnym fiasku strategii partii w budowie pozycji na arenie nieco szerszej niż polskie podwórko i ich pyskówki z cyklu „Ani PO, ani PiS!". Łatwo jest punktować rządzące ugrupowanie, trudno zbudować poważną markę, która budziłaby respekt za granicą i chęć współpracy. Po tylu latach w polityce trzech konfederatów zabrało się w europarlamencie na pokład z partią, która nawet w odległej Hiszpanii jest nazywana „nazistowską", czyli AfD. Cóż za obiecujący kompan dla arcypatriotów z Konfederacji!

eprasa.pl 85e525458b

PROROSYJSKOŚĆ PATRIOTÓW?

Od momentu powstania mainstream ochrzcił Patriotów dla Europy mianem prorosyjskiego klubu w PE. Można się spierać, w ilu procentach ta nazwa może być adekwatna. Możemy też debatować, czy stosunek do wojny powinien być argumentem na rzecz odmowy demokratycznych procedur pewnym frakcjom. Pytanie, co będzie z Polską, jeśli np. wybuchnie wieszczona przez niektórych wojna między Marokiem a Algierią i uderzy w „podbrzusze Europy", a nam będzie zależeć na neutralności.

Inna rzecz, że nie wszyscy w rodzinie Patriotów czują się urażeni z powodu nazywania ich przyjaciółmi Putina. Ostatnio Węgry robią wiele, aby reżimowe Chiny i Rosja poklepywały Orbána po ramieniu niczym swego druha. Le Pen niby popiera Ukrainę, ale po cichu wysyła sprzeczne sygnały, co akurat jest typowe dla francuskiej sceny politycznej. Salvini to odwieczny miłośnik pokoju, ale raczej à la russe. Gromy, które spadły w Hiszpanii na Vox, że wstąpił do klubu „putinejos" i porzucił EKR z wielbioną tam Giorgią Meloni kazały partii bronić się zapalczywie, bo uwierały ją oskarżenia o prorosyjskość. Lider ugrupowania Santiago Abascal przypominał, że razem z Polakami podpisał potępienie rosyjskiej agresji jeszcze zanim zaczęła się wojna. Vox bardzo umiejętnie przypomina też to, o czym nie chce pamiętać mainstream, snując swoje obłąkańcze teorie za Piątkiem i innymi tropicielami wpływów rosyjskich: Hiszpania socjalistów jest dziś drugim po Chinach krajem pod względem importu gazu z Rosji.

Nie dziwi więc, że Abascal za każdym razem przypomina, że to rząd Sáncheza finansuje agresję Rosji, a EPL już wcześniej poddała Europę Putinowi, godząc się na budowę Nord Stream 1 i 2. Wiele faktów burzy narrację o prorosyjskiej prawicy: González Pons, wiceprzewodniczący EPL, który chciał pomagać obalić polski rząd (na prośbę Koalicji Obywatelskiej), jakoś zapomniał się pochwalić, że jego syn przez parę lat był reprezentantem Gazpromu na Hiszpanię. Będziemy się zatem przyglądać „prorosyjskości" Patriotów, ale nie pod dyktando hipokrytów z mainstreamu.

POD BUTEM WIĘKSZOŚCI

Frakcję Patriotów dla Europy (PdE) założono pod hasłami współpracy środkowej Europy, ale okazała się ona nowym wcieleniem Tożsamości i Demokracji (ID), tyle że już bez Niemców z AfD, którzy stworzyli frakcję Europę Suwerennych Narodów (ESN).

Tak więc wbrew zaklęciom przedwyborczym, mimo większego sukcesu prawicy, jest ona bardziej podzielona niż wcześniej i nadąsana z powodu trudnych negocjacji oraz „podkradania" sobie partnerów. W liczącym 720 deputowanych Parlamencie Europejskim niestety znów dominuje koalicja ludowców z EPL (188 mandatów), socjalistów z S&D (136) i liberałów z Renew Europe (77), co oznacza większość 401 mandatów. Posłusznie współpracują z nimi grupa Zielonych (53 mandaty) i skrajnej lewicy (46). Naprzeciw ukonstytuowała się więc podzielona prawica: PfE (84 mandaty), EKR (78) i ESN (25), co w sumie daje zaledwie 187 mandatów. Pozostało 33 niezrzeszonych. Część z nich gdzieś zakotwiczy, ale to nie zmieni kiepskiego rachunku.

> Powstanie Patriotów dla Europy sprawiło, że współrządzona przez Polaków grupa EKR awansowała na drabinie bytów w arcypraworządnym Parlamencie Europejskim oraz jako jedyne ugrupowanie prawicowe jest dopuszczana do dialogu z mainstreamem i obsady stanowisk

Tuż przed wakacjami nowo utworzony europarlament powołał 20 komisji i 4 podkomisje odpowiedzialne za ustawodawstwo w określonych obszarach polityki, po raz pierwszy w historii cynicznie łamiąc własne przepisy. Wiadomo, że skład kierownictwa w każdej komisji musi odzwierciedlać proporcje podług liczebności grup, ale mainstream wykluczył trzecią co do wielkości frakcję Patriotów dla Europy w obsadzie stanowisk. W głosowaniach wybrano 24 przewodniczących i 90 wiceprzewodniczących, ale nikogo z Patriotów.

Tym samym grupa EKR współrządzona przez Polaków awansowała na drabinie bytów w arcypraworządnym Parlamencie Europejskim oraz jako jedyne prawicowe ugrupowanie jest dopuszczana do dialogu z mainstreamem i obsady stanowisk (kieruje pracami trzech komisji, ma ośmiu wiceprzewodniczących komisji). Można powiedzieć, że Polacy sprytnie rozegrali konkurentów, ale jednocześnie nikt nie podejrzewał, że można tak podeptać zapisy prawa przy obsadzie komisji. Być może stało się to, co zdradził Radosław Sikorski w czasie ostatniego szczytu NATO, gdy mówił „o kreatywnych pomysłach" na węgierską prezydencję, a być może chodziło o cały pakiet upokorzeń dla Orbána. Bojkot przybiera coraz nowe odsłony: a to węgierskiemu premierowi nie pozwolono na inaugurację należną mu jako szefowi kraju obejmującego prezydencję w Radzie Unii Europejskiej, a to szefowa KE stwierdziła, że nie wyśle komisarzy na nieformalne spotkania na Węgrzech, prasa europejska skupiła zaś swoje kąśliwości na frakcji Patriotów, odpuszczając (chwilowo?) „zbrodnie eurosceptycyzmu" EKR.

Cokolwiek sądzić o frakcji Patrioci dla Europy, stoi za nią 18 mln głosujących, więc także ci wyborcy są objęci kordonem sanitarnym. Nawet jeśli nie jesteśmy fanami Orbána czy Le Pen, wykluczające ich pakty windują jednocześnie do rządzenia posępne postaci ze skrajnej lewicy. To nie jest praworządność – to typowy unijny darwinizm.

eprasa.pl 85e525458b

Trójmorze jako blok geopolityczny

Pod wpływem wojny na Ukrainie misja Trójmorza uległa rozszerzeniu. Z projektu modernizacyjnego staje się ono projektem budowy infrastruktury o podwójnym zastosowaniu, tj. cywilnym i obronnym

JAN PARYS

Inicjatywa Trójmorza miała początek w 2015 r. podczas spotkania w Dubrowniku, ale światowe media zaczęły poważnie pisać na ten temat dopiero w 2017 r., gdy w warszawskim szczycie państw zainteresowanych tym projektem wziął udział prezydent USA Donald Trump. Była to wówczas koncepcja regionalnej kooperacji państw należących do wschodniej części Unii Europejskiej. Polegała na poszukiwaniu inwestorów i funduszy do sfinansowania inwestycji w dziedzinie infrastruktury.

W 2017 r. prezydent Trump nie tylko obiecał wsparcie finansowe dla projek-

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 85e525458b

Warszawski szczyt państw Trójmorza z udziałem prezydenta USA Donalda Trumpa, 2017 r.

tów modernizacji infrastruktury, lecz także przede wszystkim obiecał, że USA mogą zapewnić państwom Trójmorza dostawy gazu, co uwolni je od zależności od Rosji w dziedzinie energetyki. To zapewnienie stało się szansą na odzyskanie swobody politycznej przez kraje regionu. Import gazu z Ameryki do terminala LNG na wyspę Krk w Chorwacji i gazoportu w Szczecinie był bowiem alternatywą dla dostaw tego paliwa z Rosji dla całego regionu. Dywersyfikacja źródeł zaopatrzenia w energię uwalnia państwa Trójmorza od politycznej zależności od Moskwy.

OSIĄGNIĘCIA

Najważniejszym sukcesem Trójmorza było powołanie w 2019 r. w Luksemburgu Three Seas Initiative Investment Fund. Kieruje nim zespół niezależnych ekspertów, a obsługuje Bank Gospodarstwa Krajowego w Warszawie. Wkład Polski do Funduszu to 750 mln euro. Do 2023 r. skumulowane efekty ekonomiczne inwestycji tej instytucji wyniosły ponad 6 mld euro.

Warunkiem wsparcia przez Fundusz jest przedstawienie projektu infrastrukturalnego, z którego korzystają co najmniej dwa państwa. Oto przykłady:

- Cargounit, inwestycja w firmę, która wypożycza elektrowozy;
- BMF, wsparcie dla operatora portu Burgas w Bułgarii;
- R.Power, wsparcie dla energetyki odnawialnej w Rumunii;
- Posejdon, wsparcie dla połączenia farm wiatrowych na Litwie, Łotwie i Estonii z rafinerią Możejki, by produkować zielony wodór;
- interkonektor gazowy Polska, Słowacja, Ukraina;
- gazociąg Litwa Polska;
- Rail Baltica, połączenie kolejowe między Helsinkami a Berlinem;
- Via Carpatia, połączenie drogowe między Kłajpedą a Salonikami.

INTEGRACJA REGIONALNA

Dziś Trójmorze to nie koncepcja teoretyczna, lecz rzeczywistość, ponieważ od paru lat faktem jest wspólny lobbing 13 państw Trójmorza wewnątrz Unii Europejskiej na rzecz transgranicznych inwestycji infrastrukturalnych. Nie stanowi inicjatywy konkurencyjnej wobec UE, lecz wzmacnia wspólnotę na płaszczyźnie gospodarczej. Bo współpracując regionalnie, można więcej.

Pod wpływem pandemii COVID-19 i rosyjskiej agresji na Ukrainę wielu ekspertów uznało, że koncepcja gospodarki światowej jako jednego systemu może być ryzykowna. Od tego czasu jest więcej zrozumienia dla inicjatyw, które mają wzmocnić regionalne powiązania gospodarcze.

Koncepcja Trójmorza jest dobrą odpowiedzią na sytuację, gdy istnieje zagrożenie dla łańcuchów dostaw z innych kontynentów. Dla państw Europy Zachodniej inwestycje w krajach Trójmorza są mniej ryzykowne niż np. w Azji, krótsza jest także droga transportu. Rozbudowa infrastruktury w tych państwach jest zatem korzystna dla całej Europy.

Powiązania gospodarcze Trójmorza z gospodarką niemiecką są tak silne, że wyklucza to budowanie konkurencyjnego bloku wobec Niemiec i Francji. Niemiecki eksport do państw Trójmorza jest kilkakrotnie większy niż do Rosji czy do Chin. Jednym słowem, Trójmorze nie jest alternatywą dla francusko-niemieckiego duetu. Bo Trójmorze, liczące ponad 140 mln mieszkańców, stanowi nie tylko duży rynek konsumentów, lecz także ważną część europejskiej gospodarki.

Z PERSPEKTYWY WOJNY NA UKRAINIE

Prezydent Ukrainy Petro Poroszenko otrzymał zaproszenie na spotkanie kreujące Trójmorze do Dubrownika w 2015 r., ale go nie przyjął. Ukraina zwróciła się o uczestnictwo w tej inicjatywie dopiero podczas spotkania w Rydze w 2022 r. i została przyjęta do niej jako partner. Ma więc obecnie status podobny do USA i Niemiec.

Z powodu rosyjskiej agresji na Ukrainę budowa osi polityczno-gospodarczej między Paryżem, Berlinem i Moskwą odchodzi do przeszłości. Nikt nie może kooperować gospodarczo z krajem, który burzy pokój w Europie.

Do 22 lutego 2022 r. celem Trójmorza była przede wszystkim modernizacja infrastruktury, czyli rozwój gospodarczy. Od ataku na Ukrainę państwa regionu mają inny priorytet – bezpieczeństwo. Konflikt zbrojny w Europie postawił przed nimi nowe zadania, czyli obronę przed zagrożeniem rosyjską agresją. To nie państwa Trójmorza wybrały nowe priorytety, lecz Putin swą agresywną polityką zmusił ich liderów do zmiany głównych celów.

Już kilka dni po rosyjskiej agresji okazało się, że państwa Trójmorza ostrzej oceniają rosyjskie zagrożenie niż kraje Europy Zachodniej. Kraje tego regionu szybko zwiększyły budżety obronne i jako pierwsze oprócz USA zaczęły

eprasa.pl 85e525458b

dostarczać broń na Ukrainę; to one uznały, że bezpieczeństwo Europy potrzebuje umocnienia więzi militarnych ze Stanami Zjednoczonymi.

W tym czasie prezydent Macron zabiegał o wizyty w Moskwie i zgłaszał pomysł autonomii strategicznej Unii wobec USA. Władze Niemiec natomiast podczas pierwszych miesięcy wojny postulowały budowę Europejskiej Suwerenności Strategicznej i wysyłały na Ukrainę stare hełmy.

Wojna na Ukrainie trwa już ponad dwa lata. Trójmorze nie zajmuje się kwestiami militarnymi, bo nie jest sojuszem militarnym. Dziś jego liderzy nadal dobrze rozumieją, że w nowej sytuacji region nadal potrzebuje nowoczesnej infrastruktury. Nie wystarczy pytać, czy te inwestycje są potrzebne gospodarce, lecz przede wszystkim zadać pytanie, czy inwestycje w infrastrukturę ułatwiają współpracę militarną z sojusznikami. Pod wpływem wojny na Ukrainie misja Trójmorza uległa zatem rozszerzeniu. Z projektu modernizacyjnego staje się ono projektem budowy infrastruktury o podwójnym zastosowaniu, czyli zarówno cywilnym, jak i obronnym.

CO DALEJ?

Dla władz w Pekinie Trójmorze to inicjatywa, która jest konkurencją dla stworzonej w 2012 r. chińskiej koncepcji kooperacji z krajami Europy Wschodniej zwanej 16 plus 1. Chińczycy uważają obszar państw Trójmorza za bramę do Europy dla towarów z Państwa Środka. Uwikłanie Rosji w wojnę z Zachodem na Ukrainie okazało się dla Chin korzystne, bo uzależniło Rosję od władz w Pekinie. Jednak w dłuższej perspektywie Chiny są zainteresowane pokojem na Ukrainie, gdyż tylko on zapewnia niezakłócony handel z Europą Zachodnią, co jest dla nich trwałym priorytetem. Pokój na zasadach budapeszteńskiego memorandum z 1994 r., które przewiduje pozablokowy status Ukrainy, jest dla Chin rozwiązaniem optymalnym.

W Moskwie Trójmorze jest postrzegane negatywnie. Po pierwsze dlatego, że dzięki dostawom gazu z USA Rosja traci rynek dla swoich surowców energetycznych. Po drugie, integracja regionu ze wsparciem Ameryki oznacza, że Rosja nie tylko ponosi straty gospodarcze, lecz także traci narzędzie szantażu politycznego. Po trzecie, Moskwa zawsze wolała prowadzić politykę z pojedynczymi państwami niż ze zintegrowanym regionem.

Dla USA Trójmorze to inicjatywa, która osłabia rosyjskie wpływy w Europie. Daje możliwość przekształcenia regionu w obszar, który broni Starego Kontynentu przed rosyjską ekspansją. Trójmorze umacnia zatem powiązania gospodarcze Europy ze Stanami Zjednoczonymi, ułatwia także współpracę proatlantycką w dziedzinie militarnej.

> W Moskwie Trójmorze jest postrzegane negatywnie. Po pierwsze, dlatego, że dzięki dostawom gazu z USA Rosja traci rynek dla swoich surowców energetycznych. Po drugie, integracja regionu ze wsparciem Ameryki oznacza, że Rosja nie tylko ponosi straty gospodarcze, lecz także traci narzędzie szantażu politycznego

Początkowo intencją integracji regionu były przede wszystkim cele gospodarcze. Po rosyjskiej agresji na Ukrainę nowym czynnikiem spajającym Trójmorze jest rosyjskie zagrożenie. Ta wojna w sposób nieodwracalny określiła stanowisko państw regionu wobec Rosji. Tym samym postawa krajów wschodniej flanki Europy przekreśla jakąkolwiek prorosyjską politykę Unii.

Obszar państw Trójmorza jest pod pewnym względem unikalny na świecie. Zbiegają się tu interesy dwóch mocarstw, czyli USA i Chin. Żadne z nich nie chce, by powstał polityczno-gospodarczy blok niemiecko-rosyjski. Umocnienie regionu Trójmorza leży zatem w interesie zarówno Chin, jak i USA, a państwa tego regionu powinny umiejętnie wykorzystywać tę sytuację.

Zagrożenie wojną w Europie stanowi wyzwanie dla Komisji Europejskiej. Dziś nie wystarczy finansować dostawy broni i amunicji na Ukrainę ani wspierać produkcję zbrojeniową w Europie. Skuteczna obrona kontynentu wymaga odpowiedniej infrastruktury zwłaszcza na wschodniej flance NATO, czyli w krajach Trójmorza. Jej budowa zależy zarówno od wysiłku państw tego regionu, jak i od inwestycji finansowanych przez Unię Europejską.

Jak wiadomo, inwestycje infrastrukturalne to projekty o długim czasie zwrotu. Trudno je zatem finansować zwykłym kredytem komercyjnym. Główną barierą przy inwestycjach infrastrukturalnych jest wysokie oprocentowanie kredytów komercyjnych. Aby ją przełamać, proponuję, aby KE utworzyła osobny fundusz, z którego można pokrywać koszty oprocentowania kredytów zaciąganych przez państwa członkowskie na budowę infrastruktury o podwójnym zastosowaniu, czyli cywilnym i militarnym. Oprócz pełnego finansowania niektórych projektów przez Unię proponuję zatem uruchomić specjalny mechanizm finansowania odsetek od kredytów na inwestycje infrastrukturalne, takich jak lotniska, drogi, porty, rurociągi czy mosty. Taka pomoc ze strony Unii Europejskiej pozwoliłaby Funduszowi Trójmorza szybko zgromadzić i zainwestować dużo większe środki niż dotychczas. Reasumując, dziś perspektywy umocnienia Trójmorza zależą od spojrzenia KE na zadania regionu w dziedzinie bezpieczeństwa. Jeżeli Komisja Europejska nadal będzie koncentrować się na polityce klimatycznej i pozostanie bierna wobec potrzeb państw regionu, otwiera w naturalny sposób pole dla amerykańskich inicjatyw na tym obszarze.

eprasa.pl 85e525458b

Talent nie zwalnia z obowiązków wobec ojczyzny

Krzysztof Kamil Baczyński uznał, że najpierw jest żołnierzem, dopiero potem poetą. Jego wybór był szlachetny i poruszający, ale nie nadzwyczajny w dziejach Polski i cywilizacji Zachodu. Był jednym z bardzo wielu wybitnych twórców, którzy walczyli i ginęli w obronie swoich ojczyzn

PIOTR GURSZTYN

4 sierpnia – rocznica śmierci Baczyńskiego – to moment wspominania słynnych słów, że jesteśmy narodem, który „strzela do wroga brylantami". Są one przypominane w atmosferze krytyki, że jesteśmy narodem, który nie dba o swoich najbardziej utalentowanych twórców, poświęca ich w bezsensowny sposób i w ogóle mają być dowodem na to, że jesteśmy wspólnotą postępującą nieracjonalnie czy wręcz beznadziejnie głupio.

Każdego roku odbywa się przy tym potępieńczy rytuał samobiczowania i ojkofobicznych manifestów. Ale najbardziej uderzające jest to, że jego uczestnicy, którzy zarzucają swojej narodowej wspólnocie brak rozsądku i szaleństwo, sami są przykładem ignorancji i głupoty. Bo jak można posługiwać się cytatem, nie poznając jego treści i kontekstu? Jak można rzucać bezrefleksyjne oskarżenia, nie wiedząc, że czyn Baczyńskiego nie był wyjątkowy? Nie tylko w dziejach Polski, lecz także innych krajów Europy. Również tych, wobec których nasi peryferyjni nadwiślańscy ojkofobi odczuwają największe kompleksy.

NIEZGODA NA BEZRADNOŚĆ

„Cóż, należymy do narodu, którego losem jest strzelać do wrogów z brylantów" – tak brzmiały słowa Stanisława Pigonia, gdy dowiedział się, że Krzysztof Kamil Baczyński został żołnierzem Armii Krajowej. Czy słowa wybitnego literaturoznawcy były krytyką decyzji młodego poety? I krytyką idei czynnej walki o wolność? To więcej niż wątpliwe, o czym świadczy choćby użycie słowa „los", czyli wskazanie na okoliczność, na którą ma się ograniczony wpływ. Ale ważniejszą odpowiedź daje życiorys Pigonia.

Gdyby urodził się w zaborze innym niż austriacki, ten syn biednych chłopów nie miałby szansy zostać profesorem uniwersytetu. Namiastki wolności, które dawała autonomia galicyjska w postaci polskiego szkolnictwa, musiały mu uzmysławiać, co niesie ze sobą posiadanie własnej państwowości lub jej całkowity brak. Bolesnym doznaniem była dla niego służba w armii austriackiej w czasie I wojny światowej. Okopowa wegetacja na froncie zachodnim i wizja całkowicie bezsensownej śmierci w imię cudzych interesów. Później sam się zgłosił do odrodzonego Wojska Polskiego, gdzie zaszczytnie służył jako dowódca pociągu pancernego. A w czasie II wojny światowej odczuł, co znaczy być bezbronną i bezradną ofiarą, gdy wraz z innymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego więziono go w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen.

Niemiecka okupacja sprowadzała Polaków do roli ubezwłasnowolnionych ofiar. Wielu dzisiejszych krytyków oporu przeciw Niemcom redukuje postawy ludzkie do funkcji biologicznych – jeść, spać, przeżyć za wszelką cenę. Nie rozumieją oni przy tym dwóch kwestii. Pierwszej, że poczucie bezradności było skrajnie upokarzające dla wielu ówczesnych Polaków. Nie chcieli i nie potrafili się na to godzić, bo niszczyło to ich samoocenę i zdrowie psychiczne. Drugiej, że uległość i ostrożność też nic nie dawały. Krzysztof Kamil Baczyński mógł zginąć każdego dnia okupacji z zupełnie przypadkowej przyczyny. Taki był np. los Andrzeja Trzebińskiego. Tego młodego poetę ścigało gestapo, ale wpadł z fałszywymi papierami tylko dlatego, że nielegalnie korzystał z zakładowej stołówki. Niemcy go nie rozpoznali, ale został rozstrzelany jako przypadkowy zakładnik w ulicznej egzekucji.

eprasa.pl 85e525458b

Takie zdarzenia sprawiały, że ludzie tamtej epoki woleli ginąć z bronią w ręku, niż iść bez oporu pod rzeźnicki bez mała nóż. Jeszcze przed powstaniem warszawskim zmarł z ran odniesionych w walce inny poeta – Wacław Bojarski. Żołnierski los wybrali i zapłacili w powstaniu najwyższą cenę równie utalentowani twórcy – Krystyna Krahelska, Józef Szczepański „Ziutek", Zdzisław Stroiński, Tadeusz Gajcy. Z ich wierszy wiadomo, że nie szukali śmierci. Chcieli przeżyć, ale wiedzieli, że jeśli zginą, to nie z powodu jakiegoś polskiego szaleństwa, lecz dlatego, że kraj znalazł się pod okupacją okrutnego wroga. Podkreślmy przy tym, że Baczyński i wszyscy inni byli ochotnikami. Musieli pokonać wiele przeszkód, aby zostać żołnierzami Armii Krajowej. „Nikt im iść nie kazał, poszli, bo tak chcieli" – jak napisał wiele lat przed nimi Edward Słoński, poeta i żołnierz Legionów.

Ci, którzy widzą w śmierci Baczyńskiego przejaw polskiego szaleństwa, ośmieszają się z jeszcze jednego powodu. Nie tylko ignorancji, lecz także zaściankowości, której tak się wstydzą. „Rzecz to piękna zaprawdę, gdy krocząc w pierwszym szeregu, ginie człowiek odważny, walcząc w obronie ojczyzny" – to jeden z urywków, które zachowały się z pieśni starogreckiego poety Tyrteusza. Jego dziedzictwo wpływało na umysły wszystkich pokoleń Europejczyków, podobnie jak słowa Horacego – „Dulce et decorum est pro patria mori" („Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę").

UTALENTOWANI OCHOTNICY

W 1813 r. zginął 22-letni Theodor Koerner, walczący jako ochotnik przeciw wojskom napoleońskim. Mimo młodego wieku był już poetycką sławą, a także z racji urodzenia członkiem ówczesnych elit. Jego śmierć na polu bitwy wywarła ogromne wrażenie na niemieckiej opinii publicznej. Słynny austriacki dyplomata Klemens Metternich uznał tę śmierć za bezsensowną: „Życzyłbym sobie, aby istniał przepis mówiący, że każdy, kto wyróżnia się wielkim talentem, nie ma prawa zostać wydanym na pastwę zgubnych przypadków bitwy. Tak bardzo obiecujący Koerner nie był bardziej potrzebny niż jakiś głupek".

Polemizował z tym uczony i dyplomata Wilhelm Humboldt: „Ajschylos bardzo by się zdumiał, gdyby chciano go powstrzymać przed wzięciem udziału w bitwie pod Maratonem". Tak rzeczywiście było. Słynny dramatopisarz, w niemłodym wtedy wieku 35 lat, walczył jako hoplita przeciw perskim najeźdźcom. Był z tego bardziej dumny niż ze swoich osiągnięć literackich, bo o bitwie, a nie napisanych tragediach, kazał wyryć napis na swoim grobie.

Tak więc Baczyński, Gajcy, Stroiński i inni znaleźli się w zaszczytnym, ale bynajmniej nie wyjątkowym gronie. Mieli bardzo licznych poprzedników, którzy stwierdzili, że talent nie zwalnia z obowiązków wobec ojczyzny i rodaków.

> Ci, którzy widzą w śmierci Baczyńskiego przejaw polskiego szaleństwa, ośmieszają się nie tylko z powodu ignorancji, lecz także zaściankowości, której tak się wstydzą

Poeta Sándor Petőfi – będący dla Węgrów jednoczesnym odpowiednikiem Mickiewicza i Słowackiego – zginął jako adiutant gen. Józefa Bema w wieku zaledwie 26 lat. Do walki z Austriakami stanął dobrowolnie.

Mało kto wie, że wystarczyłby jeden celny pocisk, by nie powstało słynne „Bolero" Maurice'a Ravela. W 1914 r., w momencie inwazji kajzerowskich Niemiec na Francję, Ravel był już muzyczną znakomitością. Liczył 39 lat, więc armia w ogóle się nim nie interesowała. On sam wyobraził sobie, że ponieważ był drobnej postury, zostanie przyjęty do wojska jako pilot. Ale wojsko uznało, że jest za stary, a na dodatek wykryto u niego wadę serca. Kompozytor zadał sobie wiele trudu, aby w końcu zostać żołnierzem. Udało się po długich miesiącach starań. Został kierowcą w pułku artylerii. Pełnił ryzykowną służbę – dostarczał amunicję na pierwszą linię frontu. Często pod bezpośrednim ostrzałem wroga.

Ochotnikiem był także francuski poeta polskiego pochodzenia Guillaume Apollinaire (Wilhelm Kostrowicki), który przesłużył całą wojnę jako oficer piechoty. Przypłacił to bardzo ciężkimi ranami.

Podobna do przypadku Ravela jest historia autora „Małego księcia". Antoine de Saint-Exupéry był doświadczonym pilotem, ale z powodu wcześniej odniesionych obrażeń oraz wieku lotnictwo Wolnych Francuzów nie chciało przyjąć go do swoich szeregów. Był jednak znanym pisarzem i miał wielu wpływowych przyjaciół. Jednym słowem, użył protekcji po to, aby móc uczestniczyć w walce z Niemcami. Zginął w stopniu majora, gdy jego Lightning został zestrzelony przez myśliwiec Luftwaffe.

GWIAZDY IDĄ NA FRONT

Także lżejsza muza – film – ma swoich bohaterów wojennych. Aktorzy tacy jak Clark Gable i James Stewart byli już gwiazdami Hollywood, gdy po ataku na Pearl Harbour ochotniczo zgłosili się do wojska. Obaj mieli możliwość służby w oddziałach propagandowych w bezpiecznej odległości od frontu. Jednak zażądali skierowania do jednostek liniowych, by móc uczestniczyć w bezpośredniej walce. Trafili do sił powietrznych i uczestniczyli w misjach bojowych. Stewart dosłużył się stopnia pułkownika, jako dowódca zgrupowań lotniczych zbombardował niejedno niemieckie miasto.

W pokoleniu, które Amerykanie nazywają „The Greatest Generation", wiele późniejszych gwiazd filmowych miało za sobą ciężką służbę frontową. Wśród nich byli m.in. Lee Marvin, Charles Bronson, Paul Newman, Charlton Heston, Kirk Douglas. W większości znaleźli się w wojsku jako ochotnicy.

eprasa.pl 85e525458b

Grób Krzysztofa Kamila Baczyńskiego na Powązkach Wojskowych w Warszawie

Jak by to nie zabrzmiało okrutnie, st. strz. pchor. Baczyński miał przywilej śmierci bohatera, z bronią w ręku. W XX w. miliony ludzi zginęło, nie mogąc stawić oporu swym oprawcom. W tej liczbie mieszczą się także liczni utalentowani twórcy.

W historii kultury ukraińskiej jest epoka zwana „rozstrzelanym odrodzeniem". Obejmuje ona setki pisarzy, poetów, malarzy, uczonych i innych intelektualistów rozstrzelanych przez władze sowieckie w latach 30., ze szczególnym uwzględnieniem 1937 r. Ukraińcy łączą wspomnienie o tej stracie z traumą wielkiego głodu.

Jest oczywiste, że wpływa to na ich postawę obecnie. Do Polski docierały czasem echa tamtejszych sensacji, że kolejna słynna postać dołączyła do ukraińskich sił zbrojnych. Sporo z tych znanych osób straciło życie na froncie. Ukraińska Wikipedia ma osobny dział poświęcony twórcom, którzy zginęli w obronie kraju przed rosyjską agresją. Wymieniono tam 28 pisarzy, muzyków, gwiazd mass mediów, którzy polegli na polu boju.

Najbardziej znaną taką postacią jest Wasyl Slipak, który w wieku 42 lat zginął jeszcze w czasie walk o Donbas w 2016 r. Ten ceniony śpiewak operowy mógł dalej robić karierę na scenach Francji i USA. Porzucił ją, aby walczyć jako szeregowy operator kaemu.

Charakterystyczny jest przykład znanego także w Polsce pisarza Serhija Żadana. Przez kilkanaście pierwszych miesięcy wojny zajmował się pomocą humanitarną. Miał co robić, bo pochodził z Charkowa, czyli miasta leżącego bezpośrednio na linii frontu. Uznał, że pomoc charytatywna nie powstrzyma Rosjan. W tym roku w wieku 50 lat wstąpił do brygady Gwardii Narodowej „Chartia". Więziony przez Rosjan w latach 2014–2019 reżyser Ołeh Sencow wstąpił do Obrony Terytorialnej w pierwszych dniach rosyjskiej inwazji. Dzisiaj w stopniu podporucznika dowodzi kompanią w 47. Samodzielnej Brygadzie Zmechanizowanej „Magura".

WBREW PRETENSJOM OJKOFOBÓW

Wróćmy do Baczyńskiego i poetów z pokolenia Kolumbów. Co by się działo, gdyby przeżyli? Czym skończyłoby się dla nich spotkanie z czerwoną zarazą, jak nazwał komunistów w słynnym wierszu „Ziutek" Szczepański? Wiadomo, że w 1949 r. ubecy chcieli aresztować Baczyńskiego. Przyszli do jego mieszkania, nie wierząc w wersję o śmierci poety. Co by z nim było po wojnie? Zostałby zakatowany przez UB?

A może zostałby złamany lub przekupiony? Wtedy otwartą kwestią byłoby to, czy jego wojenna poezja miałaby ten sam urok. Piosenka „Warszawskie dzieci" wzrusza do dzisiaj i trzeba stwierdzić, że to genialne dzieło. Ale o jej autorze – Stanisławie Ryszardzie Dobrowolskim – nikt nie chce dzisiaj pamiętać. Podobnie o Romanie Bratnym, mimo że ukuł pojęcie „pokolenie Kolumbów". Płacą cenę za powojenne pisanie peanów na cześć Stalina, antysemickich powieści w 1968 r., potępianie „warchołów" z Radomia i Ursusa, tworzenie paszkwili na Solidarność w stanie wojennym. Najkrócej mówiąc – jako twórcy sami skazali się na zapomnienie, gdyż zdradzili ideały, za które walczyli w powstaniu warszawskim.

Może byłby szczęśliwszy koniec. Choćby życie na emigracji, jak Marian Hemar czy Gustaw Herling-Grudziński. Wtedy dzieje kultury polskiej zapewne byłyby bogatsze o dzieła tworzone w dojrzałym wieku. Może upływ czasu usunąłby z oczu Krzysztofa Kamila „szkło bolesne – obraz dni, które czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi". Stało się inaczej, ale z niemieckiej, a nie z polskiej winy, wbrew temu, co słychać w pretensjach narodowych masochistów i ojkofobów. St. strz. pchor. Baczyński podjął świadomą decyzję i nikomu nic do tego.

eprasa.pl 85e525458b

Wyspa cudownie zapomniana

Jezus Maria, Witek! Tu są szczury! – rozlega się rozpaczliwy krzyk polskiej turystki z sąsiedztwa. Wybiegam na taras i widzę kobietę stojącą na krześle, pod którym siedzi gryzoń. W tle bajeczna plaża, lazurowa woda oraz porośnięte piniami i palmami wydmy. – Co tam szczur, niech pani spojrzy, jaka cudowna jest Minorka! – uspokajam

PIOTR OSTROWSKI

Piaszczyste plaże, które wdzierają się w skaliste wybrzeże, lazur wody, bujna roślinność, tajemnicze megality i święty spokój czynią z Minorki prawdziwą oazę. W Son Parc na północy wyspy budzi się dzień. W położonym nad morzem w piniowym lesie kempingu o rozłożystej, lecz niskiej zabudowie jest kilka basenów i sklepów, przypomina on małe miasteczko. Najlepsze lata ma już za sobą i nieco trąci myszką, a właściwie... szczurkiem. Wypasione gryzonie pojawiają się tu w dzień i w nocy, wchodzą na tarasy i balkony, również na piętrze. „Najlepiej nie zwracajcie na nie uwagi i nie zostawiajcie jedzenia, bo przez dokarmianie już się oswoiły" – mówi świeżo poznany ogrodnik, który nic sobie nie robi z obecności szczura.

Nie ma co narzekać na łagodne, choć bezczelne gryzonie, bo obłędne położenie ośrodka rekompensuje wszelkie mankamenty. Znajduje się nad zatoką wśród kwitnącego buszu egzotycznej zieleni i przy piaszczystej plaży, do której wiedzie efektowny drewniany chodnik. Do tego niesamowity kolor wody, zachęcający do nieustannych kąpieli. Po drugiej stronie bajecznej zatoki jest jeszcze jeden niewielki kompleks budynków z noclegami i restauracją – dla bogatych.

WYSPA JAK KOPCIUSZEK

Na Minorkę wybierałem się od lat, jak sójka za morze. Zawsze znajdowałem jednak jakiś powód, by znowu lecieć na Majorkę, bo przecież to „Baleary w pigułce". Jeśli już – trzeba zobaczyć okrytą złą sławą, hałaśliwą i grzeszną Ibizę. Ale Minorka? Mało znana, zawsze w cieniu swoich bardziej strojnych i słynnych sióstr. Taki Kopciuszek. Nikt z nas się nie spodziewał, że to jedno z najbardziej fascynujących miejsc Europy, kryjące nieskażone piękno przyrody i niezwykłe tajemnice archeologiczne.

Minorka to druga co do wielkości wyspa hiszpańskich Balearów. Prawie cała jest objęta statusem Rezerwatu Biosfery UNESCO. Tutejsze wydmy przypominają te z północy Europy, często porośnięte tra-

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 85e525458b

wami i mikołajkiem nadmorskim. Spośród olbrzymich drzew piniowych, których korony przypominają nasze sosny, wyłaniają się palmy, araukarie, migdałowce i kwitnące krzewy.

Minorka to nadal najmniej zadeptana wyspa Balearów, bez tłumów turystów i uciążliwego zgiełku. Ma powierzchnię wielkości większego powiatu: 50 km długości, a w najwęższym miejscu jej szerokość nie przekracza 16 km. Można ją więc przemierzyć w ciągu jednego dnia. Przez wyspę biegnie jedna główna droga, od której odchodzą pomniejsze, prowadzące do miasteczek, zabudowań, hacjend i plaż, których jest tu ok. 70. Na Minorce mieszka zaledwie 90 tys. ludzi, a z powodu restrykcyjnych przepisów jednorazowo nie może na niej przebywać więcej niż 150 tys. turystów. Dla porównania Majorkę, którą zamieszkuje blisko 1 mln ludzi, odwiedza rocznie 10 mln turystów.

ZEMSTA, KTÓRA OCALIŁA WYSPĘ

Na Minorce nie znajdziemy zatłoczonych kurortów i hałaśliwych dyskotek. Na wyspie jest tylko jeden klub nocny – w schowanej w klifie jaskini Cova d'en Xoroi, w której można też oglądać romantyczne zachody słońca. Za „jedyne" 20 euro od osoby. Ale chętnych nie brakuje – długa kolejka ustawia się godzinę przed otwarciem. „To najmniej zabetonowana europejska wyspa, na jakiej kiedykolwiek byliśmy" – mówią zgodnie turyści z Polski, których spotkaliśmy. Ingerencja człowieka w naturę wydaje się tu minimalna. Dlaczego tak się stało? Co ocaliło tę niewielką wyspę od losu, który stał się udziałem Majorki i Ibizy? Najprostsza odpowiedź – gen. Francisco Franco. Był on przeciwny inwestowaniu na Minorce, podobnie jak w całej Katalonii. W ten sposób Katalończycy zostali ukarani przez dyktatora za to, że nie poparli jego reżimu, a wręcz zbrojnie się mu przeciwstawili. Franco pokonał Katalonię, a następnie pozbawił autonomii, zakazał używania języka katalońskiego w szkołach i miejscach publicznych oraz odciął region od inwestycji, w tym mających znaczenie dla rozwoju turystyki. Wyjątek zrobił dla Majorki, która miała służyć jako miejsce wypoczynku dla milionów zwykłych Hiszpanów i właśnie tam zbudowano niezliczone betonowe hotelowce. Zapominania Minorka została oszczędzona. Potem była to już świadoma polityka władz Balearów, które chciały uchronić wyspę przed tym, co spotkało Majorkę.

TAJEMNICZE MEGALITY

Wypożyczonym autem ruszyliśmy w głąb wyspy. Najpierw wjechaliśmy na jej najwyższe wzniesienie – górę El Toro. Ze szczytu, do którego z miasteczka Es Mercadal prowadzi ponadtrzykilometrowa wąska i kręta droga, przy dobrej pogodzie widać całą wyspę. To miejsce jest celem pielgrzymów, którzy odwiedzają sanktuarium Mare de Déu del Toro i pozostałości klasztoru augustianów oraz monumentalną statuę Chrystusa. Obok stoi równie okazały maszt z wojskowymi antenami. Każdy turysta robi więc zdjęcie pomnika i klasztoru tak, by nie było na nim szpetnych anten. Wyraźnie zawiedzeni pielgrzymi chcieli w sklepie przy sanktuarium kupić różaniec, ale ekspedientka odpowiedziała zdecydowanym głosem: „Dewocjonaliów nie sprzedajemy. Nie wolno nam". Polityczna poprawność po hiszpańsku? Ruszamy dalej.

Zwiedzając interior, trudno nie zauważyć tajemniczych, ogromnych kamiennych budowli. Wiele z nich widać z głównej drogi, do innych prowadzą świetnie oznakowane szlaki. Zdaniem archeologów niezwykłe konstrukcje mają ok. 5 tys. lat, choć niektórzy szacują ich wiek na nawet 20 tys. Identyczne budowle badane niedawno w Turcji w Göbekli Tepe i bliźniaczym Karahan Tepe są datowane – i to już bez wątpliwości – na ponad 20 tys. lat, czyli sprzed epoki megalitycznych „wędrownych zbieraczy". Wszystkie obiekty są zaskakująco podobne, jakby stworzone tą samą ręką – na Minorce, Malcie, Sardynii, w Turcji i Bóg wie, gdzie jeszcze zostaną odkryte. Zbudowano je z kamiennych bloków połączonych bez żadnej zaprawy tak precyzyjnie, że trudno wcisnąć między nie kartkę. Są porozrzucane po całej wyspie, a archeolodzy doliczyli się ok. 1,6 tys. takich stanowisk. Kto je zbudował i do czego służyły? To pozostałości domów, grobowców i świątyń „starożytnej cywilizacji Talayot" – piszą archeolodzy.

Starożytni budowniczowie wznosili na Minorce trzy rodzaje obiektów: talayoty – kilkunastometrowej wysokości konstrukcje w kształcie kopuły na planie koła lub kwadratu, navety – budowle przypominające odwróconą łódź z jednym małym wejściem i kamiennym piętrem wewnątrz oraz taule – dwie ogromne kamienne płyty ułożone w kształcie litery „T". Zdaniem archeologów dwie pierwsze budowle były grobowcami, zaś te z płyty w kształcie litery „T" – przypominające wspomniane obiekty z Turcji, a także trochę Stonehenge – pozostają zagadką. Ale tu wszystko jest zagadkowe i teoretyczne.

Obok Ciutadelli, dawnej stolicy wyspy, znajduje się jeden z najlepiej zachowanych kompleksów megalitycznych – Naveta des Tudons, a także „nekropolia" Cales Coves. Imponuje rozmiarem, bo składa się z 90 wykutych w skale pomieszczeń w niewielkiej odległości od Cala en Porter, malowniczej morskiej zatoki. I choć zdaniem archeologów Cales Coves służyły za grobowce, to nie można wykluczyć, że zanim zaczęto składać w nich ciała zmarłych, były zamieszkane, na co wskazują ślady po

eprasa.pl 85e525458b

paleniskach, kominy, skalne podesty, wykute w wapiennej skale rynny, zbiorniki na wodę i poidła dla zwierząt. Do tego mają otwory drzwiowe i okienne... Jeśli to są grobowce, to ja jestem biskupem!

MAJONEZ, GIN I SANDAŁY

Stolica Minorki jest położona na wysokim, skalnym wzniesieniu, u podnóża którego rozciąga się jeden z największych naturalnych portów na świecie. Wżyna się w głąb lądu aż na 6 km, stanowiąc nie tylko handlowo-transportowe okno na świat Minorki, lecz także atrakcję turystyczną. Maó, czyli Mahón, jak na stolicę przystało, jest miastem zamożnym i zadbanym, a jednocześnie jedynym miejscem na wyspie, w którym panuje miejski harmider.

Z Mahón pochodzi najsłynniejszy sos świata – majonez, który wziął nazwę od imienia miasta. Nie do końca wiadomo, kto był jego twórcą. Część źródeł mówi, że nie został on wymyślony przez wyspiarzy, lecz Francuzów w czasie ich oblężenia wyspy w XVIII w. Inni twierdzą natomiast, że Francuzi jedynie rozsławili majonez. Gdy francuski kardynał Richelieu spróbował tego sosu, który wyspiarze podawali do ryb, tak się nim zachwycił, że po powrocie do kraju wprowadził „sos z Mahón" – po hiszpańsku „salsa mahonesa" – na salony.

Z kolei Brytyjczykom, którzy także panowali na Minorce przez kilkadziesiąt lat, wyspiarze zawdzięczają gin. Co ciekawe, nie wytwarza się go tu ze zbóż, lecz z wytłoków winogron. Stanowi on więc swoiste połączenie tradycji brytyjskiej i śródziemnomorskiej. Warto wstąpić na degustację do znajdującej się przy porcie słynnej destylarni Xoriguer, która oferuje wiele nalewek i likierów na bazie ginu oraz oczywiście ten trunek w najczystszej postaci. Najbardziej popularnym na wyspie drinkiem jest robiona z ginu i cytrynowej lemoniady orzeźwiająca pomada.

Wpływy francuskie i brytyjskie widać także w architekturze stolicy, gdzie wiele budynków – jak choćby ratusz – zbudowano w stylu gregoriańskim. Nam jednak bardziej spodobała się utrzymana w stylu iberyjskim dawna stolica Minorki Ciutadella, położona po przeciwnej stronie wyspy. Znajdujący się na starówce pl. des Born otacza sieć średniowiecznych uliczek. Są tu liczne pałace, forty i katedra, która powstała w XIV w. w miejscu meczetu. Miejscem tętniącym życiem jest długi port, w którym cumują łodzie i jachty, a niemal całe nabrzeże zajmują restauracje i tawerny.

Z doskonałej kuchni, której najjaśniejsza gwiazda to gulasz z homara, znane jest Fornells na północy wyspy. Ta niegdyś mała wioska rybacka współcześnie to urokliwe, białe miasteczko pełne turystów i rezydentów. Skoro jest kulinarną stolicą, zostajemy na obiad. Dziś jednak homarów brak. Kelner proponuje cannelloni z mięsem królika lub kaczki. Wybieram ręcznie robione, z farszem z kaczki w pikantnym sosie majonezowym. Pyszne danie.

Poza dawną i obecną stolicą na wyspie jest jeszcze zaledwie pięć niewielkich, kilkutysięcznych miasteczek. W Es Mercadal u podnóża góry El Toro warto wybrać się na zakupy. Słynie z tradycyjnego rzemiosła i rękodzieła, w tym z najwygodniejszych sandałów świata. W ręcznie szytych skórzanych butach chodzą kobiety i mężczyźni. Avarca, które wytwarza dzisiaj kilku producentów, stały się rozpoznawalnym, markowym produktem Minorki.

WINNE BIAŁE KRUKI I SEROWE ELDORADO

Bardzo znanym produktem Minorki są sery z krowiego mleka. Producenci zrzeszeni w spółdzielni pod marką Maó tworzą bardzo smaczne wyroby oraz szlak serowy, ruta del queso. Co więcej, sery mają własną apelację DOP, która jest gwarantem jakości i pochodzenia. Pedro, poznany na wyspie Hiszpan, zachęcił nas do odwiedzenia queserii, czyli małej, lokalnej serowarni w Hort Sant Patrici niedaleko Ferreries. Tu poza serami powstaje także niezwykłe wino. W starej hacjendzie urządzono butikowy hotel, a w dawnej stodole salę degustacyjną i małe muzeum serowarstwa.

„Proponuję białego merlota, czyli białe wino zrobione z czerwonej odmiany. Takie wino to swoisty biały kruk" – zapewnia menedżer winiarni. Degustujemy, zagryzając ostrym w smaku serem, który dojrzewał ponad rok. „Winnica produkuje rocznie zaledwie 14 tys. butelek, a mamy tylko dwa rodzaje wina: oprócz białego merlota to czerwony kupaż Merlota, Shiraz i Monastrella. Lepiej produkować mniej, ale lepiej!" – zachwala swoje wina Pedro.

To jedna z czterech profesjonalnych winnic na Minorce, największa ma zaledwie 15 ha powierzchni. Bardzo popularna jest Bodega Binifadet z urokliwą restauracją. Tutejsi winiarze uprawiają merlota, monastella i syrah, z których robią także różowe wina. Rośnie tu również chardonnay, z którego powstają wina jednorodne oraz bardzo ciekawe kupaże z muscarisem, sauvignon blanc oraz viognierem i parelladą. Aż żal, że winnic, które produkują tak dobre wina, jest tak niewiele. Przy magicznym akompaniamencie cykad pijemy białe schłodzone wino z widokiem na przepiękną winnicę. Kilka metrów od nas przebiegł wypasiony wędrowny szczur, ale nikt nie zwraca uwagi na niego. Świetne wino, pyszna kuchnia, nieskażona przyroda, zapierające dech zabytki i rajskie plaże. Nawet miejscowe szczury wydają się piękne.

Fot. Archiwum prywatne

Gdy człowiek porusza człowiekiem

Leśmian, Gombrowicz, Fredro, Collodi nie mają przed Anną Hop żadnych ograniczeń. – Czasami czuję się twórcą do zadań specjalnych – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" choreografka, której spektakl baletowy „Pinokio" oglądają właśnie widzowie na całym świecie

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 85e525458b

Z Anną Hop, choreografką, tancerką, reżyserką i pedagogiem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Znakomity spektakl baletowy pani autorstwa trafił na międzynarodową platformę OperaVision. Jakie są zalety takiej formy przekazu?

Anna Hop: Emisja na cały świat sprawia, że „Pinokio" [premiera w kwietniu tego roku – przyp. red.] będzie mógł się przedstawić szerszej, międzynarodowej publiczności. Przez pół roku przez całą dobę, bezpłatnie, osoby, które nie mają możliwości dotarcia do Polskiego Baletu Narodowego w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej (i te, którym nie uda się zdobyć biletów na spektakle grane w marcu przyszłego roku) będą miały możliwość obejrzenia „Pinokia". Poza tym forma wideo – choć zupełnie odmienna od spektaklu na żywo – ma także ogromne zalety. Na zbliżeniach można zobaczyć grę aktorską, detale tańca, kostiumów, dekoracji. Dlatego widzowie, którzy byli na spektaklu lub się na niego wybierają, mogą poprzez to nagranie doświadczyć go w inny sposób. Oczywiście warto też zobaczyć spektakl na żywo w teatrze. To zupełnie inny odbiór, żywa tkanka, przeżycie. Można zobaczyć nagranie wody, ale można też do tej wody wejść i poczuć, jak grawitacja przestaje działać, a prąd niesie nas w nieznane.

Skoro nagranie spektaklu – wypełnionego wieloma inscenizacyjnymi i choreograficznymi pomysłami – poszło w świat, liczy pani na kolejne zagraniczne propozycje?

Mam nadzieję. Na pewno byłaby to dla mnie wspaniała możliwość rozwoju.

Gdzie do tej pory pracowała pani poza Polską?

Przez półtora roku byłam związana z Operą w Oslo, norweskim środowiskiem tańca i szkołami. Na rok zamieszkałam w stolicy Norwegii, intensywnie podróżując po całym kraju. Działałam tam jako choreografka, a także pedagog. Zawodowo podróżuję też do Wielkiej Brytanii, Włoch, Szwajcarii, Belgii, Austrii, Węgier. Zdarza mi się pracować również w Niemczech, Francji, Bułgarii, Hiszpanii, Chinach czy Dubaju. Zapowiadają się też nowe kierunki, np. Japonia.

Mam wrażenie, że los obdarował panią nie tylko wygodnym za granicą, ale też bardzo trafnym nazwiskiem.

Jest bardzo adekwatne do mojej profesji, mocne i międzynarodowe. Lepszego nie mogłabym sobie wymyślić. Cieszę się, że takie mam.

Czy podobnie jak w nazwisku, w pani pracy choreograficznej dynamika wybija się na pierwszy plan?

Świadome operowanie dynamiką jest kluczowe dla budowania dramaturgii w spektaklu. W czasach internetu, social mediów i niezwykle krótkiego attention span (mocno skróconego „zakresu uwagi" i długości jej koncentracji) właściwe operowanie dynamiką ułatwia twórcom opowiedzenie historii, a współczesnemu widzowi – zwłaszcza przy większych dziełach narracyjnych – ułatwia odbiór. Dynamika jest też chyba moją cechą charakterystyczną.

W pani choreografiach oprócz baletowej klasyki pojawia się też wiele innych form tańca, ruchu, scenicznej plastyki czy kojarzonej ze starym kinem slapstikowej ekspresji. Ciasno pani w tradycyjnych ramach?

Różne techniki tańca to dla mnie narzędzia, którymi się posługuję w choreografii. Pozwalają na wydobycie charakteru, zbudowanie postaci o odrębnym rysie, opowiedzenie lub wzbogacenie historii. Co to znaczy tradycyjne ramy? Czy one jeszcze istnieją? Już dawno wyszliśmy poza nie. Nie staram się na siłę niczego zburzyć czy iść pod prąd. Po prostu patrzę na rzeczywistość i taniec we własny sposób, zapraszając tym samym innych ludzi do spojrzenia na świat lub wybrany jego aspekt moimi oczami. Różnorodność, bogactwo form i technik, jest wspaniała i pomaga mi się wyrażać.

Już rok po przyjęciu do Polskiego Baletu Narodowego zadebiutowała pani na

eprasa.pl 85e525458b

scenie TW-ON w roli choreografki miniaturą „W malinowym chruśniaku" (2010) z muzyką m.in. Marka Grechuty. Trzy lata później – pełnospektaklowy debiut „Bajki ci opowiem..." do muzyki Witolda Lutosławskiego w Operze na Zamku w Szczecinie. A potem wśród wielu innych inspiracji pojawili się Gombrowicz i Fredro. Przypomnijmy te spektakle.

Spektakl „Pupa" (premiera na scenie TW-ON w 2015 r.) powstał według tekstów Gombrowicza. Brałam w nim pod uwagę nie tylko „Ferdydurke". W 2017 r. stworzyłam „Karnawał zwierząt" dla Baletu Opery Wrocławskiej. Dwa lata później na podstawie komedii Aleksandra Fredry do muzyki żołnierskiego baletu „Na kwaterze" Stanisława Moniuszki zrealizowałam „Męża i żonę". W 2021 r. dla PBN stworzyłam „Exodus". W październiku ub.r. po dekadzie wróciłam na deski Opery na Zamku w Szczecinie swoją wersją „Don Kichota" do muzyki Minkusa. W kwietniu br. premierę miał „Pinokio" w TW-ON.

Można powiedzieć, że odważnie i szeroko patrzy pani także na literacką paletę.

W większości przypadków dostaję bardzo konkretne zamówienia. Z określonym tematem, muzyką i wieloma innymi parametrami. Tak było z Gombrowiczem, Fredrą i Collodim. Aczkolwiek mam oczywiście wiele literackich tematów, które mnie pociągają i czekają na zrealizowanie.

Rozumiem, że szerokie spektrum muzyki i tekstów tworzy się niejako poza panią, ale chyba nie bez powodu łączy właśnie z Anną Hop?

Czasami rzeczywiście czuję się „twórcą do zadań specjalnych". Zdarzają się zamówienia dające mi wolność w wyborze tematu czy muzyki, ale zdecydowana większość ma bardzo konkretnie określone ramy i potrzeby. Nauczyłam się jednak, że ograniczenia rodzą możliwości i rozwijają kreatywność. Teraz również mam parę takich zadań specjalnych, z którymi powoli „mierzę się i ważę". Nie tylko w kraju, ale na razie więcej nie mogę zdradzić.

Czy doświadczenia tancerki pomagają w tworzeniu choreografii?

Tak. Byłoby mi dużo trudniej zostać choreografem bez doświadczenia zawodu tancerki. Poza wizją, pomysłem, kreatywnością i otwartością pomaga umiejętność swobodnego, a zarazem wnikliwego poruszania się w materii tańca, która wynika z doświadczenia wszystkiego na własnej skórze i przepuszczenia przez ciało. Na pewno łatwiej jest się również komunikować z tancerzami. To działa w obie strony. Od kiedy stanęłam po drugiej stronie – jako choreografka – stałam się lepszą tancerką. Zrozumiałam, jakie są potrzeby choreografów. Zobaczyłam zawód tancerza z innej perspektywy. Lubię łączyć te profesje.

W „Pinokiu" bierze udział niemal cały zespół baletowy – ponad 70 artystów – i każdy ma moment, w którym wszystkie światła skupione są na nim.

Pracując nad spektaklem, zawsze staram się, aby służył publiczności, operze, która zamówiła dzieło i zespołowi, który nad nim pracuje. Biorę pod uwagę wiele aspektów i perspektyw. Jeżeli historia pozwala mi na rozbudowanie struktury, wzbogacając przy tym przekaz i tym samym tworząc dodatkowe możliwości rozwoju dla tancerzy – to dlaczego nie? Tak powstało wiele dodatkowych postaci w spektaklu „Pinokio", m.in. trzy świnki i wilk, kukułka i dwa zegary, krewetki... lista jest długa.

Czy dlatego w głównego bohatera wciela się aż troje różnych tancerzy i zamiast jednej są cztery wróżki?

Poza potrzebą możliwie najszerszego uaktywnienia zespołu oraz dodania elementów humoru, by rozładować narracyjne napięcie (stąd m.in. krewetki czy świnki w spektaklu), miałam dylemat, jak symbolicznie, bez słów przekazać Pinokiowi, jakimi cechami ma się wykazać i co w życiu osiągnąć, by stać się człowiekiem. Idąc tropem klasycznego baletu, np. „Śpiącej królewny", postanowiłam rozmnożyć wróżki i do Błękitnej – odpowiedzialnej za prawdę i dobro – dodać trzy inne. Zielona to samorozwój i edukacja; Biała – empatia i poświęcenie; Czerwona – odwaga i działanie. W taki sposób powstał przepis na to, jak stać się człowiekiem. Kolejnym dylematem było, jak pokazać etapy rozwoju Pinokia – od nieożywionej kukiełki przez ożywioną lalkę, która uczy się i doświadcza, po człowieka. Przyszło mi do głowy, że skoro Pinokio przechodzi trzy stadia rozwoju, to może ciekawie będzie mieć trzech Pinokiów, czyli różnych tancerzy reprezentujących kolejne etapy dojrzewania człowieka.

W efekcie, Pinokia w pierwszej fazie rozwoju gra drobna tancerka?

Co świetnie się sprawdza w trudnych partnerowaniach z Gepettem i Świerszczem. Kolejny etap ożywionej lalki tańczy charyzmatyczny, świetny technicznie oraz aktorsko tancerz chłopięcego wzrostu. To on jest główną postacią

tego spektaklu – na nim opiera się większość historii. A kiedy Pinokio poświęci swoje życie dla Gepetta, wróżki przemieniają go w prawdziwego człowieka, na scenie pojawia się trzeci Pinokio – tancerz partnerujący Błękitnej Wróżce w wymagającym duecie oraz wnoszący w finałowe sceny nową energię i radość dobrego zakończenia.

Które teraz możemy też podziwiać dzięki platformie?

Tak i bardzo serdecznie zapraszam wszystkich do zobaczenia spektaklu na OperaVision. Tych, dla których będzie to pierwszy raz i tych, którzy oglądali go na deskach opery. Każdy znajdzie w nim coś dla siebie, odkryje od nowa bez względu na wiek, pochodzenie czy obycie ze sztuką tańca. Ruch jest uniwersalnym językiem, zrozumiałym dla wszystkich, ponad granicami i podziałami.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 85e525458b

3 MIŁOŚCI

Jak podbić świat

ROBERT TEKIELI

Zachód został podbity przez cywilizację śmierci i członkowie współczesnych areopagów przestali ukrywać, że mają globalne ambicje. Środowiska te łączą jedynie dwie idee. Antychrystianizm i antynatalizm. Akuszerzy cywilizacji śmierci – propagatorzy bezpłodnych związków jednopłciowych, ideolodzy od zacierania granic płci, aborcjoniści, eutanazjaści oraz dążący do zredukowania ziemskiej populacji głosiciele zielonych idei – są bardzo skuteczni. Poglądy jeszcze w latach 60. nie do pomyślenia na Zachodzie, w latach 80. radykalne, stały się w latach 90. akceptowalne, dekadę później – rozsądne, dziś są popularne, a jutro będą jako jedynie słuszne, narzucane wszystkim społeczeństwom globu, uważane za bezalternatywne. Związki homoseksualne zrównane z małżeństwami, również w kwestii adopcji dzieci, oraz tzw. Zielony Ład narzucane są i będą Europie Środkowej i Wschodniej za pomocą prawa stanowionego, a Globalnemu Południu za pomocą propagandy i dezinformacji.

Schemat Overtona – poglądy nie do pomyślenia, potem oceniane jako radykalne, akceptowalne, rozsądne, popularne i wreszcie nakazane – jest stosowany w sposób planowy i skuteczny od 1968 r. do przeforsowania legalizacji kwestii nieakceptowanych i zabronionych przed rewolucją obyczajową. Po przekształceniu mentalności, obyczajowości i prawa oraz zepchnięciu chrześcijaństwa na całkowity margines w krajach chrześcijańskich przyszedł czas na kolejny krok. Psyche Zachodu została przetransformowana, czas na jego duszę.

Celami, które dziś stawia sobie wrogi życiu establishment, są delegalizacja chrześcijaństwa i umieszczenie satanizmu w centrum duchowości Zachodu. Dla szerokich kręgów mamy satanizm ateistyczny, będący efektem odwrócenia hierarchii wartości i skupienia człowieka na najniższych instynktach, seksualnym i konsumpcyjnym, dla węższych kręgów – satanizm kultyczny, czyli jawny kult osobowego zła.

Symbolicznym początkiem przeprowadzania satanizmu w fazę „akceptowalne" była rytualna ceremonia otwarcia podalpejskiego tunelu św. Gotarda w 2016 r. W obecności najważniejszych polityków europejskich, w tym kanclerz Niemiec Angeli Merkel i prezydenta Francji François Hollande'a, przedstawiono trwającą 90 min sataniczną dramę. Zgodnie z zasadą odmawiania wiary wieściom niezdementowanym zacytujmy portal fakenews.pl: „Informacja o satanistycznej naturze występu w czasie otwarcia tunelu bazowego św. Gotarda w Szwajcarii jest nieprawdziwa". „Przypisywanie jej satanistyczno-masońskiego znaczenia nie jest zgodne z prawdą".

Ujawnianie ogółowi prawdziwych inspiracji rozgrywającej się na naszych oczach rewolucji duchowej świadczy o poczuciu mocy jej dzisiejszych akuszerów. O tym samym świadczy obsceniczne widowisko, które obejrzały setki milionów ludzi na całej planecie. Istotą ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich nie było „żerowanie na kontrowersji okraszone kiczem", lecz wywyższenie sprzecznej z naturalnym prawem moralnym ideologii woke i co najważniejsze – uderzenie w duchowe podwaliny wszystkich religii oraz narodów. Świat zrozumiał ten zamysł.

Iran wezwał ambasadora Francji „w związku z bluźnierczym przedstawianiem Jezusa Chrystusa", swój sprzeciw wyraziła Światowa Rada Kościołów, Kościół koptyjski, sunnicki uniwersytet Al-Azhar w Kairze, rząd Kostaryki i francuski filozof-agnostyk żydowskiego pochodzenia Alain Finkielkraut. Turecki premier Recep Erdoğan oświadczył: „Skandaliczna ceremonia w Paryżu obraziła nie tylko świat katolicki, nie tylko świat chrześcijański, lecz także nas w takim samym stopniu jak i ich. Igrzyska olimpijskie zostały wykorzystane jako narzędzie perwersji, która deprawuje ludzką naturę i niszczy rodzinę".

Paryska impreza to celowo użyte narzędzie formowania społeczeństw całego już globu za pomocą promowania destrukcyjnej niszy jako awangardy. Forma podboju opartego na ideologicznej i kulturowej rewolcie z wykorzystaniem agresji symbolicznej, wojny hybrydowej i dezinformacji w państwach wroga. Setki zachodnich uniwersytetów wypracowały udające naukę pakiety ideologiczne, które infekują społeczeństwa zapatrzone w swoją wizję Zachodu jako wolnego świata. To wyższy poziom dezinformacji – zdrada chrześcijańskiego i naukowego uniwersalizmu.

I Francja, i Unia Europejska zarządzane przez osobistych wrogów Boga mają wielkie poczucie misji moralnej. Im nie chodzi już tylko o zapobieżenie konfliktom między narodami europejskimi i ich dobrobyt, lecz także o ład światowy. A hasła praw człowieka, pokoju i tolerancji są tylko wabikiem.

Barbara Butch, otyła lesbijka z parodii „Ostatniej Wieczerzy", stwierdziła, że reprezentuje „Jezusa Olimpijskiego". Jest tylko jeden Jezus Chrystus. Jego rodzina pochodziła z Nazaretu, a urodził się w Betlejem. „Jezus Olimpijski" to tysięczne już wcielenie antychrysta.

eprasa.pl 85e525458b

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Ludzie kontra maszyny, intuicja kontra algorytmy. Tak wydawca reklamuje doskonałą serię nowych książkowych kosmicznych wojen Michała Cholewy. Próbką, na której opieram tę recenzję, są tomy drugi i szósty siedmiotomowego cyklu „Algorytmu wojny" tegoż autora, czyli ***„Punkt cięcia"*** i ***„Dzika karta"***. Świat XXIII w., do którego zabiera nas laureat Nagrody Zajdla, to nasza rzeczywistość zmodyfikowana przez bunt sztucznych inteligencji. Technologia wymordowała dużą część ludzkości, by na koniec sprzymierzyć się z chińskim imperium walczącym z sojuszem amerykańsko-unijnym powstałym po latach braterskiej przecież wojny.

Sztucznym inteligencjom nieomal udało się unicestwić ludzkość, ten wątek nie jest jednak dominujący. Algorytm wojny to space opera opowiadająca o walkach wywiadów, starciach sił specjalnych oraz monumentalnych bitwach kosmicznych, które toczą wrogie floty. Romantyzm morskich potyczek zamienił się w matematykę prawdopodobieństw. Gdy już bowiem dochodzi do bitwy, wynik starcia można dokładnie przewidzieć. Geniusz dowódców ujawnia się wcześniej. Seria podstępów w podstępie, fint w fincie, nieoczekiwanych dywersji i blefów – tak wygrywają najlepsi.

Zmagania obserwujemy na wielu poziomach – od starć agentów i żołnierzy, drużyn i plutonów po sztaby armii, frontów, flot aż po chiński dwór cesarski. Dzięki czemu powieść cały czas jest dla nas zagadką. Czytelnik może mozolnie składać puzzle i domyślać się przebiegu oraz pointy intrygi, ale przyznam się, że autor przynajmniej dwukrotnie mnie zaskoczył. Dopiero na ostatnich kilkudziesięciu stronach byłem w stanie pojąć sens niby autoagresywnej intrygi cesarskiego dworu. A niewiele wcześniej dane było mi przejrzeć zamysł odrobinę demonicznego pułkownika oesów – Oddziałów Specjalnych. Więc zabawa przednia.

Michał Cholewa jest jednym z autorów potrafiących kreować postacie, których los choć odrobinę nas obchodzi, gdy zamykamy książkę. Tak jest z dojrzewającym i awansującym w kolejnych tomach, dziś porucznikiem, Marcinem Wierzbickim, tak samo z pułkownikiem służb specjalnych Brisbanem, genialnym admirałem Nijalem Kuertenem, a także galerią pełnokrwistych postaci drugoplanowych: Sokolim Okiem, Szczeniakiem, Delaviente, Thornem, Wunderwaffe czy Niemi.

Cholewa potrafi tworzyć potężne obrazy, które zekranizowane stałyby się scenami nie do zapomnienia, jak sekwencja otwierająca „Szeregowca Ryana" czy legendarna scena wyścigu rydwanów z „Ben Hura" Williama Wylera. Taką dynamiczną ikoną jest atak unijnych pum na chiński nadajnik nadprzestrzenny. Pumy to przypominające tankietki i zdolne do kilkusetmetrowych skoków uzbrojone w działka i rakiety egzoszkielety bojowe.

Silną stroną powieści z cyklu „Algorytmu wojny" jest też szalone tempo akcji. Liczby jej zwrotów nie da się policzyć, autor zastawia też na czytelnika perfidne pułapki. Nic nie dzieje się tak, jakby się wydawało, tym bardziej że główni rozgrywający trzymają karty przy orderach i do końca nie wiadomo, o co chodzi w tych wszystkich potyczkach.

„Algorytm wojny" jest jednak również opowieścią o ciężarze spadającym na ludzi zabijających innych ludzi. Choćby w dobrej sprawie, choćby w obronie niewinnych. A Marcin Wierzbicki, któremu towarzyszymy od szeregowego do porucznika, zaczyna powoli dostrzegać ciężar władzy, która sprowadza się czasami do tego, że pozwala się zabić kilku, by ocalić kilka tysięcy. Kilkuset, by dać szansę przeżycia milionom.

XXIII-wieczny świat w swym skomplikowaniu, rozproszona po kosmosie ludzkość walczy sama z sobą i z AI o własne dziedzictwo. Partyzanckie potyczki, dworskie intrygi. Eskadry bojowe, systemy gwiezdne, samotność dowódcy. Na wojnie łatwiej zachować życie niż człowieczeństwo.

Nie chciałbym, by zawiało patosem, ale Michał Cholewa stworzył epickie dzieło. Może nie są to od razu „Chłopi", ale sama już możliwość takiego porównania jest wielkim komplementem. Jego septologia to, jak piszą, opowieść piękna, ekscytująca i inteligentna. Ja nazwę „Algorytm wojny" najlepszym polskim powieściowym cyklem science fiction w całej jej historii.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 85e525458b

Gitarowy bukiet

Al Di Meola, wirtuoz gitary, powraca z nowymi utworami. To dobra wiadomość, tym bardziej że przed rokiem przeszedł zawał serca. Nie kazał jednak długo na siebie czekać, bo nieustannie koncertuje na całym świecie, a od prawie 50 lat z dużą regularnością wydaje też swoje kolejne płyty. Wszyscy oczarowani gitarową ekwilibrystyką łączącą flamenco z jazzową improwizacją poznali go oczywiście dzięki cieszącym się do dziś wielką popularnością koncertowym nagraniom z płyty „Friday Night in San Francisco" z 1980 r. Trio w składzie John McLaughlin, Paco de Lucía i Al Di Meola wystąpiło wówczas na scenie Warfield Theatre w San Francisco, oczarowując swoją grą przeszło 10-tys. widownię. Tylko trzy gitary w rekach znakomitych muzyków, bez ton dodatkowego sprzętu i efekciarstwa, wciąż wprawiają w zachwyt. Światowej sławy gitarzysta jest do dziś jednym najbardziej popularnych instrumentalistów m.in. dzięki tamtej płycie. Utwory z tej najnowszej wydają się więc kwintesencją stylu i upodobania Di Meoli do łączenia zarówno oszałamiającej techniki, jak i solidnego rozmachu kompozytorskiego. Zawsze bowiem wyróżniał się niezwykłą otwartością na inne obszary muzyki. To niekoniecznie i w każdych okolicznościach musi być atutem, ale w jego przypadku z pewnością tak jest.

Płyta „Twentyfour" do pewnego stopnia kontynuuje motywy zawarte na wydanym cztery lata temu „Across The Universe", kolejnym inspirowanym interpretacjami utworów Beatlesów. Okładkę zdobią kwiaty układające się w pstrokaty, wielobarwny bukiet, które osobno sygnowały także wydawane kolejno single, od kilku miesięcy zapowiadające jej wydanie. Wszystkie z tych kompozycji łączy płynne i naprzemienne przeplatanie się linii melodycznych w stylu flamenco z bogactwem różnych odcieni jazzu czy rytmów brazylijskich. To liryczna i optymistyczna latynoska muzyka fusion, ale z dużą dawką wyrafinowania. A jeśli ktoś ma ochotę na więcej, może śmiało zakupić specjalny pakiecik dla dwóch osób i udać się na włoską kolację z Alem do jego domu w New Jersey. Raptem 30 min od Nowego Jorku. Pakiet diamentowy, poza całą furą gadżetów, w tym m.in. podpisanych kopii ręcznie napisanych przez maestra nut, przewiduje też indywidualną lekcję gry na jego słynnych gitarach, w tym czarnym gibsonie Les Paul. Raptem 17,5 tys. dol. Smacznego.

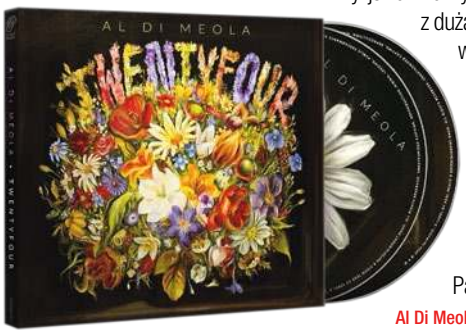

Al Di Meola, „Twentyfour", Edel Records 2024

Maciej Walaszczyk

Igrzyska – symbol upadku

Lektura wakacyjna na plażę czy do pociągu, choć lekka, to wciągająca i dająca do myślenia. Już prawie ćwierć wieku temu posłużyła do stworzenia scenariusza pamiętnego „Gladiatora". Teraz odwołują się do niej twórcy serialu „Those About to Die" z Anthonym Hopkinsem w roli cesarza Wespazjana. Autor opowiada tę historię, wprowadzając czytelnika w społeczno-polityczne realia imperium rzymskiego w jego szczytowej fazie. Igrzyska są bowiem sprawą polityczną. Rozgrywane na wielotysięcznych i specjalnie w tym celu budowanych arenach dają wytchnienie elitom władzy, skłaniają lud do zabawy, a spektakl z walkami zwierząt, gladiatorami i krwawymi ofiarami staje się instytucją państwową. „Każdy Rzymianin ze szczegółami mógł opowiadać o ostatnich igrzyskach, podobnie jak przeciętny mieszkaniec współczesnego świata bez końca rozprawia o małżeństwie gwiazdy filmowej, a nie ma bladego pojęcia, czym zajmuje się NATO lub w jaki sposób zbić inflację" – pisze autor. Juliusz Cezar rozumiał, że nie uda się kontrolować ludu wyłącznie siłą. Igrzyska kanalizują niezadowolenie, które wybucha z powodu licznych kryzysów na tle ekonomiczno-bytowym. To narkotyk podsycający ekscytację mas uwięzionych w ekonomicznej pułapce między władzą bogatych a pracą wykonywaną przez niewolników. „Ludzie, którzy niegdyś zawojowali świat, pragną aktualnie jedynie dwóch rzeczy – chleba i igrzysk" – pisze poeta Juvenalis. Incitatus, koń cesarza Kaliguli, ma marmurową stajnię, żłób z kości słoniowej i złote wiadro do pojenia. Lud dzieli się na zwolenników Czerwonych, Zielonych, Niebieskich i Białych niczym ze współczesnymi nam klubami piłkarskimi.

Opowieść z tej książki nie jest dramatem historycznym znanym z filmu. Jednak obraz, który odsłania się przed czytelnikiem, jest bardzo znajomy. Pax Romana strzeże wielka armia stacjonująca od Renu do Zatoki Perskiej, koszty utrzymania pokoju okazują się wysokie, nieograniczony wolny handel niszczy rzymskiego wytwórcę, który nie jest w stanie konkurować z tanią siłą roboczą. Igrzyska są wielkim obciążeniem finansowym, ale ich porzucenie wywołałoby kryzys podobny w skutkach do tego, gdyby dziś zrezygnowano z państwowej służby zdrowia i subsydiów. Dopóki walka była częścią codzienności Rzymu, hartowała cnoty. Gdy stała się rozrywką z bezcelowym okrucieństwem, oznaczała jego dekadencję i upadek.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Daniel P. Mannix, „Gladiator", Replika 2024

eprasa.pl 85e525453b

Narodziny Lewiatana

Narodziny państwa wiążą się z dominacją elity nad zniewolonymi koczownikami, zmuszaniem ich do osiadłego trybu życia i pracy, niewolnictwa i podatkami od zboża. Witamy w Lewiatanie

Naturą państwa jest dominacja, monopol na przemoc (armia i biurokracja), kontrola dystrybucji żywności czy bezpieczeństwo epidemiczne. Świetnym tego przykładem jest przecież polsko-ukraiński kryzys zbożowy, o politycznych skutkach pandemii koronawirusa nie wspominając. To praca z pogranicza archeologii, historii starożytnej i antropologii. Jej autor, dziś uznany antropolog Uniwersytetu Yale, w latach 60. XX w. formalnie jako członek liberalnej organizacji studenckiej NSA i zadeklarowany anarchista brał udział w tajnej operacji CIA zwalczającej komunistyczną infiltrację w krajach Azji. Służby korzystały z jego wiedzy na temat „praktyki ludów niepaństwowych" infekowanych przez rewolucje. W tej publikacji rewiduje znany od czasów Juliusza Cezara, a potem rozwijany przez Hobbesa, Vicę, Locke'a, Engelsa, Spencera czy Spenglera pogląd o nieustannym marszu cywilizacji przez dzieje. Rozprawia się tym samym z założeniami teorii umowy społecznej, która w postępowym wyznaniu wiary pełni funkcję przypowieści o narodzinach państwa, przypominając w praktyce bajkę o dzieciach przynoszonych przez bociana.

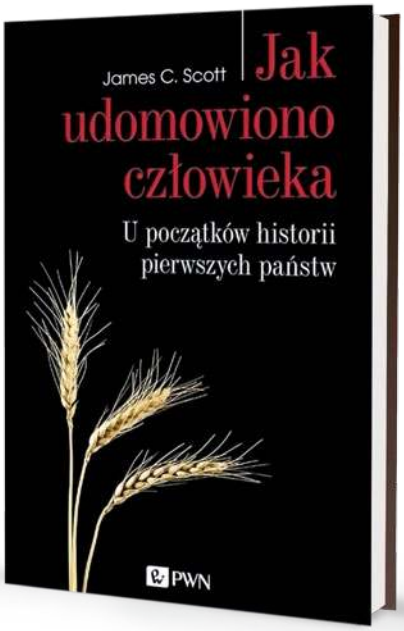

W jaki sposób właściwie powstało państwo? Dlaczego człowiek zaczął żyć w zatłoczonych i prowadzących osiadły tryb życia społeczeństwach? Pierwsze organizmy państwowe powstały nie wcześniej niż ok. 6 tys. lat temu. Jednak rośliny uprawiane w otoczeniu człowieka pojawiły się już kilka tysięcy lat wcześniej. Dopiero organizacja państw-miast przyczyniła się do zorganizowania technicznych środków modyfikacji otoczenia do realizacji własnych korzyści. Historia człowieka nie jest jednak historią naturalnego „postępu". Rolnictwo wcale nie było atrakcyjniejszą formą egzystencji, a teza o tym, że zmęczony *homo sapiens* nie mógł się doczekać, by w końcu się osiedlić na stałe, jest fałszywa. Zdaniem Scotta ludy pasterskie i łowiecko-zbierackie stawiały aktywny opór wszelkim próbom ich osiedlania, które kojarzyło im się z ciężką pracą na roli, epidemiami i biurokratyczną kontrolą ze strony państwa. „Cywilizowani" i „barbarzyńcy" to bliźniacy.

Większa część historii człowieka obejmująca przytłaczającą część jego populacji, jaka kiedykolwiek pojawiła się na Ziemi, przeżyła życie w zbiorowiskach ludów żyjących poza strukturami państwowymi. Było ono bowiem łatwiejsze, zdrowsze i swobodniejsze. Populacje zamieszkujące miasta przed rewolucją sanitarną z połowy XIX w. (ścieki i czysta woda) oraz wprowadzeniem do użycia antybiotyków z zasady miały wysoki wskaźnik śmiertelności. Dlatego państwa-miasta, wrażliwe na kataklizmy, miały skłonność do upadania, stając się budzącymi strach Lewiatanami jedynie na krótko. Ich rozwój przerywały natomiast długotrwałe okresy kryzysów i dezintegracji.

Pytaniem zasadniczym jest więc, w jaki sposób człowiek został udomowiony. By zaistnieć, wczesne organizmy państwowe musiały zdobyć ludność w celu produkcji nadwyżek i przemocą utrzymać ją przy sobie przez zastosowanie różnych form zniewolenia. Udomowiony w ten sposób człowiek został poddany nadzorowi, oznaczającemu także kontrolę nad jego rozmnażaniem i odżywianiem. Wtedy pojawia się też konieczność ściągania podatków, magazynowania żywności, a w konsekwencji pismo, służące do tworzenia spisów zasobów i rejestrów podatkowych. To też wojny o żyzne gleby pod uprawę i wodę, stawiające ludność zamkniętą w miastach na granicy ciągłego minimum egzystencjalnego. Mimo możliwości uprawy roślin bardziej kalorycznych, np. ciecierzycy, manioku czy ziemniaków, wyłącznie zboża stały się dla wszystkich pierwszych starożytnych państw – Mezopotamii, Egiptu, doliny Indusu i Żółtej Rzeki zasobami egzystencjalnymi. Tylko ich ziarna mogły posłużyć za podstawę opodatkowania: były widoczne, idealnie podzielne, możliwe do oszacowania, przechowywania, transportu i racjonowania oraz konfiskaty. W razie wojny ułatwiały także politykę spalonej ziemi. Tam, gdzie znikało zboże, a wraz z nim podatki, tam również zaczynał się upadek władzy państwowej. Czy państwo to więc łagodny wynalazek zainicjowany w celu obrony przed „rabusiami"? Zdaniem Scotta jest odwrotnie: to wynik zdobycia w nim dominacji przez jedną z grup „rabusiów".

James C. Scott, „Udomowienie człowieka", PWN 2020

eprasa.pl 85e525458b

TOMASZ TYLICKI DZIENNIKARZ, PREZENTER TVP

Smalczyk na zamku Czocha

W ub.r. skończyłem 40 lat. To piękny wiek, w którym pojawiają się ważne pytania. Czy jesteśmy szczęśliwi? Czy dobry szlak wybraliśmy? Czy czerpiemy z życia pełnymi „łyżkami"? Czy „dojadamy" wszystko z tego, co jest nam dane? Czy sięgamy tylko po to, co nam smakuje?

Myślę, że zacząłem degustować życie. Doświadczać w taki sposób, by każdy dzień był nową przygodą. Staram się wyciskać z kolejnych dni jak najwięcej. I otaczać się tylko pozytywnymi i szczerymi ludźmi.

Im jestem starszy (sic!), tym bardziej doceniam dom, w którym dorastałem. Mama była w nim prawdziwą królową kuchni. Z sentymentem wspominam jej ciasto z jabłkami. Żadną tam – z francuska – szarlotkę, tylko prawdziwy nasz jabłecznik.

Tata był za to królem wyspy RODOS. Mieliśmy w Olsztynie ogródek działkowy, więc wszystkie owoce, w tym jabłka, pochodziły z tego (dziś tak pożądanego) własnego ogródka.

Mama dbała, by zawsze czekały na nas zupa i ciasto. Uwielbiałem też robione przez nią kopytka – z zasmażką z bułki tartej i masła. Latem pojawiały się również zupy owocowe.

Nie polubiłem się z porzeczkami, choć wiem, że są zdrowe. Mam też nie za ciekawe wspomnienia związane z grubym zielonym szczypiorem.

Przygody na działce trwały czasami za długo i jako dzieciak najzwyczajniej w świecie się nudziłem. Nie pomagał nawet mały basenik. Kiedy prowiant się skończył i nie było już co zrywać z drzew, zaczynało się jedzenie tego, co trafiło pod rękę, np. wspomnianego szczypioru. Z tego powodu jego smak niekoniecznie mi się dzisiaj dobrze kojarzy.

Olsztyn to moja mała ojczyzna. Miejsce, które znam, w którym wracam do korzeni i równowagi. Tu postanowiłem też ukończyć studia na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Wyjechałem dopiero wtedy, gdy uznałem, że pod względem zawodowym będzie to dobra decyzja. Celem była Warszawa.

Dziś w moim sercu swoje miejsce ma też Iława. Warmia i Mazury są dla mnie osobistą jednością.

Jedyne kulinarne zaskoczenie, jakiego doświadczyłem w stolicy, było związane z... plackami ziemniaczanymi. Nadal nie mogę się przekonać do posypywania ich cukrem.

Może nie wyglądam, ale lubię zjeść. Jestem szczęściarzem, bo przez trzy lata zawodowo byłem związany z Festiwalem Kół Gospodyń Wiejskich. Na prezentacjach czułem się kulinarnie rozpieszczany. Zdarzyło mi się nawet dostać propozycje matrymonialne [śmiech] w pakiecie z obietnicą najlepszych domowych dań. I przyznam, że raz... o mało się nie złamałem, gdy na zamku Czocha skosztowałem smalczyku z... grzybków. Nigdy wcześniej ani potem nie jadłem czegoś podobnie niezwykłego.

Można powiedzieć, że dzięki festiwalowi „posmakowałem" całej Polski. Byliśmy we wszystkich regionach, próbowaliśmy zarówno tradycyjnych dań, jak i tych „maminych" czy „babcinych", a nawet pewnych wariacji.

Spotkania z polską kuchnią były wspaniałym doświadczeniem, ale lubię też kulinarne podróże. Bardzo smakują mi np. dania włoskie. Italię odwiedziłem już parokrotnie, za każdym razem delektując się smakiem cannoli, lodów pistacjowych czy klasycznej neapolitańskiej pizzy.

Od 1,5 roku jestem na diecie bezglutenowej. Mogłoby się wydawać, że ma to mało wspólnego z włoską kuchnią, i rzeczywiście – w tym przypadku zdarza mi się łamać w postanowieniach. Nie żałuję.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Placki ziemniaczane

Najważniejsze: ziemniaki muszą być konkretne, solidnie dojrzałe. Żadne młode. I najlepiej kupowane w sprawdzonym miejscu. W Olsztynie przy robieniu placków znakomicie sprawdzała się sokowirówka, którą nazywaliśmy żabą. Dziś to superurządzenie liczy sobie ze 40 lat, ale wciąż daje radę: znakomicie mieli bulwy i oddziela masę od soku.
Do ziemniaczanej pulpy dodajemy jajko i przyprawy. Obowiązkowo jest też cebulka (mama ją podsmażała, ja – różnie). Ponieważ jestem bezglutenowy, zamiast mąki pszennej używam skrobi ziemniaczanej. Uformowane placuszki wykładam na rozgrzany olej. Podaję w wersji wytrawnej, ze śmietaną lub jogurtem. Tylko tyle i aż tyle.

Fot. Jan Bogacz/TVP, Shutterstock

eprasa.pl 85e525458b

SŁODKO-SŁONY

Moc owoców

ANNA MONICKA

Na targu ze zdrową żywnością poznałam niedawno dietetyczkę, która częstowała koktajlem mocy. Był upał, nie chciało nam się jeść, ale skusiłyśmy się z córką na kubeczek gęstego napoju o brązowopomarańczowym kolorze. Był wspaniały – zastąpił nam i śniadanie, i obiad. Nie wypiłyśmy go dużo, a jednak przez kilka godzin miałyśmy energię do działania. I nie zawdzięczałyśmy jej cukrowi, bo mus wcale nie był ulepkiem.

Następnego dnia wróciłyśmy porozmawiać, jak przyrządzić ten przysmak, bo obie uznałyśmy, że od czasu do czasu warto zrobić sobie takie śniadanie. Bez glutenu, po którym córka źle się czuje, bez laktozy, której powinna unikać, bez sztucznych słodzików i barwników.

Co w nim było? Dojrzałe banany, świeże figi, jabłko, pomarańcza i kilka daktyli. Do tego szczypta cynamonu, kawałek imbiru i odrobina płatków owsianych. Jeśli w czasie miksowania okazuje się, że napój wychodzi za gęsty, można dodać mleko migdałowe, wodę kokosową, jogurt – co kto lubi. Gęsty koktajl można pić od razu albo schłodzić przez godzinę czy dwie w lodówce. To pełnowartościowy, bardzo sycący posiłek.

Każdy z jego składników sam jest wybitnie cenny dla zdrowia, ale w połączeniu z pozostałymi działa jeszcze mocniej. Razem odżywiają układ nerwowy, poprawiają krążenie, odporność, nastrój, obniżają poziom cholesterolu. Mają mnóstwo witamin, wapnia, potasu, są bogate w błonnik, regulują pracę układu trawiennego. Imbir i cynamon działają przeciwzapalnie. Słodycz jest naturalna – to zasługa dojrzałych owoców.

Skład posiłku można oczywiście modyfikować. Do podstawowych owoców, czyli banana i pomarańczy, pasują mango, melon, borówki. Zagęścić można wiórkami kokosowymi, rodzynkami, odrobiną masła orzechowego. Trzeba trochę poeksperymentować, żeby dopasować do siebie smak koktajlu i oczywiście poszukać dobrej jakości składników.

Dla mnie bardzo ważne zawsze będą daktyle lub syrop daktylowy (genialny do kawy czy herbaty zamiast cukru), – bogate w witaminy z grupy B, magnez, potas, żelazo, składniki potrzebne osobom, które zrezygnowały z mięsa. Gdy zacznie się szkoła, będzie to jedno z najlepszych śniadań, które pozwoli córce zdrowo rozpocząć dzień i przetrwać lawinę klasówek oraz kartkówek.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Świerk

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Świerk pospolity (*Picea abies*) jest jednym z ważniejszych gatunków drzew w Polsce. Drzewostany świerkowe mają naturalne siedliska na północnym wschodzie naszego kraju oraz na południu, głównie w wyższych partiach gór. Wyjątkiem są Bieszczady, gdzie świerków nie ma. Dendrologiczną osobliwością tego regionu jest także to, że brak jest tam iglastej kosodrzewiny, zastąpionej przez liściastą olszę zieloną. Wróćmy jednak do świerków.

Do niedawna te drzewa występowały powszechnie także poza zasięgiem wyznaczonym im przez naturę, sadzone np. w miastach czy w niższych położeniach górskich, gdzie jeszcze w czasach habsburskich, aby otrzymać drzewostany szybkorosnące, zastąpiono świerkami buki i jodły.

Tak było do niedawna. Od iluś już bowiem lat widać, że świerki pospolite usychają. Dzieje się tak głównie tam, gdzie wprowadzili je ludzie. Dlaczego?

Odpowiedzi może dostarczyć analiza przypadku Bieszczadów. Zgodnie z jedną z teorii tamtejszy rzucający się w oczy brak świerków jest spowodowany suchym i gorącym powietrzem w lecie, związanym z położeniem tego pasma w strefie klimatu o bardziej kontynentalnym charakterze. Tymczasem świerki potrzebują dwóch rzeczy: długiego okresu mrozów każdej zimy, a w sezonie wegetacyjnym wilgoci, zarówno w glebie, jak i w powietrzu, którą wyczesują z przepływających mas powietrza szczotkami swoich gęstych igieł. Właśnie tej wilgoci w powietrzu zawsze brakowało im w Bieszczadach.

Obecnie, co widoczne jest zwłaszcza w miastach i niższych położeniach górskich, zaczęło brakować świerkom zarówno mrozów, jak i wilgoci. Dlatego usychają, stając się jednym z naocznych dowodów na zmiany klimatu.

Czy świerki znikną z Polski? Ich zasięg i liczebność na pewno się zmniejszy, tym bardziej że osłabione drzewa, które nie mają siły na obronę, są atakowane przez korniki, co ostatecznie je dobija. Może przetrwają tylko wysoko w górach i lasach północnego wschodu, gdzie wciąż są żywotne, bujne i dorodne. Być może widok świerka w mieście stanie się rzadkością, a chcąc mieć ten gatunek na miejskim zieleńcu, trzeba będzie wybrać dla niego miejsce chłodne i podlewać.

eprasa.pl 85e525458b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wspólnota Tuska

Polecam lekturę stenogramu exposé premiera Donalda Tuska wygłoszonego w Sejmie 13 grudnia 2023 r. Warto do niego wrócić i skonfrontować go z rzeczywistością. Jak cechą charakterystyczną jego przemówienia sejmowego w 2007 r., kiedy obejmował władzę po raz pierwszy, było powtarzane kilkadziesiąt razy słowo „zaufanie", tak grudniowe wystąpienie także miało swój lejtmotyw, taką powtarzającą się melodyjkę. Jest nią „wspólnota", „poszanowanie praw wspólnoty", „wspólnota polityczna", „wspólnota narodowa". „Wspólnota jest możliwa" – zapewniał Tusk i skądinąd słusznie zauważył, że naród podzielony, skłócony z władzą, „która na konflikcie buduje swoją pozycję", jest jakby dwa razy mniejszy i jeszcze bardziej narażony na ryzyko większych konfliktów.

To bardzo ważne, że premier ma świadomość tego ryzyka. Cóż jednak z tego, skoro działania jego rządu od pierwszych dni sprawowania władzy były skierowane nie na zasypywanie podziałów, ale tworzenie nowych konfliktów i siłowe przejmowanie władzy. Nie na budowanie wspólnoty, ale dalsze konflikty. Już samo odczytanie listu Piotra Szczęsnego, „szarego człowieka" z psychicznymi problemami, który podpalił się jesienią 2017 r., było zapowiedzią odwetu na przeciwnikach politycznych. Obraz Polski za rządów PiS, jaki przedstawił w Sejmie Tusk, to absolutne „zło", istne „dojenie ojczyzny", „stajnia Augiasza", którą trzeba będzie „oczyścić" itd. Taką widział Polskę z pozycji szefa, kierownika totalnej opozycji. Bo jego zdaniem nasz kraj może być lepszy tylko wtedy, kiedy to jego formacja polityczna sprawuje władzę, dlatego stworzoną koalicję rządową nazwał „zwieńczeniem procesu obywatelskiego i narodowego odrodzenia".

Słowa Tuska nic nie znaczą. To tylko zasłona dymna, gdyż w trakcie kampanii do parlamentu o wyborcach PiS mówił: „chleją, biją swoje kobiety", „PiS to patologia i sitwa", „od lat żyjemy w państwie, którego władza promuje przemoc", „tam, gdzie jest najwięcej przemocy, alkoholu i cierpienia polskich dzieci, to symbol pisowskich czasów w Polsce". Z kolei na spotkaniu z wyborcami we Włocławku uderzył w inny ton, złożył deklarację, że po wygranych wyborach „nie będziemy szli po odwet". Zapowiedział rozliczenie zła, naprawienie ludzkich krzywd, „których przez osiem lat nazbierało się co niemiara, a to wszystko po to, żebyśmy podjęli próbę pojednania".

A co deklarował w grudniowym Sejmie? Jak miał oczyścić stajnię Augiasza? Oczywiście dzięki przywróceniu rządów prawa. To dlatego z polecenia Tuska ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym został Adam Bodnar. Miał zgodnie z prawem, zgodnie z konstytucją przywrócić prawo, a zaczął od jego łamania, gdyż kolejna instrukcja obsługi prawa wyszła od samego „kierownika", jak określają Tuska jego współpracownicy. Polska usłyszała znamienne słowa: „Będziemy stosowali przepisy prawa tak, jak je rozumiemy". Przekonanie, że jemu wszystko wolno, ugruntował dzięki brukselskim salonom, które dziś z satysfakcją milczą, kiedy Tusk rozlicza Polaków, tę drugą połowę, bez której nie da się zbudować wspólnoty.

Można się tylko z goryczą zadumać nad uczciwością i poziomem etycznym tych brukselskich elit.

Przypomina mi się słynna anegdota, którą opowiadał Antoni Słonimski, jak to w latach 60. przy okazji jakiegoś spotkania ku czci kolejnej rocznicy rewolucji październikowej podszedł do niego ówczesny ambasador Związku Radzieckiego i dyskretnie zapytał, gdzie tu można załatwić potrzebę fizjologiczną. Słonimski odpowiedział: „Pan może wszędzie".

Dziś widzimy znacznie dokładniej, czym była trwająca osiem lat akcja totalnej opozycji nazwana „ulica i zagranica". Kiedy władza przeszła w ręce totalnej opozycji, zniknęły tłumy zwolenników Komitetu Obrony Demokracji, Strajku Kobiet, organizacji pozarządowych, tzw. obrońców przyrody, klimatu, manifestujących swoje przywiązanie do Konstytucji RP. Nawet wielki orędownik demokracji Lech Wałęsa nie nosi już swojej koszulki z napisem „konstytucja", a i tak zapamiętamy go z tego okresu jako wielkiego OTUA, gdyż tylko te środkowe cztery litery wystawały mu spod marynarki. Dziś Wałęsa mówi o Tusku jako o wielkim szczęściu dla Polski. Z pewnością tak samo reagują byli esbecy, którzy odbierają dopłaty do emerytur i rent, zmniejszone im do przeciętnych przez rządy prawicy.

Konstytucja RP umiera po cichu. Z satysfakcją milczą brukselskie elity, komisje weneckie, gdyż właśnie polska konstytucja, Trybunał Konstytucyjny i Narodowy Bank Polski są ostatnimi bastionami naszej niezależności, niezawisłości i suwerenności.

Tusk ma przygotować Polskę do likwidacji zgodnie z centralistycznymi planami Niemiec, które poprzez UE realizują swoje imperialne cele w Europie. Pierwszym i najważniejszym dziś dla rządzących krokiem w tym kierunku jest likwidacja opozycji, czyli znienawidzonego PiS. Wspólnota narodowa bez opozycji, demokracja bez opozycji, słabe i zdegradowane państwo to zadanie rządu Tuska, wszystko inne z jego strony to tylko słowa.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Wynurzenia pani dr hab.

Andrzej Rafał Potocki

Już na początku maja dowodzący ukraińską obroną gen. Ołeksandr Syrski raportował, że Moskwa chce przełamać linię obrony pod Pokrowskiem oraz Kurachowem. To właśnie stamtąd pochodziły filmy o ataku ruskich motocyklistów na crossówkach i enduro, rozbitych w drobny mak. Choć miejscowości te znajdują się w Donbasie, teren przypomina zaporoskie stepy. To raj dla droniarzy obu stron. Płasko i widać na kilometry. Tryzuby postanowiły zastawić pułapkę pod Kurachowem, bowiem przełamanie frontu przez bojców mogłoby załamać całą obronę w tym rejonie, zwanym diabelskim trójkątem – Marjinka, Wuhłedar i Kurachowe. Obronę odcinka powierzono elitarnej 79. Samodzielnej Brygadzie Desantowo-Szturmowej, która w 40-stopniowym upale dosłownie wgryzła się w ziemię i nie chciała oddać nawet kawałka terenu. Kacap atakował przez dwa miesiące, podejmując 32 próby przełamania ukraińskich pozycji. W końcu zwiad lotniczy wykrył potężne zgrupowanie szykujące się do szturmu. Ruski rozmieścił 11 czołgów, 45 opancerzonych bojowych wozów piechoty z desantem, pojazd Terminator oraz 12 „rajdowców na motocyklach". Szykował się jeden z najpotężniejszych ataków na tym odcinku frontu od początku wojny. „Pierwsze czołgi i opancerzone pojazdy bojowe zostały zatrzymane przez operatorów dronów szturmowych. Następnie do walki zaangażowały się oddziały przeciwpancerne. Rosyjski sprzęt został również uszkodzony przez miny podłożone przez saperów z 79. brygady. W wyniku bitwy nasi żołnierze uderzyli w 6 czołgów i 7 opancerzonych wozów bojowych piechoty przewożących personel. Spłonęło wszystkie 12 motocykli, zginęło 40 członków rosyjskiego personelu, a 37 zostało rannych" – relacjonowały ukraińskie media. W toku walk doszło do boju spotkaniowego rosyjskich i ukraińskich czołgistów. Choć to Rosjanie ponieśli większe straty, odnotowano dwa uszkodzone ukraińskie czołgi. Po trafieniu dronem FPV jeden z ukraińskich czołgistów na otwartym stepie i pod ogniem przeciwnika wskoczył na skorupę pojazdu i zaczął ręcznie gasić pożar. Ukraińskie media donoszą, że obrońców wsparły wyrzutnie HIMARS, rażące wroga amunicją kasetową. Piloci dronów wlecieli także na tyły Rosjan i uszkodzili ciężarówki Ural, które wiozły zaopatrzenie dla atakujących. Na filmach widać eksplodujące czołgi-stodoły (obudowane stalową, antydronową blachą i przypominające niemieckie A7V z 1916 r.) oraz uciekające przez step chmary bojców. Jeden wiał przez kilkadziesiąt metrów na czworakach, goniły go aż trzy drony, które w końcu celnym granatem wyprawiły go na łono Abrahama. Zawzięte te Tryzuby, nie ma co...

Ale żeby nie było tak różowo, to Ruskiemu udało się namierzyć z drona Orłan-30 słynną niemiecką samobieżną haubicę PzH 2000. Ukry były bezsilne. Próbowali zwiewać na pełnym gazie, ale ruska potężna haubica o wadze 46,5 t i kalibrze 203 mm 2S7M Małka strzeliła z wyprzedzeniem, trafiając w tzw. sedno tarczy. Choć PzH 2000 słynie z silnego opancerzenia, tym razem niemiecka konstrukcja nie miała szans. Eksplodowała amunicja. Najpewniej mamy do czynienia z pierwszą bezpowrotnie utraconą przez Ukrainę PzH 2000 przekazaną przez Niemcy, Włochy lub Holandię. Ponieważ była to armata niemieckiej produkcji, możemy użyć powiedzenia wehrmachtowskich artylerzystów z II wojny światowej – „Volltreffer", czyli w dowolnym tłumaczeniu trafienie bezpośrednie.

Na łamach „Kuriera Galicyjskiego" (gazety wydawanej na Zachodniej Ukrainie dla mniejszości polskiej) produkowała się niejaka Agnieszka Sawicz, dr hab. nauk humanistycznych z UAM w Poznaniu. Wysmażyła dla naszych rodaków w dawnej Galicji tekst o zagrożeniu, jakie niesie Ukrainie ewentualna prezydentura Donalda Trumpa. Oto wybrane fragmenty: „Teraz istotne mogą wydawać się słowa Putina [...], który przekonywał, że »acjonalne byłoby, gdyby Stany Zjednoczone osiągnęły porozumienie z Federacją Rosyjską i szanowały jej interesy«. Aby tak mogło się stać, potrzebny jest prezydent, który będzie chciał się porozumieć z Rosją, jak Donald Trump" – pisze pani dr hab. „Człowiek, który wydaje się być zwieńczeniem kremlowskiego projektu – kontynuuje naukowiec – rozpisanego na wiele lat, który sprawił, że Amerykanie zobojętnieli na fakty, chętnie przyjmują teorie spiskowe, uwierzyli w płaską ziemię, kosmitów i to, że Biden sfałszował wybory [...], gotowi są na wygraną człowieka, na którym spoczywają zarzuty karne i wyroki, otwarcie okazującego pogardę kobietom, mniejszościom, stającego po stronie autorytarnej i agresywnej władzy w Rosji, występującego przeciwko Ukrainie broniącej się przed napaścią". Nie można wykluczyć, że pani dr hab. za chwilę wysmaży artykuł o ostatnim zamachu we Lwowie na ukraińską nacjonalistkę Irynę Farion, uznając, że zlecenie jej zamordowania nadeszło z... Waszyngtonu, a nie z Moskwy.

Współpraca: „Skipper"

eprasa.pl 85e525458b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Igranie z igrzyskami

Aleksander Nalaskowski

Pomału, ale systematycznie i na naszych oczach dopala się idea igrzysk olimpijskich, jakie znamy. To igrzyska Baszanowskiego, Szewińskiej, Szmidta, ale i Beamona, Fosbury'ego czy Oertera. To były zawody niesamowitych herosów, ale i amatorów, sportowców z powołania, którzy za swoje zwycięstwa odbierali niewielkie premie, lecz cieszyli się niebywałą sławą i szacunkiem. Igrzyska olimpijskie nie potrzebowały wielkiej oprawy, bo same w sobie były niebywałą atrakcją i przeżyciem.

W Paryżu zafundowano nam zupełnie inne igrzyska. Oprawa ich otwarcia jakby miała przyćmić to, co jest ich istotą – zmagania sportowców. Forma otwarcia – bogata i kiczowata, w złym smaku rokokowa, a także momentami kontrowersyjna – przerosła treść sportu, w którym wyrzeczenia, asceza czy skupienie na doskonałości są codziennością sportowców. Nie trzeba ich dodatkowo pomadować. Nadto igrzyska zostały ogołocone ze swej atrakcyjności i doniosłości. Bo przecież wiemy, że olimpijski futbol nie może się równać z futbolem mundialowym, olimpijski boks to tylko namiastka boksu zawodowego, olimpijski turniej tenisowy jest równy prestiżem co najwyżej przeciętnemu turniejowi nawet spoza kręgu Wielkiego Szlema. Grają w nim ci sami milionerzy, którzy od lat ścigają się na listach rankingowych. Widać gołym okiem, że dla nich igrzyska to forma zaawansowanego treningu. Duże korzyści, większe niż prestiż, leżą gdzieś indziej.

Odebrano nam Babiarza, a bez niego lekkoatletyka to już nie to samo. Idiotyczna decyzja władz neo-TVP uderzyła we wszystkich kibiców

Musi zastanawiać wprowadzanie nowych dyscyplin, takich jak breakdance czy wspinaczka na ściance. Jedna i druga aktywność jest bez wątpienia ciekawa, ale dlaczego zaraz na igrzyskach? Pewnie niebawem pojawi się pomysł wprowadzenia żużla czy wyścigów F1 albo brydża czy szachów.

Dla przeciętnie inteligentnego widza uczynienie z piosenki „Imagine" hymnu igrzysk było totalnym nieporozumieniem. Dał temu wyraz Przemysław Babiarz, któremu za karę odebrano możliwość komentowania zawodów. Jak kiedyś lekkoatletykę komentował Bohdan Tomaszewski, tak teraz znakomicie robi to Babiarz. Odebrano nam Babiarza, a bez niego lekkoatletyka to już nie to samo. Idiotyczna decyzja władz neo-TVP uderzyła we wszystkich kibiców. Dlaczego nas zatem ukarano? Babiarz wszak tylko nazwał po imieniu kołchozową wizję świata serwowaną przez Lennona. Eks-Beatles był anarchizującym komunistą, zepsutym artystą, któremu od sławy i forsy pomieszało się w głowie. Dał tego liczne dowody. Jego „Imagine", a także piosenka „God" („Bóg") to wyrazy skrajnego nihilizmu i znudzenia własną twórczością. „Imagine" powinna być traktowana jako ostrzeżenie, a nie tylko wizja zblazowanego muzyka. We wspomnianej piosence „God" Lennon dał popis nienawiści do świata, który wyniósł go na wyżyny, i własnej abnegacji historycznej.

Oto fragment „Nie wierzę w magię, nie wierzę w I Ching, nie wierzę w Biblię, nie wierzę w tarota, nie wierzę w Hitlera, nie wierzę w Jezusa, nie wierzę w Kennedy'ego, nie wierzę w Buddę, nie wierzę mantrę, nie wierzę w Gita, nie wierzę w jogę, nie wierzę w królów, nie wierzę w Elvisa, nie wierzę w Zimmermana [Bob Dylan – AN], nie wierzę w Beatlesów". Zestawienie Hitlera i Jezusa musi budzić zdziwienie i niesmak. Ale kto bogatemu zabroni?

Przez „Imagine" sam Lennon stał się niejako patronem igrzysk i w tym kontekście obrzydliwa „Ostatnia wieczerza" staje się bardziej zrozumiała, podobnie jak postać półnagiego fauna. Sądzę, że ta oprawa to tylko przygrywka, aby do następnych igrzysk dopuścić transseksualistów po tranzycji, a nawet bez tranzycji. Może wystarczy deklaracja płci?

W świecie, w którym wszystko podporządkowuje się postępowi, ale i „postępowi", być może także igrzyska olimpijskie w swej tradycyjnej formie są już przeżytkiem, zwykłą rutyną, kolejnymi zawodami, które trzeba zaliczyć. A może właśnie dlatego powinny być tym bardziej tradycyjne, zachowawcze, hołdujące idei, która legła u ich nowożytnych podstaw. Może powinny wrócić do źródeł, symbolicznych premii za medale, do amatorstwa w jego najszlachetniejszym wydaniu? Wyczytałem gdzieś, że w przeciwieństwie do wielu krajów w Wielkiej Brytanii nie przewiduje się nagradzania medalistów. To start na igrzyskach i medal mają być jedyną nagrodą. Tylko pozazdrościć Brytyjczykom mądrej decyzji. Wszak nagrodą są już sponsorowane przez państwo obozy i zgrupowania treningowe, liczne wyjazdy na zagraniczne zawody, inwestycje w szkoleniowców i sprzęt. To przecież całkiem niemało.

eprasa.pl 85e525458b

Michał Korsun prezentuje:* *Ideały diabli biorą

Wycinki z przeszłości

Ten australijski znaczek z 1981 r. długo był dla nas tajemnicą. Co to za ludzie przy studni? Farmerzy? Robotnicy? Dzięki internetowi zagadkę udało się właśnie wyjaśnić. To poszukiwacze złota z okresu australijskiej gorączki złota, która zaczęła się w połowie XIX w. i trwała przez kilka dekad.

Historycy uważają, że masowy napływ poszukiwaczy bogactwa przyczynił się do przemiany dotychczasowej brytyjskiej kolonii karnej w żywy, z czasem autonomiczny kraj. Bunty zbyt dociskanych fiskalnie kopaczy dały początek australijskiej demokracji.

W sprawie są i polskie wątki. W latach 1839–1843 Paweł Edmund Strzelecki zbadał i opisał geologię wschodniej Australii, wskazał na obecność tam złota, po zdobyciu najwyższego szczytu Wielkich Gór Wododziałowych nadał mu nazwę Góry Kościuszki. Z kolei Seweryn Korzeliński z Galicji, żołnierz rewolucji węgierskiej z lat 1848–1849, pozostawił świetnie napisany, fascynujący „Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856". Sam też szukał złota, co nieco znalazł, ale w końcu wrócił do kraju. Pomagał powstańcom styczniowym. Krakowskie Towarzystwo Rolnicze powołało go na pierwszego dyrektora szkoły rolniczej w Czernichowie. Zmarł w rodzinnym majątku w Bereźnicy w 1876 r.

(mk)

Z WOLEJA

Pierwsze medale, nieostatnie horrory

Ryszard Czarnecki

W czasie igrzysk można pisać tylko o igrzyskach. Co zapamiętam z pierwszych pięciu dni IO w Paryżu? Rekordowe temperatury. Uroczyste otwarcie po raz pierwszy w historii poza stadionem, a także po raz pierwszy tak kontrowersyjne i zideologizowane. Wodę, która była tak zanieczyszczona, że o kilkadziesiąt godzin opóźniła rywalizację w triatlonie. Złą organizację, na którą narzekali sportowcy, dziennikarze i kibice. Sześciosekundową walkę w eliminacjach judo. Anulowanie wyrównującej bramki na 2-2 dla Argentyny w meczu z Marokiem i przedłużeniu go o kilkadziesiąt (!) minut.

Pierwszy medal (srebrny) polskiego kajakarstwa górskiego od 24 lat. Pierwszy medal (brązowy) męskiej czwórki wioślarskiej od 16 lat. Pierwszy medal (brązowy) polskich szpadzistek w historii igrzysk. A w decydującym o tym brązie meczu z Chinkami trafienie Polki niespełna 3 sekundy przed końcem walki, które zaowocowało zwycięską dogrywką. Niespodziewaną porażkę polskiej wicemistrzyni świata w judo z Meksykanką, która potem zdobyła olimpijskie srebro – pierwszy medal w tej dyscyplinie sportu dla swojego kraju. Beznadziejne tłumaczenia amerykańskiej tenisistki, która przegrała z Igą Świątek, że podczas meczu nie było zimnej wody – tak jakby Polka miała do niej dostęp, a panna Collins nie.

Pierwsze od 10 lat zwycięstwo naszych koszykarzy (3x3) nad USA, i to tego samego dnia, w którym Iga też wygrała z reprezentantką USA. Zwycięski horror polskich siatkarzy z Brazylią i awans po raz piąty z rzędu do ćwierćfinału igrzysk. Triumf polskich siatkarek z bardzo mocną Japonią (w tegorocznej Lidze Narodów reprezentantki Nipponu były drugie, a nasze dziewczyny, tak jak przed rokiem, trzecie). Najgorsze, bo czwarte miejsce polskiego pływaka Krzysztofa Chmielewskiego na 200 m motylkiem i fakt, że jego bratu bliźniakowi Michałowi zabrakło 0,02 sekundy do finału, a nigdy w historii polskiego pływania dwóch bliźniaków nie płynęło na tym samym olimpijskim dystansie. Tymczasem w zapasach bliźniacy Kazimierz i Józef Lipieniowie zdobyli olimpijskie medale: Kazimierz złoto w Montrealu w 1976 r., a Józef srebro w Moskwie w 1980 r.

Na razie mamy mało medali. Ale w sporcie jak w polityce – nadzieja umiera ostatnia...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 85e525458b

OD A DO ZYBERTOWICZA

Pomiędzy paternalizmem a relatywizmem

Wiem – to nie są słowa, którymi posługujemy się na co dzień, ale pokażę wam, drodzy czytelnicy, że mają bardzo praktyczne zastosowanie.

Ostatnio byłem na spotkaniu grupy konserwatywnych intelektualistów, gdzie wywiązała się dyskusja na temat stosunku młodych do Polski i polskości. Teraz trochę uproszczę, bo dyskusja była dość złożona. Jeden z jej aspektów praktycznych polegał na tym, że środowisko dobrej zmiany przegrało wybory parlamentarne w 2023 r. m.in. dlatego, iż nie potrafiliśmy odpowiednio zakomunikować młodemu pokoleniu tego, co dla Polski jest dzisiaj najważniejsze.

W reakcji na pytanie, jak to teraz nadrobić, pojawił się pogląd, który można określić jako „paternalizm". Mówi on, że my, ludzie starszego pokolenia, dobrze wykształceni, rozumiejący, jak naprawdę działa dzisiejszy świat, mamy po prostu przekazać młodym naszą – tę właściwą – wizję, w tym nasz system wartości. A jak do młodych dotrze to, co mamy do powiedzenia, oni zrozumieją i odróżnią ziarno od plew.

Przeciwstawiłem się temu sposobowi myślenia, wskazując, że my, starzy, nie wiemy, jakimi ścieżkami biegnie dziś myślenie młodych.

Że choć od rozpropagowania ośmiogwiazdkowego hasła minęło już ładnych kilka lat, a od przegranych wyborów też trochę wody w Wiśle upłynęło, to tak naprawdę nadal nie wiemy, dlaczego młodzi chcieli nas za...ć!

Że nie podjęliśmy wysiłku zrozumienia ich stylu myślenia, rozszyfrowania psychologicznych uwarunkowań ich reakcji na polską politykę.

Że potrzebujemy serii spotkań z młodymi, by zrozumieć fenomen przysłowiowego Jagodna i tej obywatelskiej mobilizacji będącej jednym z czynników, które spowodowały zdobycie władzy nad Polską przez obecną koalicję.

Ścieżki myślenia młodych są tak bardzo odległe od naszych, że komunikacja ex cathedra *jest z góry skazana na niepowodzenie*

Że aby dowiedzieć się, czego ciągle o młodych my, starzy, nie wiemy, należy ich wysłuchać, niezależnie od tego, jak bardzo by nam się nie podobało to, co mogą powiedzieć.

Prezentując takie podejście, spotkałem się z krytyką, że ulegam relatywizmowi czy jakiemuś postmodernizmowi. Czyli sposobowi myślenia, który odrzuca istnienie obiektywnych prawd i wartości. A jeśli ich nie ma – mówią relatywiści – to kształcenie nie powinno być nastawione na jakiś przedmiot poznania, o którym się przekazuje prawdziwą wiedzę, ale stać się „edukacją nastawioną na podmiot", czyli na uczniów. I wtedy zadaniem nauczyciela nie może być nauczanie, jak to się mówi, *ex cathedra*, ale wsłuchiwanie się w pragnienia i emocje uczniów. Nauczyciel miałby w takiej sytuacji stać się swoistym sługą, pomocnikiem uczniów.

Na spotkaniu, gdzie omawiano także inne ciekawe kwestie, nie było okazji, bym jaśniej przedstawił swój punkt widzenia. Robię to zatem na łamach „Sieci".

Uważam, że nieroztropnym uproszczeniem jest sprowadzanie problemu przekazywania wiedzy i wartości między pokoleniami wyłącznie do alternatywy: paternalizm – relatywizm.

Paternalizm oznacza narzucanie swego punktu widzenia jako obiektywnie słusznego, zaś relatywizm zupełnie przeciwnie – jest rezygnacją z wiary w to, że w ogóle są jakieś ważne prawdy do przekazania, a dalej popłynięcie za nastrojami i modami, którym akurat ulega młode pokolenie.

Jednak poza tymi skrajnościami istnieje jeszcze trudniejsza, ale moim zdaniem efektywniejsza droga. Tak, powinniśmy przekazywać wiedzę o pewnych trwałych wartościach, ale w obecnej sytuacji cywilizacyjnej ścieżki myślenia młodych są tak bardzo odległe od naszych, że komunikacja *ex cathedra* jest z góry skazana na niepowodzenie.

Aby trafić do młodych z patriotycznym przekazem, musimy najpierw się dość uważnie wsłuchać w ich głosy. Nie po to, jak chcieliby postmoderniści (niektórzy liberałowie, lewacy itp.), by młodych posłuchać i się do nich dopasować. Chodzi o to, byśmy zrozumieli ich sposób postrzegania świata. Bo bez tego nie da się młodemu pokoleniu przedstawić, jak ważne, przydatne w życiu są pewne odwieczne prawdy.

Bo – pora to wreszcie głośno przyznać – jednym z powodów utraty władzy była właśnie niezdolność do wsłuchania się w głosy młodych.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 85e525458b

SPAKUJ SUBSKRYPCJĘ wPolityce.pl i SIECI NA WAKACJE!

ulubieni autorzy • ważne teksty • wygoda czytania

Gdziekolwiek wyjedziesz, możesz czytać na swoim telefonie:

- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl, również te w sekcji Premium+ (to ok. 1 300 tekstów rocznie)
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 (to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie)
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów **50% TANIEJ** na: **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 85e525458b

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

orange
NA POZYCJI 32

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 85e525458b